M. M. CABICAR

Dziecko w wieku przedszkolnym

zabawne przygody odważnego ojca

WYDAWNICTWO STARA SZKOŁA

M.M. CABICAR

Dziecko w wieku przedszkolnym

zabawne przygody odważnego ojca

WYDAWNICTWO STARA SZKOŁA

Pierwszy dzień w przedszkolu

Akcja przebiega zgodnie z planem, osobnik wtopił się w tłum. Zbliża się ósma rano, migracja osiąga punkt kulminacyjny. Na szczęście przyjechaliśmy z półgodzinną rezerwą.

Przygotowania rozpoczęły się już poprzedniego dnia. Poszliśmy do kwiaciarni, żeby trzyletnia Wiki mogła zanieść kwiatki paniom przedszkolankom. W sumie nie wiem, czy jest taki zwyczaj, ale pomyślałem, że nasza córka będzie z nimi ładnie wyglądać. Planowałem kupić fiołki lub przebiśniegi, ale kwiaciarka powiedziała, że we wrześniu naprawdę trudno je dostać. Zapytałem, czy w takim razie zrobiłaby mi bukiet z chryzantem, na co odwarknęła już dość zirytowana, że chryzantemy daje się zmarłym, a nie przedszkolankom. Mruknąłem, że i tak pewnie niewiele z tych kobiet przeżyje, ponieważ do przedszkola idzie moja córka. Na widok Wiki, przyglądającej się rosiczkom, jakby zamierzała je zjeść na drugie śniadanie, kwiaciarka odparła:

– Aha.

Oczywiście przedszkolanki od nikogo innego nie dostały kwiatów. Większość rodziców przyniosła bombonierki i inne słodycze, które zasilą fundusz przedszkolny. Będą nagrodami w różnych grach i konkursach. Na szczęście po drugiej stronie ulicy był sklep, więc też szybko skoczyłem po jeden drobiazg. Byłem pewien, że wybrałem najlepszy, ale pani dyrektor

była trochę zaskoczona, kiedy Wiki wraz z kwiatkami podała jej białe opakowanie:

– Co to jest?

– Bombonierka dla przedszkolanek – powiedziałem poważnie.

– Cefalgin… Przy bólach głowy… – przeczytała pani dyrektor i spojrzała na mnie zaskoczona. Przedszkolanka stojąca obok zaczęła się śmiać, wyrwała dyrektorce pudełko i krzyknęła:

– Biorę cały listek!

Bombonierka cieszyła się wielkim powodzeniem i krążyła po wszystkich piętrach. Nie dość, że się po niej nie tyje, to jeszcze wydłuża życie. O jakieś trzy godziny, które codziennie zostają do końca pracy, chociaż gdybym ja miał zajmować się takimi dwudziestoma słodziakami, sięgnąłbym po nią po czterdziestu pięciu minutach.

Pierwszym zadaniem, jakie czekało na Wiki, był wybór obrazka na szafkę i ręczniczka w łazience. Zauważyłem, że niektórzy rodzice dodatkowo oznaczyli szafki zdjęciem dziecka, żeby łatwiej rozpoznawało swój rewir. Z pewnością intencje były dobre, ale szatnia wyglądała jak Centrum Poszukiwania Osób Zaginionych. Może my też przykleimy coś na szafkę Wiki. Najskuteczniejszy byłby suchy rogalik. Najpierw przyszedł mi do głowy pączek z marmoladą, ale Wiki mogłaby odgryźć drzwiczki.

Drobna blondyneczka biegała w kółko, płacząc za mierzącym grubo ponad dwa metry tatą. Nie pojmowałem, jak taki kawał chłopa może mieć takie małe dziecko. Tymczasem Wiki natychmiast popędziła do zabawek, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Delikatnie poinformowałem ją, że wychodzę i że zostanie tu sama. Że ma słuchać pań, być grzeczna i tego typu rodzicielskie gadki, które znam z filmów. Jeszcze raz podkreśliłem, że zostaje w przedszkolu sama, chciałem dać jej szansę na okazanie takich

uczuć, jakie targały tą drobniutką blondynką. Może też zacznie tęsknić? Nie zaczęła. Powiedziała tylko:

– Dobrze.

Myślę, że po prostu dusi to w sobie. Cały ten ból pożegnań i cierpienie związane z oderwaniem od ukochanych rodziców. Tatusia i mamusi.

Ostatnie, co zobaczyłem przed wyjściem, to Wiki wbiegająca do sali zabaw z krzykiem na ustach:

– HURAAA!!!

Gdzieś głęboko, głęboko w sobie…

Wczoraj:

Żona jest przygnębiona.

– Jutro pierwszy dzień w przedszkolu. Myślisz, że będzie jej nas choć trochę brakować?

Spojrzałem na córkę, która potrafi w dowolnej chwili opuścić plac zabaw i pójść do d…omu, w ogóle się na nas nie oglądając.

– No jasne – odpowiedziałem nieprzekonująco.

Żona jest przygnębiona.

Dziś:

Żona radośnie:

– Patrz, jak nie może się od nas oderwać, ciągle na nas włazi. Ze mnie robi sobie zjeżdżalnię, po tobie skacze… Wygląda na to, że jednak za nami tęskniła.

– Albo teraz tęskni za przedszkolnym placem zabaw.

Żona jest przygnębiona.

Drugi dzień w przedszkolu

Drugi dzień w przedszkolu minął tak gładko, jakbyśmy chodzili tam od lat. Wiki się przebrała, zmieniła buty i zniknęła. Pożegnanie potrwało nie więcej niż sekundę. Podszedłem do przedszkolanki, żeby zapytać, jak moja córka sobie wczoraj radziła. Musiałem przyznać, że z Wiki udało mi się wydusić tylko słowa „kucharka", „domek" i „ziupa". Nasz dział kryptograficzny wciąż to rozpracowuje, lecz na razie bez zadowalających efektów. Obie przedszkolanki uśmiechnęły się i szczegółowo opisały mi cały wczorajszy dzień, od naszego przyjścia aż do popołudniowego odebrania, każdą jedną chwilkę. Pierwsza z kobiet całą swoją opowieść wyraziła słowami *Bez problemów*. Druga właściwie powtórzyła najważniejsze wydarzenia z udziałem Wiki, skupiając się przy tym głównie na interakcjach społecznych, dodała również własną ocenę przeżyć wewnętrznych i psychologii naszej córki – to wszystko zawarła w sformułowaniu *W porządku.* Potem ta pierwsza zaczęła opowiadać o wydarzeniach, których świadkiem wprawdzie nie była, więc zna je jedynie z drugiej ręki, ale mimo to zdała mi bardzo szczegółową relację słowami *Była grzeczna.* I to było najbardziej rozbudowane zdanie, jakie usłyszałem. Wciąż staram się je przyswoić. Chyba nie muszę pisać nic więcej. Nawet nie wiem, co mógłbym dodać. Naprawdę nie wiem. Nasz dział kryptograficzny poddał opowieść przedszkolanek deszyfracji na kilku różnych płaszczyznach i doszliśmy do wniosku, że właściwie chodzi o ogólne podsumowanie aspektu zawodowego: wszystkie przedszkolanki przeżyły. Tę informację zawierało zdanie *Bez problemów.* Przeżyła też większość dzieci. Takie było znaczenie zdania *W porządku.* Wiadomość

uzupełniająca *Była grzeczna* w wolnym przekładzie oznaczać by mogła: *Boże, naprawdę jutro też zamierza ją pan przyprowadzić?*

Już drugiego dnia mała złapała w przedszkolu katar. Przed wysłaniem dzieci do przedszkola warto nie tylko przygotować odpowiednie rzeczy, ale również wzmocnić odporność naszych pociech. Powinni o tym pisać na tych ulotkach, które dają rodzicom. Najważniejsze jest podawanie świeżych owoców. My dodatkowo zaaplikowaliśmy immunoglobuliny. Trzylatków używa się w przedszkolu zamiast kociołka do przygotowania wojny bakteriologicznej. Możecie dbać o higienę swoich dzieci ze wszystkich sił, a one i tak przyciągną gila przez trzy ulice, a do wózeczka dla lalek włożą martwego gawrona. Dzieci w przedszkolu, oprócz tego, że się bawią, wymieniają się wirusami. Wiki wymieniła dwie ptasie grypy na jeden katar. Niezły interes. Jeden dzień została w domu, ale nie miała gorączki i nie kaszlała. Rano przyszliśmy do przedszkola i zastaliśmy naszą salę zamkniętą. Zaniemówiłem: oni wyginęli! Wszyscy! Została tylko moja córka. Ale na szczęście tylko przyszliśmy za wcześnie, bo Wiki po prostu nie mogła się doczekać.

Zapytałem, czy dzieci już trochę się znają, ale przedszkolanka powiedziała, że na to jest jeszcze za wcześnie. Na razie przedstawiają się w kółeczku, ale do Bożego Narodzenia powinny już mieć pierwszych kolegów i koleżanki. Pomyślałem, że do świąt ich gilki splączą się długimi szyjami, więc ich właścicielom również nie pozostanie nic innego, niż się ze sobą zaprzyjaźnić, ale zachowałem tę myśl dla siebie.

Zostałem jeszcze chwilę, żeby sprawdzić, co Wiki porabia w przedszkolu. Zapytałem ją, czym się bawi. Szybko wcisnęła mi do ręki dwa plastikowe rogaliki, zważyła seler, potem podała mi koszyk razem z portfelem i zamachała, żebym nie zasłaniał i spływał, bo ma mnóstwo klientów, a o wpół do pierwszej zamyka sklep.

Kiedy przyszedłem po nią po południu, wpadła mi w ramiona, co było przyjemne, ale zaraz potem powiedziała, że chciałaby tu zostać na noc. Od pierwszego dnia odmawia opuszczania przedszkola. Wyjaśniałem jej, że noce będzie jeszcze spędzać w domu, bo musi przyzwyczajać się stopniowo, tłumaczyłem jej to też wieczorem podczas wkładania piżamki, a wtedy się rozpłakała. Przez łzy zrozumiałem, że w przedszkolu rozniosła się wieść o dziecku, któremu udało się złapać chorobę wściekłych krów, a Wiki miała nadzieję, że uda się jej ją za coś wymienić. Usnęła dopiero, kiedy obiecałem, że zabiorę ją na miting przedwyborczy.

Rower stacjonarny

Wiki postanowiła się dziś bawić rowerem stacjonarnym. Naprawdę, w przedszkolu mają rowerek stacjonarny, żeby dzieci bardziej się zmęczyły. Gdybyśmy wpadli na ten pomysł wcześniej, kupilibyśmy go dwa tygodnie po porodzie zamiast becików. To co, że nie umie siadać? Wykręcacie się, żołnierzu?! Pedałujemy, pedałujemy! W przedszkolnym rowerku nie działa światło – pokazywała mi.

– Bo nie jest prawdziwy – odezwało się za mną. Obróciłem się. Stała tam drobna blondynka i dodała jeszcze: – Gdyby był prawdziwy, toby jeździł – pokazała ręką, jak śmigałaby nim po całej sali.

Przyjrzałem się jej uważnie. Dziewczynki, które potrafią wygrać Tour de France na rowerze stacjonarnym, z jakiegoś powodu wywołują we mnie niepokój.

Pożegnałem się z Wiki i powiedziałem, że przyjdę w południe.

– Nie! – jęknęła. – Cę tu być cały dzień.

Ale przedszkolanka zapewniała mnie później, że tylko tak mówi. I że naprawdę czeka, kiedy wreszcie przyjdzie mamusia lub tatuś. A przynajmniej tak to zrozumiałem: że czeka na to Wiki. Chociaż prawdopodobnie czekają przedszkolanki. Już od dziewiątej.

Poza tym dowiedziałem się, że katar w przedszkolu nie jest niczym szczególnym i że jeśli dzieci zostawałyby w domu z powodu kataru, przedszkole byłoby puste. Ale mówiła to mama, która nie mogąc wcisnąć naszyjnika na głowę lalki swojej córki, urwała lalce głowę, a rozmawiając ze mną, wciskała ją z powrotem, więc nie wiem, co o tym myśleć. Ale może naprawdę tak to działa. Jak w drużynie piłkarskiej: Podnieś tę nogę, co ci odpadła, i leć po ciastka!

Dopiero pierwszy tydzień przedszkola zbliża się powoli do końca, a Wiki już nauczyła się wielu nowych rzeczy. Opanowała na przykład trzy nowe rodzaje płaczu, kiedy czegoś chce. To kolejna rzecz, którą dzieci wymieniają się w przedszkolach. Baza danych, w jaki sposób wychować sobie rodziców i opiekunów. Ale i tak najgorsze jest to, że Wiki poznała technikę ultymatywną, dzięki której może robić praktycznie wszystko, co zechce, i nie ma się na to żadnego wpływu. Ta technika to chichranie. Mogę rozkazać jej cokolwiek, a ona się śmieje. Bez przerwy. To potrafi doprowadzić do szaleństwa. Mówię:

– Ale ja teraz mówię poważnie!

– Hehehehehheeee!

– Wiki, natychmiast idź się przebrać!

– Chachachaaa!

Chyba właśnie powiedziałem coś śmiesznego… A gdy w końcu dostaje udawanego klapsa, za chwilę przychodzi i prosi:

– Jeeeszczeee!

Poddaję się.

Podsumowując pierwszy tydzień, muszę powiedzieć, że przedszkole to nie jest miejsce, do którego zaprowadza się dziecko, żeby móc wreszcie spokojnie pracować. To taki uniwersytet dla brzdąców. Jeśli wasze dziecko nie znało jeszcze jakichś sposobów rozrabiania, nauczy się tu ich w okamgnieniu. Choroby, których jeszcze nie przechodziło, otrzyma od pozostałych poprzez handel wymienny. Przedszkole to miejsce, w którym wasze dziecko zostanie doskonale wyregulowane i wreszcie zacznie działać z pełną mocą. Mówi się, że jest mało przedszkoli… To nieprawda. Jest ich PRZERAŻAJĄCO mało. Trzeba wybudować mnóstwo przedszkoli. Dla każdego dziecka jedno. Myśleliście, że na macierzyńskim można oszaleć, a kiedy wyślecie dziecko do przedszkola, wreszcie odetchniecie?

Śmiało, próbujcie.

He.

Hehehe.

Chachachaaa!

Maraton

Główna grupa maratonu zaczęła zalewać nas jak ludzka powódź. – Ja cę banana! – krzyknęła Wiki na moich ramionach. Sięgnąłem do plecaka, wyłowiłem banana, obrałem go i podałem tej nienasyconej bestii. Dosłownie mi go wyrwała.

– To mój banan! – krzyknęła Wiki zrozpaczona, a ja w tej samej chwili zauważyłem zawodnika, który szybko się oddalał, w jednej ręce trzymał banana, a drugą machał nam z wdzięcznością. Zaczęliśmy się z żoną śmiać i też mu pomachaliśmy, chociaż wiedzieliśmy, że nas nie widzi. Wiki nie pomachała. Chciała, żebym postawił ją na ziemię, by mogła ruszyć w pościg. I prawdopodobnie podstawić złodziejowi nogę. Zabawne jest to, że staliśmy przy punkcie odżywiania. Ta przygoda przydarzyła się nam podczas zeszłorocznego maratonu, więc tym razem już uważaliśmy na złodziei bananów. Staliśmy za barierkami na zakręcie trasy, machaliśmy, klaskaliśmy, a Kasia umie nawet gwizdać na palcach, przez co czasami zatrzymuje ruch na ulicy.

– Ja też cę biec! – podskakiwała przy barierkach zachwycona Wiki. W końcu żona musiała przejść z nią kawałek trasy, żeby Wiki mogła się przebiec. Minęli mnie pierwsi zawodnicy, było już prawie ciemno, w tym roku maraton zaczynał się o wpół do ósmej wieczorem. To dość głupi pomysł, ponieważ Etiopczków prawie nie było widać. Za jakieś pół godziny zobaczymy tylko ruchome paski odblaskowe na pomarańczowych, żółtych lub różowych butach do biegania. Etiopczycy mieli dużą przewagę, przez dłuższą chwilę nie nadbiegali kolejni zawodnicy. Aż nagle rozbrzmiały brawa, gwizdy i coraz głośniejszy doping. Jeszcze większy, niż kiedy nadbiegał lider. Pomyślałem, że na pewno zbliża się pierwsza zawodniczka. Wychylałem się, ale nic nie widziałem. Ludzie przede mną kibicowali jak na Super Bowl. Miałem przed sobą kawałek prostej trasy, ale wciąż nikt nie nadbiegał. Dopiero po chwili obok mnie przemknął kolejny maratończyk. Miał około metra, sandałki i dziwnie znajomą czapeczkę.

– Wiki! – ryknąłem, ale nie było mnie słychać w tej wrzawie. Spojrzałem w kierunku, w którym udała się przed chwilą żona, i zobaczyłem, jak macha do mnie bezradnie.

Później dowiedziałem się, że Wiki udało się dotrzeć do barierek pod nogami kibiców, więc nikt jej przy tym nie widział. Biegła dość żwawo jak na to, że miała w nogach już pięć kilometrów. Nie wiem, czy ten facet, który ją złapał, był organizatorem, czy kibicem również nielegalnie przemierzającym trasę wyścigu, ale kiedy podniósł Wiki nad głowę i krzyknął: *Czyje to?!*, ja też rozglądałem się, czy ktoś ją odbierze. Ale nikt nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Żona oglądała w skupieniu ciemną wystawę i miała przy tym minę tak bezdzietną, jak tylko potrafiła. Niezdecydowanie podniosłem rękę, że skoro nikt się nie zgłasza, to ja w takim razie ją wezmę. Ten mężczyzna najpierw zrobił ruch, jakby chciał mi ją rzucić, ale ostatecznie kilkoma susami znalazł się przy mnie.

– Człowieku, pilnuj dziecka, przecież mogło się jej coś stać!

Rozejrzałem się ponownie, trasa wyścigu była pusta, w kilku miejscach widzowie przechodzili przez nią na drugą stronę. Mruknąłem tylko, że córka była szczepiona, więc maratończykom nic nie grozi. O ile są zaszczepieni przeciwko tężcowi. I podziękowałem.

Zaraz potem pojawiły się auta jadące przed pierwszą biegaczką. Zatem przez jakieś dwadzieścia sekund to Wiki była pierwszą kobietą. A przy okazji pierwszym białoskórym uczestnikiem. Chyba w przyszłym roku wystartujemy, zwycięstwo mamy prawie w kieszeni. Ale na wszelki wypadek ja i żona zgłosimy się pod innym nazwiskiem. I będziemy trzymać się w bezpiecznej odległości od Wiki. Bo kto wie, co wymyśli następnym razem…

Boski spokój

BS. Kiedy wasze dziecko zaczyna chodzić do przedszkola, w domu nastaje BS. Boski spokój. Dla równowagi w przedszkolach wybucha w tym samym czasie PNZ. Piekło na ziemi. Dziś je widziałem. Wiki już ma koleżankę. No dobrze, może jeszcze niezupełnie koleżankę, myślę, że dużo dokładniejszym określeniem byłoby: współsprawczyni. Kiedy tylko otworzyły się drzwi do pokoju zabaw, wtargnęły tam jak byki wypuszczone na arenę. Poniedziałki muszą być straszne, dzieci są po weekendzie w pełni naładowane… Ale nie wszystkie. Większość weszła spokojnie, tylko te dwie wcielone furie chciały bawić się wszystkim jednocześnie. Pozostałe przedszkolaki trzymały się przy ścianach, a jedno dziecko próbowało wspiąć się na karnisz i udawać, że jest zasłoną. W kilka sekund zobaczyłem przyśpieszoną wersję całego dnia: dziewczynki sprzedały sobie nawzajem kilka rzeczy w sklepiku, popedałowały na rowerku stacjonarnym, aż odwirowały chomika mieszkającego w kole, wskoczyły na konika na biegunach, któremu ze strachu wypadło z pyska siano, w błyskawicznym tempie przejechały całą salę z wózkiem dla lalek, aż niemowlę wolało się katapultować, a poza tym zrobiły w tej krótkiej chwili około dziesięciu innych rzeczy.

Zapytałem, jak będą przebiegać kolejne kroki adaptacji, ponieważ wkrótce powinien nadejść czas na następny etap: południowe leżakowanie. Wiki już nie może się doczekać. Dowiedziałem się, że jest ono wprowadzane indywidualnie według potrzeb zgłaszanych przez rodziców, więc niektóre dzieci śpią w przedszkolu już od pierwszego dnia. O tym nie miałem pojęcia. Nie wiem, jak przebiega przyzwyczajanie dzieci do

przedszkola, obserwowałem tylko nosorożce białe, kiedy przeprowadzały się z Afryki, ale myślę, że oba te procesy zbytnio się od siebie nie różnią. Przedszkolanka zapytała, czy Wiki ma w zwyczaju południową drzemkę, więc powiedziałem, że tak. W każdym razie mamy wszystko przygotowane na taką ewentualność. Piżamkę, szczoteczkę do zębów, klej do przyklejenia piżamki do materaca, paczkę gwoździ do przybijania kołderki, a nawet czarodziejski młoteczek, gdyby naprawdę nie chciała zasnąć. Chodzenie do przedszkola zaczęła od kilku godzin dziennie, potem stopniowo włączone zostaną popołudnia, a kiedy już porządnie się przyzwyczai, zostawimy ją tam na zawsze. Nawet na noc. A jeśli ceny mieszkań wciąż będą rosły tak szybko, być może powędrujemy tam za nią. Zrobiłem już rekonesans. Jej szafka na buty jest większa niż moja pracownia.

Ławeczki na przedszkolnym korytarzu zionęły pustką. Wiki codziennie siedziała w szatni z pozostałymi początkującymi przedszkolakami czekającymi po obiadku na rodziców, ale dziś nie było tu nikogo. Byłem zaskoczony nieobecnością córki, podobnie jak nauczycielki były zaskoczone na mój widok. Otóż moja pociecha przekonała je, że dziś ma zostać na leżakowanie. I uwierzyły, chociaż nie miała ani piżamki, ani szczoteczki, ani maskotki do spania, po prostu nic. W tym jest dobra. Zawsze potrafi wyglądać jak osoba będąca w odpowiednim miejscu. Dzięki temu kiedyś zameldowała się w pięciogwiazdkowym hotelu z jakąś starszą parą Szkotów, ale to temat na inne opowiadanie. Zajrzałem za drzwi. Wiki leżała zadowolona na materacu, przykryta pod samą bródkę, ściskała przedszkolnego prosiaczka i w ogóle jej nie przeszkadzało, że ma na sobie tylko majteczki. Najważniejsze, że misja została zakończona sukcesem. Potem mnie zobaczyła. Najpierw uśmiechnęła się radośnie i chciała do mnie pomachać, ale szybko zrozumiała, że raczej nie przyszedłem tak po prostu w odwiedziny. Zakopała się jeszcze głębiej i próbowała przypiąć się

klamerkami do łóżka. Jedna z przedszkolanek chciała pomóc jej wstać, żeby cała operacja przebiegła gładko i żeby pozostałe dzieci, przebywające w łóżkach legalnie, mogły spać, ale Wiki wczepiła się w kołderkę tak mocno, że zaczęło to przypominać eksmisję squatterów. Wyjaśniłem jej, że na spanie w przedszkolu trzeba się przygotować i że w takim razie spróbujemy jutro. Zaproponowałem też, że zaniosę ją do domu. Osobista taksówka ją przekonała i wskoczyła mi w ramiona. Wolę nie myśleć, co nasza pociecha musiała naopowiadać przedszkolankom, że bez protestów położyły ją do łóżka.

– Czy ma pani może szklankę wody? Jestem taka głodna, że mogłabym zasnąć na stojąco.

– Rodzice zostawili mnie jak Jasia i Małgosię, nic mi nie dali, nie mam nawet gdzie przyłożyć głowy do poduszki.

– Dzień dobry, jestem inspektorem łóżeczek dziecięcych i przeprowadzę dziś u państwa kontrolę.

Zatem od jutra zaczynamy. Najbardziej zaskoczyło mnie to, że w przedszkolu śpią podobno nawet te dzieci, które w domu nie zmrużają oka. Mam na myśli południową drzemkę, w nocy chyba musi się im to zdarzać. I ponoć nie trzeba ich nawet jakoś specjalnie usypiać, opowiada się im bajkę, a potem dzieci zasypiają. Przedszkolanki po prostu wychodzą i zamykają za sobą drzwi. I odkręcają gaz usypiający, bo inaczej to chyba nie byłoby możliwe…

Pierwsze leżakowanie w przedszkolu

Pół godziny przed budzikiem. Wiki obudziła się pół godziny przed budzikiem. Tak bardzo czekała na pierwsze leżakowanie w przedszkolu, że nie mogła rano spać. PÓŁ GODZINY! To prawie całe trzydzieści minut! To nie jest normalne! Owszem, mogę zrozumieć, że dziecko obudzi się wcześniej, bo jedzie na wycieczkę do Disneylandu, na obóz albo chce dokończyć budowę domku na drzewie, ale Wiki budzi się przed budzikiem, ponieważ nie może się doczekać, aż pójdzie spać. Potrzebujemy doktora! Mamy tu problemy ze snem. A mój problem ze snem utrzymuje się od jakichś trzech lat, ma około metra i zawsze smarki pod nosem, jakby wychodził stamtąd przeziębiony ślimak.

Ale opanowałem się, zrobiłem jej śniadanie, nie zakneblowałem jej ani nie pochowałem pod stertą pierzyn, jak robi się to czasami z natrętnym budzikiem – mimo iż wiedziałem, że przez cały dzień będę tego żałować.

Do przedszkola dotarliśmy tak wcześnie, że nawet dzwonek jeszcze spał. W centrum zaginionych spotkaliśmy jedną matkę i jej latorośl.

– Szybko, wkładaj kapcioszki – poganiała leniwego chłopczyka.

– Nie umiem.

– Wiki, ściągamy kurtkę – zacząłem podobną mantrę.

– Ale ja nie umiem, wiesz?

Spojrzeliśmy z tą panią na siebie i westchnęliśmy. Trzeba czerpać radość przynajmniej z tego, że inne dzieci też miewają nagłe ataki amnezji. *Nie umiem włożyć kapcioszków. Albo: Nie wiem, jak się ściąga koszulkę.*

Albo: Jak się trzyma łyżkę? Już całkiem zapomniałam! Podobnie jak – kiedy macie niemowlę – czerpiecie radość z płaczu innego niemowlęcia. Najpierw szybko się rozglądacie, a potem nadchodzi to odświeżające i jednocześnie odprężające uczucie, że to nie wy musicie uspokajać dziecko. Nagle krzyk obcego dziecka zaczyna brzmieć jak rajska muzyka, a wy siedzicie i uśmiechacie się. Niech czasem pomęczy się też ktoś inny.

Podczas dzisiejszej zabawy sklepik przeszedł upgrade na food truck, ponieważ Wiki zaciągnęła pod niego rowerek stacjonarny, wsiadła i sprzedawała towar w czasie jazdy. W ten sposób połączyła swoje dwie ulubione zabawy, ale kiedy przyszedł pierwszy klient – mała dziewczynka pytająca: – Co pani dziś oferuje? – Wiki nie mogła niczego dosięgnąć. Dlatego wypięła dumnie pierś i krzyknęła: – Siebie!

Hmmm… Mam nadzieję, że kiedy wieczorem przyjdzie do nas babcia i zapyta Wiki, co robiła w przedszkolu, Wiki odpowie:

– Nic ciekawego…

Bo jeśli zdradzi, że się sprzedaje, ale przeszkadzają jej w tym pedały, teściowa mogłaby tego nie przeżyć.

Ale zaraz!

Hmmm… Właściwie nie należy uczyć dziecka zatajania prawdy, to by przecież było niepedagogiczne! Niech wszystko babci opowie.

Dziwne – Wiki po raz pierwszy śpi w przedszkolu. Po raz pierwszy od lat nie muszę być po obiedzie cicho. Nie muszę ratować samobójczych maskotek wyskakujących z dziecięcego łóżeczka ani odciągać Wiki od doniczki, kiedy próbuje schować się za palmę, żeby nie iść spać. Już kiedy w pierwszym tygodniu przedszkola chodziła tam tylko na pół dnia, czułem się nieswojo. Jak mam pracować, kiedy nikt nie wspina mi się na oparcie krzesła, nie wdrapuje mi się na głowę i nie skacze po niej, aż zacznę walić

czołem w klawiaturę. Ileż rzeczy napisałem właśnie w ten sposób! Wszystko, cały ten proces adaptacyjny, kręci się wokół dzieci. A co z rodzicami? Jak mam się z dnia na dzień przyzwyczaić, że mogę normalnie iść do kuchni, nie musząc przebaletować przez wszystkie skrzypiące rejony podłogi i przeskakiwać wszystkich piszczących zabawek. Na tę głupią gumową kaczkę, która tyle razy obudziła Wiki, dziś znów przypadkowo nadepnąłem. Z radością. Trzy razy.

Bardzo chciałbym wiedzieć, jak oni sobie w tym przedszkolu radzą. Nie potrafię sobie tego wyobrazić: mieć tyle dzieci jednocześnie. Połapać je, powyciągać z dziur, do których się wcisnęły, zdjąć z żyrandola… A potem zmusić, żeby przebrały się w piżamy, co może się udać… po godzinie. Wiadomo przecież, że dobrym słowem i pistoletem w ręce można osiągnąć dużo więcej niż tylko dobrym słowem. A potem ułożyć te dzieci do snu. Ale jak jedna przedszkolanka może siedzieć jednocześnie przy dwudziestu pięciu łóżeczkach – tego nie zrozumiem nigdy. Przecież zawsze któreś dziecko na pewno próbuje uciec, więc trzeba je gonić, a w tym czasie rozbiegają się pozostałe… Może mają tam lasso. Nie wiem, krótko mówiąc – jest to dla mnie zagadką. Uśpienie jednego dziecka kosztuje mnóstwo pracy, uśpienie dwudziestopięcioosobowej grupy to czyste szaleństwo. Znam dużo mniej bolesne metody samobójstwa.

Po prostu muszę przyznać, że brakuje mi Wiki. Tego, że nie leży w swoim łóżeczku.

Że nie marudzi tam, że nie chce spać.

Że nie muszę przylutowywać jej w miejscach, w których puścił klej.

Że nie muszę wpychać jej do buźki delfinka, żeby wreszcie ucichła i zasnęła, bo w przeciwnym razie przez całe popołudnie będzie nie do wytrzymania…

Boże, jak wspaniale!

Kąpiel.

Mama: Wiki, ty masz takie piękne włoski.

Wiki: Ty też masz piękne włoski, mamusiu.

Mama: I taki piękny nosek!

Wiki: Ty też masz piękny nosek, mamusiu.

Wyciąganie z wanny, stękanie.

Mama: Jejku, jaka ty już jesteś ciężka!

Wiki: Ty też jesteś już bardzo ciężka, mamusiu.

Cisza. Potem dźwięki ciosania napisu na nagrobku.

Po raz pierwszy razem

Po raz pierwszy razem, oboje rodzice, mama i tata. Udało mi się spotkać z Kasią, więc mogliśmy odebrać Wiki z przedszkola oboje. Wiki się ucieszyła, natychmiast wpadła mamie w ramiona, zapowiadało się więc świetnie! Córka jest tak zauroczona przedszkolem, że trochę się obawialiśmy, czy damy radę wyciągnąć ją do domu. Mało się o tym mówi, ale przedszkola są dla dzieci miejscami dość uzależniającymi. Na razie to nic poważnego, zwyczajny syndrom odstawienia: woła w domu dzieci i nauczycielki, tęskni za przedszkolnym placem zabaw i za zabawkami, cała się trzęsie i ma wokół ust pianę. Ale mimo to ucieszyła się na widok

rodziców, więc wciąż woli być z nami niż w przedszkolu. Zaczęła się przebierać. W tej chwili usłyszeliśmy głos przedszkolanki:

– Dzieci, idziemy na plac zabaw!

W Wiki jakby uderzył piorun, przy pupce pojawił się dymek, oczy wyszły z orbit:

– Szybko, szybko, mamo, tato, na plac zabaw, idziemy! Chodźcie! Chodźcie!

Spojrzeliśmy z żoną na siebie, westchnęliśmy i powiedzieliśmy:

– Może uda się następnym razem…

Po prostu mamy małe przedszkolne haszyszątko.

Rano Wiki obudziła się sama. Śniadania zjadła tylko pół i popędziliśmy do przedszkola. Znów przybyliśmy jako jedni z pierwszych. Przed nami przychodzą tylko dzieci rodziców, którzy pracują na nocną zmianę i przyprowadzają swoje pociechy około drugiej nad ranem. Chyba że są to jeszcze więksi nałogowcy niż Wiki i może tu już po prostu mieszkają. Wiki natychmiast pobiegła nawlekać koraliki. Puf ! Jakby mnie tam w ogóle nie było. Jedna dziewczyna miała dużą książkę wydającą różne dźwięki i egzaminowała przedszkolankę, który odgłos należy do którego zwierzęcia, chociaż normalnie powinno być odwrotnie. Dźwięki brzmiały tak koszmarnie, że gdybym miał taką książeczkę w domu, rozwaliłbym ją lodówką już pierwszego dnia po południu. Rozległo się chrumkanie z wysokim piskiem – jak wieprz, którego ktoś kopnął w czułe miejsce.

– Prosiaczek? – zapytała nauczycielka. Była dobra.

– Chyba wykastrowany – włączyłem się do zabawy.

Dziewczynka wcisnęła kolejny przycisk i kazała mi zgadywać. Brzęczenie i dziwne piszczenie.

– Krowa z ptasią grypą – strzeliłem. Dziewczynka zajrzała do książki.

– Nie, po prostu krowa!

Zupełnie zdrowa. Tylko trochę wściekła.

Kolejny dźwięk. Krztuszący się motor i przerażające jęki.

– Traktor przejeżdżający rolnika – zaproponowałem. Przynajmniej Wiki się zaśmiała.

Przerwał nam straszliwy krzyk. Wbiegła mama z dzieckiem uwieszonym na szyi, kurczowo w nią wczepionym i krzyczącym. Głośno krzyczącym. Mama pochyliła się nad przedszkolanką, przedszkolanka przytrzymała dziecko – siup! Mama pożegnała się bez słów i wybiegła. Na pewno nie robiły tego po raz pierwszy. Nastało PNZ. Piekło na ziemi. Dzieciak wrzeszczał i tryskał wodą z oczu na wszystkie strony jak w bajce animowanej. Zdolność dzieci do przeistaczania się w żywe fontanny fascynuje mnie również u Wiki. Przedszkolanka powiedziała tylko:

– Widzisz tego konika? Nie ma nóżki. Będzie musiał iść do lekarza.

I dziecko ucichło. Cud. Potrzebowaliśmy trochę czasu, żeby nauczyć się tych sztuczek. Bynajmniej nie osiągnęliśmy jeszcze poziomu profesjonalnej przedszkolanki, ale już mniej więcej wiemy, jak to działa. Kiedy Wiki płacze, pokazujemy jej jakąś zniszczoną zabawkę, a nasza córka się uspokaja. Zgodnie z psychologiczną teorią jednego kanału, według której człowiek potrafi skupić się tylko na jednej rzeczy (a na kolejnych tylko pod warunkiem, że są zautomatyzowane), nawet trzyletnie dziecko nie jest w stanie jednocześnie płakać i zastanawiać się, kto rozwalił zabawkę, a do tego jeszcze wymyślać alibi.

Tak czy inaczej przedszkolanka była po prostu niesamowita. Chciałbym też tak umieć! Zawsze szanowałem ludzi, którzy minęli się z powołaniem. Z takimi umiejętnościami mogłaby przecież spokojnie być… na przykład… Aha. Właśnie tym, kim jest. No nic. Pożegnałem się z córką i poszedłem pracować. Ale tym razem pracować w BS. Boskim spokoju. Dziękujmy Bogu za przedszkola. To dzięki nim ludzkość jeszcze nie wyginęła. Z tego

wynika, że dinozaury nie miały przedszkoli. I to był błąd. Czyż nie mam racji, Tyranozaurze?

Idziemy do domu

Pierwszy raz odbieramy Wiki z placu zabaw. Drugi tydzień w przedszkolu. Dziś ustanowiliśmy kolejny rekord w długości pobytu, bo przyszliśmy po córkę dopiero około wpół do piątej, lecz mimo to nie przejawiała żadnych oznak choćby najmniejszej tęsknoty. Objęła mamę wokół szyi i wyraziła swoją bezgraniczną dziecięcą miłość do rodziców przepełnionymi uczuciem słowami:

– Nie cę do domu. Cę być w przeczkolu na placu zabaw! – umiejętnie ukrywała, jak bardzo jej nas brakowało. A potem płakała, jęczała i krzyczała, żeby jeszcze wzrosło w nas poczucie jaskółczych rodziców, którzy teraz na dodatek wyrywają swoje dziecko spod opieki specjalistów. Ale wytrzymała tylko przez pół godziny, co w porównaniu z kilkoma poprzednimi dniami jest słabym osiągnięciem, więc podejrzewam, że powoli przestaje się jej w przedszkolu podobać. A może to zasługa naleśnika, który kupiliśmy na festiwalu smakoszy, żeby zatkać naszej córce dopływ powietrza?

Dostaliśmy pierwsze zadanie domowe: kupić buty bez sznurówek, ponieważ tych obecnych Wiki nie potrafi sama włożyć. Cha! Kiedy ja to mówiłem, żona powiedziała tylko:

– Musisz bardziej wyciągnąć język. Nie swój! Nie jej! Boże, język buta. Czy wy faceci jesteście w ogóle normalni?

Wkładanie butów i ich sznurowanie jest drugim pod względem straszności etapem ubierania dziecka, zaraz po napach w body, które są tak małe, że trudno je wymacać, a co dopiero zapiąć. W dodatku nigdy nie zapiąłem ich w odpowiedniej kolejności i zawsze któryś omijałem.

A przecież przedszkolanki na pewno znają jakieś triki i mają odpowiedni autorytet, żeby zmusić tych wszystkich brzdąców do sznurowania. Ja zawsze musiałem wiązać Wiki sznurówki w biegu. Za każdym razem, kiedy miała włożyć buty, pojawiał się u niej syndrom niespokojnych nóg. Zabawa *Złap liska za ogon* nigdy jej się nie znudziła. Kilka razy puściły mi przy tym nerwy i powiedziałem, żeby zostawiła mi nogi w przedpokoju, poszła się bawić do salonu i wróciła, kiedy skończę je ubierać. A najgorsze, co można zrobić, to próbować te stópki przytrzymać. Panowie, nigdy nie próbujcie przytrzymywać między swoimi nogami tej małej dziecięcej kostki. Ja zostałem odkopnięty dalej, niż sięgał wzrok.

Podczas wybierania obuwia zaproponowałem kozaczki ze sznurówkami do kolan, dwiema sprzączkami i zamkiem błyskawicznym, ponieważ wyglądałyby na Wiki naprawdę *cool,* ale Kasia odparła, że jak tylko wrócimy do domu, wystawi mnie za okno i posadzi we mnie kwiatki, bo poprzednią doniczkę całą obsrały gołębie. Trudno powiedzieć, co tak właściwie miała na myśli.

Buty kupiliśmy, a Wiki wygląda w nich bardzo ładnie. Tak jej się spodobały, że nie chciała ich ściągnąć. Ani mnie, ani żonie, ani ekspedientce nie udało się wcisnąć do pudełka Wiki razem z butami, więc pani przy kasie była dość zdziwiona, kiedy położyliśmy na ladę buty, w których zaklinowało się dziecko. Potem zeskanowała mojej córce nogi. Ale wszystko dobrze się skończyło, na ekranie kasy naprawdę wyświetliły

się buty. Odetchnąłem, bo ostatnio czytnik odczytał Wiki jako „telewizor Philips".

– Ja nie potlafię wkładać kapci – płakała po przyjściu rano do przedszkola trzyletnia Wiki.

– Słuchaj no, ty moja mała Amnezjo, wkładaj te kapcie raz dwa.

Z korytarza dobiegł śmiech, do szatni zajrzała jakaś kobieta i krzyknęła do córki:

– A podobno to my mamy dziwne nazwisko, panno Brzęczyszczykiewiczówno.

Otworzyłem usta i powiedziałem:

– O Boże, radziłbym pani już zacząć wołać ją na obiad, jeśli ma zjeść ciepły.

Mama zakrztusiła się i zaczęła się trochę dusić. Zapomnieliśmy się rano uczesać, ale okazało się, że wyposażenie przedszkola jest na najwyższym poziomie i oprócz własnego kubeczka, ręcznika i innych rzeczy dzieci mają też grzebień oznaczony swoim obrazkiem. Do doskonałości brakuje tu tylko odgilowacza. Nieważne, czy dziecko ma katar, czy nie ma, w którejś dziurce zawsze mieszka wielka zielona foka. A polowanie na nią przypomina wygrzebywanie gumy do żucia. Wiem, mnie też robi się od tego niedobrze, przepraszam, że o tym piszę. Właściwie sam nie wiem, jak takie odgilowujące urządzenie mogłoby wyglądać. Wyobrażam je sobie trochę jak maszynę drążącą tunel metra.

Kiedy po południu szliśmy z Kasią po Wiki, stanęliśmy przed przedszkolem na czerwonym świetle. Nachyliłem się do żony i zapytałem:

– Dlaczego tych sześć przedszkolanek stoi w oknie i macha do nas?

Kasia rozejrzała się przestraszona. Potem dostałem cios pod żebra, ponieważ nie machała do nas ani jedna przedszkolanka. Za to wszystkie

szykowały się do skoku, ale potem zorientowały się, że jest piątek. Ja skoczyłbym już w poniedziałek przed obiadem.

Weszliśmy do sali zabaw.

– Jak minął dzień? – zapytała żona jednej z przedszkolanek.

– Wspaniale! – powiedziała z radością, co dość nas zaskoczyło. – Państwa córka nie jest w mojej grupie.

To wszystko wyjaśnia.

Ale potem spojrzała na nas i szybko dodała:

– Ale na pewno była grzeczna.

Uśmiechnęliśmy się i skinęliśmy głowami na znak, że innej możliwości w ogóle nie braliśmy pod uwagę.

Wiki przyjechała do nas z wózeczkiem pełnym dzieci. Naliczyłem sześć noworodków. Gdzieś w rogu musiała leżeć wycieńczona lalkowa rodzicielka całego tego miotu. Jeśli tak się tu mnożą, może powinno się na nie zastawiać jakieś pułapki. Sześć laleczek, ale w tym wózku bynajmniej nie były ułożone, tylko rzucone jedna na drugą, a Wiki woziła je po całej sali jak piasek. No dobra, może nie jest to najlepsze przygotowanie do roli matki, ale za to do cementowni wzięliby ją z pocałowaniem ręki. Rozglądałem się dyskretnie, czym je załadowała, bo widły wydawałyby mi się jak na przedszkole dość niebezpieczne.

Wiki jak zawsze oświadczyła, że nie chce iść do domu, że bierze nocną zmianę i zostaje też na cały weekend. Obu przedszkolankom zrobiło się ciemno przed oczami. Potem Wiki wskoczyła na siodełko, depnęła na pedały i próbowała uciec mi na rowerku stacjonarnym, ale szybko ją dogoniłem. Nie ruszając się z miejsca. Krzyczała i ciągle obracała się za siebie, żeby sprawdzić, jak bardzo zostawiła mnie w tyle. Żona przez chwilę ją obserwowała, a potem nachyliła się do mnie i szepnęła:

– Z jej studiów chyba będziemy musieli zrezygnować, nie?

Był piątek. Ale dla rodziców odbierających dzieci z przedszkola to jest poniedziałek i zaczyna się weekendowa szychta z potomstwem. Może do poniedziałku przeżyje chociaż jeden z rodziców, żeby mógł odprowadzić latorośl z powrotem do przedszkola.

Sobota – najpiękniejsza bajka dla rodziców

Sobota. Żona na drugiej połowie łóżka jęknęła. Trzyletnia Wiki wdrapywała się po niej ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Wiedziałem, że zmierza do mnie. Próbowałem schować się pod materac. Po chwili miałem córkę na głowie. Chwyciła mnie za ucho, podniosła je na wysokość swojej głowy i głośno szepnęła:

– Tato, włączysz mi bajkę?

Z boku odezwała się żona:

– Wiki, na Boga, jest sobota, nie idziesz dziś do przedszkola, nie musimy wstawać o szóstej rano!

Kolejne pociągnięcie za ucho i ciszej, żeby żona nie słyszała:

– Tato, włączysz mi bajkę?

– A może jeszcze się zdrzemniemy? – zmęczonym głosem zaproponowałem kompromis.

– Nie ce mi się już spać, już się wyspałam. Włączysz mi bajkę?

Westchnąłem głęboko.

– Wiesz co, mam specjalną propozycję, tylko dla ciebie. Opowiem ci najpiękniejszą bajkę. Ale jest to bajka dla rodziców, której normalnie dzieciom opowiadać nie można.

– Co? Dla lodziców? Takiej jeszcze nie znam. Opowiadaj! – ponaglała mnie w napięciu i usiadła mi tuż przed twarzą.

– Za siedmioma górami – zacząłem, na wpół śpiąc z otwartymi oczami – jedno dziecko, zupełnie takie jak ty, w takiej samej piżamce, z identycznymi włoskami i oczami, tak podobne, że nawet mogłabyś to być ty, pewnego ranka się obudziło. I teraz sobie to wyobraź: w ogóle nie zaczęło rzucać zabawkami, nie urządzało sobie po mamie wspinaczki wysokogórskiej, a nawet nie przyszło usiąść tacie na głowie i skakać mu po brzuchu, nie, nic z tych rzeczy. Ono bezszelestnie wyszło z łóżeczka i w doskonałej ciszy poszło do toalety. Potem umyło sobie rączki, i to mydłem, opłukało sobie buźkę, a nawet wyszorowało ząbki. Porządnie, nie tylko tak, żeby zjeść pastę do zębów i przez chwilę pożuć szczoteczkę, nic z tych rzeczy, ono pięknie umyło po kolei wszystkie ząbki. Szczotkowało je przez dobre trzy minuty. A potem ładnie się wytarło. Pokremowało sobie buźkę. Samo wzięło sobie ubranie. Wszystko. Koszulkę i majtusie, skarpeteczki, spodnie i cichuteńko to wszystko włożyło na swoje małe ciałko. I złożyło piżamkę, a potem odłożyło ją na miejsce, żeby przed poobiednią drzemką nie trzeba było jej przez pół godziny szukać, by wreszcie znaleźć ją wkręconą w koła traktora, jak to się czasem zdarza tob… innym dzieciom, prawda? A to nie wszystko. Potem to dziecko się uczesało, włożyło buty oraz kurtkę i poszło na zakupy. Przyniosło świeże pieczywo, posmarowało je masłem, mamie nutellą, a tacie usmażyło jajecznicę ze słoniną, zrobiło kawę, a na tablecie naszykowało najnowsze wiadomości. Położyło to wszystko na tacę i zaniosło do sypialni, gdzie spali

mamusia i tatuś. Pogłaskało mamę po głowie, dało jej całusa, tatę też pogłaskało i nie kopnęło go w głowę, tylko cichutko ich budziło:

– Mamusiu, tatusiu, czeka na was śniadanie.

A mamę i tatę już budził zapach kawy. Usiedli zaskoczeni, bardzo się dziwili i długo chwalili swoje dziecko, jak sobie z tym wszystkim poradziło, i zabrali się za jedzenie. A to dziecko nie przyglądało się im wygłodniałym wzrokiem ani nie zabierało im jedzenia z talerzy. Pozwoliło spokojnie zjeść, a samo poszło odkurzyć dywan w salonie. Potem przyszło po naczynia i powiedziało:

– Ja się dziś wszystkim zajmę, nie musicie się o nic martwić, po prostu porządnie wypocznijcie i cieszcie się weekendem, powiedzcie mi tylko, co mam robić. Nawet na plac zabaw zbytnio mnie nie ciągnie, wolę prasować i sprzątać, niż szaleć na dworze z dziećmi. Przecież w przedszkolu mogę się bawić tak długo, jak tylko zapragnę.

A rodzice zaczęli płakać ze wzruszenia. Objęli to dziecko, obsypali je pocałunkami i powiedzieli, że przecież z przyjemnością pójdą na plac zabaw. Ale ponieważ nie chcieli zbytnio się szarogęsić, pozwolili dziecku jeszcze przynajmniej posegregować pranie i je wyprasować.

Wprawdzie żona leżała obok z zamkniętymi oczami, ale miała w nich łzy.

– To była taaaka piękna bajka! – powiedziała rozczulona.

Mnie też ta opowieść wzruszyła. Ale Wiki nie wyglądała na przekonaną. Przyglądała mi się podejrzliwie.

– To wcale nie była żadna bajka – powiedziała niepewnie.

– Oczywiście, że była – odpowiedziała żona. – Dla rodziców. Najpiękniejsza bajka na świecie.

Niedziela – pierwsze wystąpienie publiczne

Niedziela. Kiedy w sobotę układałem Wiki do snu, zapytała, czy pójdzie jutro do przedszkola. Powiedziałem, że pójdzie dopiero w poniedziałek, bo panie przedszkolanki też muszą odpocząć, i zapytałem, na co czeka najbardziej. Zabawki, koleżanki… Powiedziała, że na leżakowanie w południe. No trzymajcie mnie! W domu musimy przyciskać ją do łóżka podkładami kolejowymi – a w przedszkolu nie może doczekać się spania. A przecież go nie cierpi! Co oni tam z tymi dziećmi robią? Podobno puszczają bajkę, a dzieci zasypiają. Kto im w to uwierzy? Gdyby wszystko było tak proste, na świecie nie byłoby wojen. Ja podejrzewam, że puszczają im bajkę i gaz. Bynajmniej, ja nie zgłaszam żadnych zastrzeżeń, po prostu cicho zazdroszczę. Już od pierwszego tygodnia po porodzie poważnie wątpię w dotychczasowe przekonanie, że dzieci nie powinny brać narkotyków. Wprawdzie herbatka z melisy na lepszy sen to dobra rzecz, ale Rohypnol to Rohypnol.

W weekendy próbujemy nadrobić czas z dziećmi, ponieważ przez cały tydzień są w przedszkolu. Tym razem wyruszyliśmy za miasto, a na obiad zatrzymaliśmy się w obozie namiotowym, przy którym szykowano jakiś koncert lub przedstawienie. Kupiliśmy jedzenie, a ponieważ chwilami popadywało, usiedliśmy na ławce w jednym z tych olbrzymich namiotów. Potem nagle z głośników dobiegł dziewczęcy głos, który nas przywitał i zapraszał dzieci na scenę. Rzeczywiście – scena stała przed nami, ale dopóki nikogo na niej nie było, nawet jej nie zauważyliśmy. Zaczęły zbiegać się dzieci, Wiki również zostawiła zupę i pognała na deski

pozwalające zdobyć świat. Jej pierwsze wystąpienie publiczne. Przyglądaliśmy się z ciekawością, ponieważ zazwyczaj w takich sytuacjach jest równie rezolutna jak gwóźdź w ścianie. Tylko czasami czuje się jak ryba w wodzie. I o takich chwilach zazwyczaj piszę.

Prowadząca zapytała dzieci, czy znają jakąś piosenkę albo wierszyk, po czym jakieś dziesięć razy wysłuchaliśmy *Pieski małe dwa chciały przejść przez rzeczkę*. A potem przyszła kolej na Wiki. Powiedziała, że ma na imię „Hiki", ale do tego już przywykliśmy. Tak jak innych dzieci, tak również naszej córki prowadząca zapytała, gdzie siedzą jej rodzice, a my podnieśliśmy ręce i pomachaliśmy. Potem prowadząca zapytała, co Wiki zaśpiewa. A Wiki zaczęła śpiewać: *Wlazł kotek na płotek i mruga*. Zaskoczyło nas, że nie stoi na scenie jak kołek, a wszyscy bili brawo za to, że śpiewa coś innego niż *Pieski małe dwa*. I wtedy to się stało. Wprawdzie Wiki zaczęła *Wlazł kotek na płotek i mruga*, ale dalej nie zaśpiewała: *Ładna to piosenka, niedługa*, lecz z głośników dobiegł do nas dziecięcy głosik: *Przyjdzie kocica i go zruga*. Oblał mnie zimny pot. Wymyśliłem tę wariację, kiedy Wiki miała niecałe dwa lata! Uwielbiała wtedy po mnie skakać, mogła to robić bez przerwy przez półtorej godziny. I chciała, żebym jeszcze jej przy tym śpiewał. Kiedyś po trzydziestu minutach ugniatania zacząłem śpiewać wersję trochę bardziej wiarygodną niż oryginał, a mruczałem to pod nosem bardziej dla siebie niż dla Wiki. Od tamtej pory nie zaśpiewałem tego przy niej ani razu. Okazało się, że Wiki ma fenomenalną pamięć. Żona spojrzała na mnie z szerokim kamiennym uśmiechem. Wydaje mi się, że to był „uśmiech w miejscu publicznym nr 63", jeden z najbardziej przerażających. Wiedziała, że to moja sprawka. Nie mam pojęcia, jakim cudem ona zawsze tak szybko mnie demaskuje. Wszyscy wybuchli śmiechem, a Wiki bezlitośnie kontynuowała: *Nie długo, nie krótko, lecz w sam raz. Spieprzaj stąd, koteczku, póki czas.*

Dziewczyna, która wcześniej przedstawiła Wiki, zaczęła chrząkać do mikrofonu i z wrażenia aż usiadła na scenie. Kilka osób zaczęło bić brawo. Poderwałem się do ucieczki, ale Kasia chwyciła mnie mocno.

– Dokąd to? – wycedziła przez zęby z tym swoim kamiennym uśmiechem.

– Muszę do toalety! – jęknąłem.

Żona posłała mi kolejny specjalny uśmiech i syknęła:

– Choćbyś miał się zesrać, będziesz tu siedzieć z miną opiekuna idealnego. To dziecko jeszcze w zeszłym tygodniu było pod opieką swoich biologicznych rodziców, a tego typu pioseneczki są jednym z powodów, z których zostało im odebrane.

W sytuacjach kryzysowych moja żona jest po prostu genialna.

Kiedy ludzie dochodzili do siebie po wybuchu śmiechu, Wiki zakończyła swój występ:

– *Głupi kotku, mnie nie słuchasz, kocica wygarnie ci prawdę w twarz.*

Potem zerwała się kolejna fala braw. Kto miał jeszcze siły, ten klaskał. My też, choć bez przesadnego entuzjazmu. Podejrzewam, że czeka mnie kilka miesięcy podwyższonej kontroli piosenek, które śpiewam córce. Spodziewam się też przesłuchania, jakie jeszcze hity może znać Wiki. Bo podobnych przeróbek ułożyłem sporo. Ale Wiki wygrała różowy miecz i była szczęśliwa. Jeden z widzów podszedł do nas po występie, modliłem się, żeby to nie był mój czytelnik, ale on chciał tylko, żeby powtórzyć mu ten tekst. Powiedziałem, że nie pamiętam i że nie mam pojęcia, skąd Wiki go wytrzasnęła. Tak czy inaczej przez jakiś czas będziemy unikać miejsc, w których są sceny.

Poniedziałek – ktoś nam nasrał do Swarovskiego

Rozpoczął się trzeci tydzień przedszkola. O siódmej rano musiałem przekonać trzyletnią córkę, że nie może wziąć do przedszkola miecza, chociaż jest słodziutko dziewczęcy i różowiutki. Moja mama zawsze mi wpajała, że jeśli już dzieci mają się wzajemnie pozabijać, to niech robią to chociaż po cichu i bez bałaganu. A taki miecz na pewno by nabałaganił – i kto to ma potem sprzątać? Za sukces uznaliśmy, że Wiki ubrała się sama i na czas. Małą skazą na tym osiągnięciu było to, że włożyła podkoszulek na bluzę, ale to i tak lepszy wariant niż majtki na spodniach, bo znów musiałbym jej wyjaśniać, że przebrała się za Madonnę. Jak ostatnio u lekarza. Dlatego nic nie zmienialiśmy, trzeba przyznać, że wyglądała uroczo. To jest przywilej bycia dziewczynką – mogą włożyć sobie na głowę wiadro, a i tak są piękne.

Po południu przyszliśmy po Wiki razem z babcią, na co przestraszona przedszkolanka zapytała, ile dzieci sobie życzymy. Zazwyczaj obowiązuje ograniczenie jedno dziecko na osobę na dzień. Ale babcia tylko pomachała wnusi i już musiała iść. My udaliśmy się do sklepu z luksusowym wyposażeniem wnętrz, gdzie chcieliśmy obejrzeć jedną świetną pralkę. Być może też znacie takie sklepy, które są tak luksusowe, aż macie wrażenie, że tam nie pasujecie. Tym razem to uczucie dodatkowo umacniała pani w drogim kostiumie, z włosami spiętymi w kok ze złotymi szpilkami i niewiarygodnie grubą warstwą makijażu. Uśmiech zastygł jej na twarzy, kiedy zobaczyła dziecko. I nas.

Nie spuszczała Wiki z oka, syczała i mrużyła oczy przy każdym jej ruchu, aż w końcu nie wytrzymała i poinformowała Kasię, że to nie jest odpowiednie miejsce dla tak małych dzieci, bo jest tu mnóstwo drogich rzeczy… Żona zapytała, czy mają jakiś kącik zabaw, ale pani tylko pokręciła przecząco głową.

– No trudno – powiedziała Kasia i wzięła małą na ręce, co trochę panią sprzedawczynię uspokoiło. Na rękach albo na smyczy. Naprawdę były tam drogie rzeczy, sama kanapa kosztowała ponad sto tysięcy złotych. Ale niektóre kuchnie i sypialnie były oszałamiające. Naprawdę oszałamiające. I te łazienki! Stylowe kabiny z hydromasażem i wanny z magicznym oświetleniem, z których za nic bym się nie ruszył. Aż zgubiliśmy się w tym labiryncie luksusu. Kiedy tak błądziłem po kolejnych pomieszczeniach, napotkałem żonę, do której akurat podbiegła Wiki. Byliśmy sami na pierwszym piętrze, więc pozwoliliśmy sobie postawić małą na podłogę. Widziałem, jak trzyletnia Wiki podbiegła do mamy, coś jej powiedziała, Kasia zbladła jak ściana, szybko zajrzała do „łazienki", potem chwyciła Wiki, przeleciała obok mnie i syknęła:

– EWAKUACJA!

Zbiegliśmy po krętych schodach i schowaliśmy się w uliczce za jedną z kuchni, kiedy drugimi schodami akurat szła na górę ta nadgorliwa sprzedawczyni.

– Stłukła coś? – zapytałem zdenerwowany. Cokolwiek by to nie było, nie wypłacilibyśmy się do końca życia.

Kasia pokręciła głową. Była blada.

– Przybiegła powiedzieć mi, że nie może spuścić wody. Ona się tam załatwiła. Naprawdę! Rzuciła im czekoladową anakondę, o taką! – i rozłożyła ręce jak kłamliwy wędkarz. I dodała jeszcze: – A sam wiesz, że wczoraj nie robiła!

Wiki wyglądała na zadowoloną. Co teraz? Dylemat rodziców. Przyznać się? Dyskretnie posprzątać? Zanim zdążyliśmy podjąć decyzję, z pierwszego piętra dobiegł krzyk wypełniający cały sklep:

– BOŻE, KTOŚ NAM NASRAŁ DO SWAROVSKIEGO!

Potem rozległo się tupanie nóg biegnących na górę. Wzrokiem uzgodniłem z moją ukochaną żoną, że się nie przyznamy i że spróbujemy uciec. Znów krzyk:

– Ale kto byłby w stanie zrobić coś takiego? To przecież nie mógł być człowiek. To musiał być chyba jakiś wielki goryl!

Znów spojrzeliśmy po sobie i wzruszyliśmy ramionami. Owszem, nas też te rozmiary zawsze zaskakują. Mówi się na nie *dzieciątka*, ale zanim urodziło się nam dziecko, nie mieliśmy pojęcia, do czego te brzdące są zdolne. Pani ze sklepu też najwyraźniej nie miała w tej materii żadnego doświadczenia. Potem odezwał się męski głos:

– Była tu taka mała dziewczynka…

Ale krzykaczka natychmiast mu przerwała:

– Przecież tego nie zrobiła mała dziewczynka, wystarczy na to spojrzeć! Żeby to wywieźć, będziemy potrzebować taczki!

Cisza, najwyraźniej wszyscy się przyglądali. I nie mogli ogarnąć tego wzrokiem… Potem ktoś powiedział z rezygnacją:

– Hm, dziewczynka. Dziewczynka. Przecież to jest wielkości dziewczynki!

Nie śmialiśmy się, byliśmy zupełnie skamieniali, ale i tak zaczęły nam łzawić oczy. Miałem *déjà vu*. Po raz ostatni tropienie sprawcy kupy przeżyłem ze swoim psem. To też był nieszczęśliwy zbieg okoliczności! Wyszedłem z nim tuż przed burzą, pies się starał, jak mógł, żeby mieć to jak najszybciej za sobą, i wycisnął z siebie nawet to, co powinno zostać na

kolejny dzień. A kiedy to zbierałem, woreczek razem z ładunkiem porwała mi wichura i zaniosła aż na wysokość drugiego piętra bloku po drugiej stronie ulicy, gdzie cisnęła nim w okno. Wiatr tego dnia osiągał prędkość 90 km/h. Potem woreczek gdzieś poleciał, ale zawartość została na parapecie. Wtedy również udało mi się schować i być jedynie niewidzialnym świadkiem śledztwa prowadzonego przez stare małżeństwo. Jeśli się nad tym zastanowić – wyglądało to na naprawdę tajemniczą sprawę, ponieważ wypróżnienie się na parapecie na drugim piętrze wcale nie należy do zadań łatwych. Dzięki temu powstały odważne teorie o mężczyznach opuszczających się na linach, zbyt leniwych, by opuścić się na trawnik, oraz o nieżyczliwych sąsiadach załatwiających się sobie na rękę i rzucających fekaliami w okna. Do dziś czasami budzę się, kiedy śni mi się krzyk:

– JEZUS MARIA, RUDOLF, TO JEST GÓWNO! BOŻE, JAK ONO SIĘ TUTAJ ZNALAZŁO!

Z moją karmą musi być coś nie w porządku – przecież taka historia nie może przydarzyć się jednemu człowiekowi dwa razy w jednym życiu.

Tymczasem krzykliwa sprzedawczyni znów wypełniła swoim głosem cały sklep:

– Co się tak gapicie na ten sufit? Myślicie, że coś takiego mógł zrobić ptak?!

– Patrzę, gdzie jest wentylacja – odpowiedział męski głos, a potem odezwał się jeszcze ktoś.

– Jeśli ptak, to tylko struś. Zobaczcie, to wygląda jak jaszczurka.

Oczy moje i Kasi znów się spotkały, a potem spojrzeliśmy na córkę. Była zadowolona, jakżeby inaczej, skoro tak pięknie się wypróżniła.

– Jestem głodna – jęknęła Wiki.

Mama zasłoniła jej usta i szepnęła:

– Właśnie się przekonaliśmy, że jesz aż zanadto.

Czyżby Wiki zjadła jaszczurkę? Czy ten gość żartował? Najgorsze jest to, że u trzyletniego dziecka nigdy nie można niczego wykluczyć, choćby nie spuszczało się go z oczu.

– Powiem wam, co to jest! – znów usłyszeliśmy kobiecy głos, ale tym razem już nieco cichszy i chyba zasępiony. – Walka z konkurencją! O to tu chodzi! – szczeknęła ekspedientka.

– Coś ty, Agnes – odezwał się uspokajający głos mężczyzny. – Kto by nam tu podrzucił gówno… – Chwila ciszy, czuliśmy, jak wciąż się temu przyglądają. – W dodatku gówno mamuta… – dokończył mdło, jakby robiło mu się niedobrze. Zagryźliśmy wargi. Teraz nie możemy parsknąć. Nie możemy się śmiać! NIE!

– A myślicie, że kto rozbił nam umywalkę na wystawie?

– Co z tym zrobimy? – zapytał męski głos. A drugi od razu odpowiedział:

– Trzeba to usunąć, samo stąd raczej nie wyjdzie. Chociaż… jeśli ta jaszczurka żyje…

Kobiecy głos:

– Tego na pewno nie wystarczy usunąć. Trzeba wymienić muszlę.

– Dlaczego wymienić? Przecież właśnie do tego jest stworzona.

Znów chwila ciszy.

Przyglądanie się.

Muzeum Narodowe pękłoby z zazdrości, bo chyba żadnemu ich eksponatowi nie poświęcono tyle uwagi, co tutaj temu…

Wymknęliśmy się ze sklepu i dyskretnie opuściliśmy budynek bocznym wyjściem. Pobiegliśmy co sił za pierwszy róg, a potem jeszcze dalej.

Dopiero po kolejnych dwóch przecznicach zatrzymaliśmy się, żeby złapać oddech.

– Jestem głodna – jęknęła znów Wiki.

– Masz szlaban na jedzenie, mamucie – oświadczyła mama.

Szliśmy dalej.

– Wiedziałaś, że Swarovski robi też toalety? – zapytałem dla podtrzymania rozmowy.

– Nie.

Ale teraz już wiemy. W głowie wciąż brzmiało mi jedno zdanie:

– BOŻE, KTOŚ NAM NASRAŁ DO SWAROVSKIEGO!

Wtorek – karta platynowa

Kiedy przed północą sadzaliśmy Wiki na toaletę, pytała przez sen, czy może już iść do przedszkola. Powiedziałem, że oczywiście, i położyłem ją z powrotem do łóżka.

Dziś przyszedłem po nią dopiero o siedemnastej, a ona i tak trzymała się karuzeli na placu zabaw, krzycząc, że nie chce iść do domu i że noc spędzi w przedszkolu. Zapytałem, czy nie będzie jej zimno pod tą płachtą do zakrywania piaskownicy. W końcu udało mi się zwabić ją na biszkopty, a na dodatek musiałem zanieść ją do domu na plecach. Jeśli tak dalej pójdzie, szybko trafi na przedszkolny odwyk.

Wpadliśmy do domu, Wiki się przebrała i spakowała jakieś nieduże zabawki na wyjście. Zazwyczaj upycha po kieszonkach różne kasztany,

kamyczki i inne śmieci, które wpadną jej w ręce, a potem wszędzie je sobie rozkłada i bawi się nimi. To takie jej Nintendo do poczekalni. Zadzwoniłem do żony, że nie mogę znaleźć spodni. Powiedziała, że są wyprane, a rzeczy z kieszeni mam na stoliku. Zapytała też, dlaczego nie poszedłem wczoraj na pocztę, i stwierdziła, że nie powinienem nosić luzem w kieszeniach tylu pieniędzy, więc wyjaśniłem, że wczoraj się nie wyrobiłem. Po chwili poszukiwań znalazłem klucze, chusteczki i dokumenty, ale po pieniądzach nigdzie nie było ani śladu. Już nawet nie dzwoniłem – dowiedziałbym się tylko, że jestem ślepy. Bo jestem. Nie wiem, jak to możliwe, że Kasia zawsze dokładnie pamięta, gdzie co jest. Szukanie odłożyłem na później i wyruszyliśmy z Wiki na obchód, żeby załatwić jak najwięcej spraw.

Najpierw poszliśmy do banku. Wziąłem numerek i usiadłem na krześle. Przeglądałem wiadomości, a Wiki wypakowała z kieszeni swój przenośny bałagan i bawiła się nim. Już po jakichś dwóch minutach podszedł do mnie ochroniarz i poprosił, żebym poszedł z nim. Dość mnie to przestraszyło. Zauważył to i szybko dodał, że prowadzi mnie do strefy VIP. Nieźle, jeszcze nigdy nie byłem w strefie VIP. Zastanawiałem się, czy mnie wylosowali, czy też zostałem do niej wybrany w jakiś inny tajemniczy sposób? Powiedziałem Wiki, żeby uprzątnęła swój bałaganik, spojrzałem na nią – i zamarłem. Wiki miała na stoliku kupkę banknotów o wysokich nominałach, jeden wystawał jej z kieszeni, i próbowała zbudować z nich tory dla swojej kolejki. Dobrze, że ostatnio zacząłem dbać o serce. A życie z córką nauczyło mnie jednej rzeczy: nieokazywania emocji. Zrozumiałem, gdzie zniknęły pieniądze, ale opanowałem się i nie rzuciłem się na banknoty. Zupełnie spokojnie powiedziałem:

– Wiki, posprzątaj to i idziemy.

Zauważyłem, że wszyscy się nam przyglądają. Kiedy czytałem wiadomości, nie zwracałem uwagi na otoczenie. Ale przecież nieczęsto

zdarza się spotkać brzdącowatego dyrektora banku centralnego, zabawiającego się mamoną. Ochroniarz z szerokim uśmiechem zaproponował, że on to uprzątnie. I to z przyjemnością. Chłopak, który siedział obok mnie, również zaproponował pomoc, żebyśmy my nie musieli tracić na to czasu… Wszyscy wokół się śmiali, a ja zmusiłem się, by poważnym głosem powiedzieć:

– W żadnym razie. Musi zrobić to sama, żeby nie przyzwyczajała się, że ktoś zawsze wszystko posprząta za nią.

Wiki ze zwieszonymi ramionkami wróciła do stolika i powciskała pieniądze do kieszeni. Bez ładu i składu oczywiście. Myślę, że w tamtej chwili w banku przeważała opinia, że dzieci wcale nie robią aż tak dużego bałaganu i że powinno się dać im spokój. Im więcej nabałaganią, tym lepiej! Ten chłopak obok mnie aż się palił do pomocy. Wiki dała mi rękę i poszliśmy za ochroniarzem. W strefie VIP już czekał na nas bankier.

– Proszę wybaczyć, że musiał pan czekać, panie… – witał się ze mną, ale patrzył na Wiki. Zrozumiałem, że to ochroniarz do niego zadzwonił, kiedy zobaczył, jak Wiki wyciąga kolejne banknoty, i poinformował, że przyszedł jakiś ważny klient. W duchu płakałem ze śmiechu. Nie mogłem wytrzymać. Ale na zewnątrz wziąłem tylko głęboki oddech.

– Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiej godności – powiedział bankier, wskazał mi skórzany fotel, a kiedy usiadłem, on również usiadł za swoim biurkiem. Przedstawiłem się i wziąłem Wiki na kolana. Kiedy tłumaczyłem, że przyszedłem tylko po formularz zmiany rodzaju karty dla żony, Wiki zeskoczyła mi z kolan, podeszła do biurka i zaczęła rozkładać „zabawki". Kiedy bankier zobaczył, ile ta dziewczynka ma cennych papierków, nie mógł oderwać od niej oczu.

– Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć? – przesunął wreszcie wzrok z Wiki na mnie.

– Potrzebuję tylko formularz…

– Aha. A czy zastanawiali się państwo…

Wiki otworzyła plecak i zaczęła wyciągać kolejne banknoty. O mało nie zalała mnie krew. Skupiłem się na zachowaniu kamiennej twarzy.

– Czy zastanawiali się państwo, hm... hm… nad kartą platynową? Daje dużo… hm. Korzyści.

Wiki zabrała bankierowi długopis i stwierdziła, że twarz na najwyższym nominale jest blada, więc postanowiła trochę ją pokolorować. Bankier podskoczył, aż jego krzesło odjechało pod ścianę, i podsunął Wiki kilka białych kartek.

– Proszę, tu możesz sobie malować – powiedział trochę histerycznym głosem. Na czoło wystąpił mu pot. – Po pieniążkach nie wolno malować – dodał i spojrzał na mnie, żebym go jakoś wsparł.

– Taki się nie robi, Wiki – powiedziałem pedagogicznym tonem, starając się nie patrzeć na córkę.

Następnie zostałem zapoznany ze wszystkimi korzyściami, jakie przynosi karta platynowa, na przykład bezpłatny wstęp do saloników na lotniskach na całym świecie, ubezpieczenie wszystkiego bez wyjątku dla całej rodziny, bezpłatna pomoc drogowa, osobisty bankier dostępny non-stop i inne tego typu bzdurki. Odparłem, że muszę to omówić z żoną, ale mnie się ten pomysł podoba. Kto by nie chciał karty platynowej? Skoro dają je praktycznie każdemu. Najwyraźniej.

Kiedy już wychodziliśmy z banku, zdyszany bankier dogonił nas z banknotem, który zgubiła Wiki. Gdy nie wyciągnąłem po niego ręki, wcisnął go Wiki do niedźwiadka, czyli do jej plecaczka, i chyba z sześć razy sprawdził, czy dobrze zasunął zamek. A potem machał nam jeszcze przez okno. I Wiki też do niego machała.

Potem moja córka zgłodniała, a ja nie miałem przy sobie nic do jedzenia, więc weszliśmy do kawiarni. Wiki zatrzymała się przy rzeźbionych figurkach przy drzwiach. Kiedy usiadłem przy stoliku w głębi sali, natychmiast pojawił się przy mnie kelner, podał mi menu i zapytał, czy może mi zaproponować coś do picia. Zamówiłem coś i powiedziałem, że jeszcze na kogoś czekam. Szklankę przyniósł mi dokładnie w tej samej chwili, w której do stolika przytańczyła Wiki i wdrapała się na krzesło.

– No wreszcie – powiedziałem. – Co chciała pani ze mną przedyskutować? – Wiki się zaśmiała, bo często bawimy się w ten sposób. Kelner zamrugał zaskoczony, ale zapytał:

– Czyli… Czy mogę już przyjąć zamówienie?

Podałem Wiki menu. Otworzyła je, chyba do góry nogami, i zaczęła pokazywać każdą stronę po kolei i krzyczeć:

– To! To! To! To!

Kelner spojrzał na mnie bezradnie. Ale nie pomogłem mu, tylko obojętnie wzruszyłem ramionami, dając do zrozumienia, że na zachowanie tej pani nie mam żadnego wpływu.

Kelner oblizywał wargi, spoglądał to na mnie, to na Wiki, aż w końcu ostrożnie zaproponował naleśniki z bitą śmietaną.

– Tak! – krzyknęła Wiki zachwycona.

Przyniósł jej nawet sok ze słomką, choć go nie zamawialiśmy. Szklanka prawie wypadła mu z ręki, bo Wiki już zdążyła wypakować z kieszonek swój bałaganik i wesoło machała banknotami. Kelner podał sok i zapewnił nas, że gdybyśmy CZEGOKOLWIEK potrzebowali, mamy go wezwać bez chwili wahania. Wiki ta myśl bardzo się spodobała i postanowiła od razu spróbować.

– Pomalańcza! – krzyknęła na całą kawiarnię. Na szczęście prawie nikogo oprócz nas tam nie było. Po kilku sekundach pojawił się kelner

z pomarańczą i osobiście ją przed nami obrał, a jedną cząstkę włożył nawet Wiki do ust. Moja córka z zachwytu stanęła na krześle i zaczęła podskakiwać, a banknoty opadały z niej jak liście. Kelner je podniósł, odłożył na blat, a ja starałem się udawać, że znów czytam menu.

– Lody! – krzyknęła Wiki, kiedy odszedł od stolika. Tym razem obsłużyła nas kelnerka. Przyniosła gałkę, chyba o smaku smerfowym. Miała straszny kolor. I bitą śmietanę. I posypkę orzechową. Wiki nie zamierzała siadać, co jakiś czas dziobnęła loda i zastanawiała się, co jeszcze zamówić sobie w tym raju.

– Czekolada!

I dostała na talerzyku kawałek gorzkiej czekolady. Obsługa chyba również dobrze się bawiła i obskakiwała Wiki jak stałego gościa, a nowo nabyta moc najwyraźniej doprowadzała moją córkę do ekstazy. Kiedy wychodziliśmy, zapłaciłem tylko za swój napój. Wiki nie chciała wychodzić, więc powiedziałem, że idę sam. A kelnera poinformowałem, że ona ma swoje pieniądze i płaci za siebie. Po tych słowach prawie wpadł na kolumnę. Co tam się działo później – nie wiem. Czekałem na zewnątrz. Po chwili Wiki wybiegła z wielką rurką w polewie czekoladowej i złapała mnie za rękę. Przez okno machały jej trzy osoby. Kelner, kelnerka i kucharz. W domu przeliczyłem pieniądze – nie brakowało ani jednego banknotu. Nie pozwolili jej zapłacić i jeszcze dali rurkę na drogę! Musimy tam pójść jeszcze raz i zostawić porządny napiwek.

W drodze do domu zatrzymaliśmy się u Wietnamczyków po warzywa. Było tam pełno ludzi, mnóstwo turystów, stanęliśmy w kolejce, a ja myślałem, że stracimy tu sporo czasu. Potem Wiki wyciągnęła z kieszonki kilka banknotów…

Środa – zebranie

Trzeci tydzień w przedszkolu. Jest coraz gorzej. Kiedy dziś przyszliśmy zabrać trzyletnią Wiki do domu, rozpłakała się na nasz widok. Będę musiał zapytać przedszkolanek, czy istnieją jakieś sposoby uprzykrzenia naszej córce pobytu w przedszkolu. W przeciwnym razie nie zaciągniemy jej do domu już nigdy. Przychodzą mi do głowy szykany i jakieś roboty karne. Dzięki temu nie powinna się tak kurczowo trzymać karuzeli na placu zabaw, a może przynajmniej będzie łatwiej ją oderwać.

Mieliśmy pierwsze zebranie rodziców. Dodało mi otuchy to, że nie jestem tam jedynym ojcem – był jeszcze jeden. Nie byłem sam, osaczony przez stado matek, co często zdarza mi się na placach zabaw. Tyle że później okazało się, że tamten mężczyzna musiał przyjść, bo jest skarbnikiem. To chyba jakaś klątwa. Kiedy chodziłem z żoną do poradni ginekologicznych, też byłem tam jedynym mężczyzną. Gdy wychodziła pielęgniarka i pytała, kto następny, zawsze patrzyła tylko na mnie. Czułem się jak pani Herma Frodyta.

Dowiedzieliśmy się, że jednej z przedszkolanek kończy się urlop macierzyński, ale… idzie na urlop macierzyński. Chyba choroba zawodowa. Wszyscy rodzice podpisali też zgodę na publikowanie prac dzieci w związku z jakąś nowelizacją w Kodeksie cywilnym. Po raz pierwszy udostępniłem więc w imieniu córki prawa autorskie. Super. Ma stawki równie mizerne jak ja. A z tego trzeba odliczyć jeszcze podatek i ubezpieczenie. To mi przypomina, że muszę zapłacić karę Zaiksowi, bo wczoraj śpiewaliśmy sobie z Wiki piosenkę. Na dworze. Czyli wystąpienie publiczne. I złapali nas.

Do przedszkola przyjdzie fotograf ! Ciekaw jestem, co z tego wyjdzie, ponieważ Wiki jest równie fotogeniczna jak jej mama. Kasia nie robi sobie zdjęć praktycznie nigdy, więc ma prawdopodobnie największą kolekcję zdjęć „przy których była". Zazwyczaj stojąc poza kadrem. Nigdy nie przestanie mnie bawić to, jak pokazuje, gdzie jej na zdjęciu nie ma. Natomiast Wiki jest tak szybka, że na fotografii uchwycić ją można tylko olimpijską kamerą Usaina Bolta. Dzięki temu posiada największą kolekcję zdjęć „na których jeszcze przed chwilą była". Jakoś nie miałem w przedszkolu odwagi, żeby spytać, czy przed pstryknięciem będą przybijać dzieci do ściany.

Jednogłośnie przyjęliśmy również regulamin przedszkola, który „na pewno wszyscy czytali". Oczywiście nie czytał go nikt, czyta się go zawsze kilka godzin przed wyrzuceniem z przedszkola, kiedy trzeba znaleźć jakiś kruczek, a na to mamy chyba jeszcze sporo czasu… Jakiś tydzień. Rodzicom przypomniano też godziny otwarcia przedszkola. Ten punkt programu był poświęcony tylko nam, czyli „rodzicom, których dzieci próbują zostać w przedszkolu na noc".

Następnie przyszła kolej na informacje o kółkach zainteresowań i najróżniejszych możliwościach dodatkowego rozwoju dziecka. Jednocześnie powiedziano nam, że w okresie adaptacyjnym nie należy dzieci tam zapisywać, ponieważ w pierwszej kolejności powinny one poznać siebie nawzajem. A ja już się cieszyłem, jak bardzo nasza córka się na tych zajęciach zmęczy. Niestety po chwili musiałem wypisać ją z boksu, dwunastoboju, wioślarstwa, podnoszenia ciężarów i szkoły przetrwania.

Podobno wszystkie potrzebne informacje znajdziemy na tablicach informacyjnych. Czyli na tablicy ogólnej, tablicy dla rodziców, tablicach poszczególnych grup, tablicy stołówki i tablicy rady rodziców. Dopiero

wtedy zrozumiałem, że ten martwy człowiek leżący na schodach to przedszkolny specjalista ds. tablic informacyjnych.

Zbliża się zielona szkoła, cudowna rzecz! Przez dziesięć dni naszym dzieckiem będzie się zajmować ktoś inny. Dziesięć dni! Żona musiała mnie powstrzymywać, kiedy chciałem spytać, które przedszkolanki tam jadą, żebym zdążył zgłosić ich kandydaturę do najwyższych odznaczeń państwowych.

Wiedzieliście, że przedszkola są otwarte również w wakacje? To dla mnie kolejne szokujące odkrycie. No dobrze, ja też chodziłem do szkoły w wakacje, ale tylko dlatego, że moja promocja do następnej klasy była zagrożona. A te maluchy chyba nie mogą nie zdać? Tak myślę. Bo jeśli mogą, Wiki na pewno będzie próbować. Tylko z czego można nie zdać w przedszkolu? Wiki na razie mogłaby oblać tylko egzamin z jedzenia bez śliniaka, mycia zębów i podcierania pupy. Ze sznurówkami też sobie nie radzi, umie się na nich tylko powiesić.

Na koniec stanowczo przypomniano rodzicom, że dzieci przyprowadzane do przedszkola muszą być zdrowe i że przedszkolanki mogą zażądać lekarskiego potwierdzenia stanu technicznego berbecia – czy nie jest chory i czy nie zarazi pozostałych dzieci. Wyjątkiem są maluchy z wirusem ebola – je przyjmują. Przynajmniej ja bym przyjmował. Mając na głowie 25 x Wiki, chciałbym umrzeć szybko. Zebranie się skończyło, nadszedł czas, żeby zabrać Wiki do domu. Wyciągnąłem z plecaka łom i stalowe liny do bagra.

U babci i dziadka

U babci i dziadka jest pięknie. Nie byliśmy tutaj tak długo, że trzyletnia Wiki już prawie nic z tamtej wizyty nie pamięta. Dziadka się na początku bardzo bała, bo jest zarośnięty jak Duch Gór, ale on wiedział, jak z nią rozmawiać.

– Wiki, tutaj masz żelowe dżdżownice, tu herbatniki, tu biszkopty… I kiedy tylko zechcesz, możesz przyjść i wziąć to, na co będziesz miała ochotę.

Wiki spojrzała na niego z niedowierzaniem, bo nigdy wcześniej nikt nie powiedział jej, że może zjeść tyle słodyczy, ile zapragnie. A przynajmniej nikt, kto ją zna. Nie ma nadwagi, ale należy do dzieci, które po prostu lubią jeść. Rozejrzała się ostrożnie, czy nie czaimy się w pobliżu, a kiedy zobaczyła, że rodziców nie ma na horyzoncie, jeszcze raz spojrzała na dziadka, sprawdzając, czy mówi poważnie. Mówił. Poczciwe naiwne chłopisko. A potem Wiki przeistoczyła się w odkurzacz. Dziadek z babcią z rosnącym zdziwieniem obserwowali, jak nasza córka próbuje wepchnąć zawartość kilku miseczek do krtani i jak całe zapasy na dwutygodniową wizytę znikają bez śladu. Kiedy wnuczka wychodziła z kuchni i z zadowoleniem przeżuwała ostatnie kęsy, z ust sterczały jej trzy ogonki kolorowych węży, a biodrami wyrwała futrynę. Dziadek i babcia starali się ją powstrzymać, tłumacząc, że nie musi zjeść wszystkiego naraz, że naprawdę może po to przyjść, kiedy tylko zapragnie, ale Wiki z doświadczenia wiedziała, że co nie zostanie zjedzone od razu, może przepaść na wieki. I próbowała połknąć dwa opakowania herbatników jednocześnie.

Od naszej ostatniej wizyty dziadek bardzo się zmienił. Nie orze już w pocie czoła głębokich bruzd, nie obrabia krów i cieląt, nie troszczy się o stadko świnek. Rzucił to wszystko. A zamiast w *Farmeramę* gra teraz w *Diablo.*

W nocy graliśmy z babcią w karty, a ona zaczęła opowiadać, jak wyglądało życie, gdy ona była mała. W czasie wojny. Jak ukrywali się w piwnicy i co musiał robić pradziadek. Potem spytałem, czy Awarowie naprawdę byli tacy okrutni i jakie były późniejsze losy Państwa Samona. Nie uwierzylibyście, jak ta staruszka jest jeszcze zwinna. Nie zdążyłem zrobić uniku przed drewnianą łyżką, a przecież babcia siedziała dobre pięć metrów od kredensu. Jeśli moja mama przeczyta kiedyś, że napisałem o niej „staruszka", jestem trupem. Ale to jest mój rewanż za wygłoszoną przy Kasi uwagę, że przez całe życie zawsze potrafiła schudnąć, tylko po *tym* już nie. A przy „tym" wskazała na mnie.

Zapomniałem wziąć ostrze do golarki i pierwszy raz od lat musiałem golić się z pianką. Wiki nigdy wcześniej nie widziała taty z pomazaną twarzą i zapytała, co robię. Zdradziłem jej, że opycham się w łazience bitą śmietaną. Potem przez cały czas waliła w drzwi, że też chce.

Wreszcie mogłem spokojnie przejść się ze swoim psem Maksem. Nie jest już najmłodszy, ale w ogóle się nie zmienił. W odróżnieniu od doskonale wytresowanego Denisa, Maks to niereformowalny świrus. Wyjście z nim przypomina spacer z hiperaktywnym traktorem. Kiedyś zaplątała się nam w smycz katedra, a on ciągnął ją przez dobre trzysta metrów, zanim się zatrzymał. Ale teraz nagle stanął sam z siebie. Natychmiast zauważyłem, że za płotem stoi coś, co wygląda jak bernardyn, ale jest dwa razy większe. Nie mam pojęcia, co to mogło być, ale na pewno jechało na sterydach. A ten mój psi głupol kucnął sobie akurat przed tym potworem. Bestia stanęła na tylnych łapach, a ja pierwszy raz w życiu

zobaczyłem, jak wygina się betonowy płot. Maks spojrzał na tego psa, potem skinął głową na mnie, a ja jakbym słyszał jego psią mowę:

– Cześć, wszystko u ciebie w porządku? Przyprowadziłem ci przekąskę.

Ale poza tym jest to całkiem udany wyjazd. Wiki dostała gorączki i w nocy prawie nie spała. Udało się nam zdobyć jakiś syrop, po którym zaczęła śpiewać: *Mama śpi w kledensie, tata zjada glabie*. Właśnie czytam ulotkę, żeby sprawdzić, czy ktoś to testował chociaż na mszycach.

Wiki przydreptała do mnie i zaczęła wciskać mi szminkę cioci, żebym się nią umalował. Przestała dopiero, kiedy powiedziałem jej, że to nie mój odcień. Zapowiada się długi urlop…

Katarek – przy czytaniu nie jedzcie i nie pijcie

Katarek – jedna z męskich chorób śmiertelnych. Obok temperaturki i kaszelku. Ale w wykonaniu trzyletniego dziecka jest to coś naprawdę strasznego. Przed lekturą przygód Wiki czytelnicy często ostrzegają się wzajemnie, żeby przy czytaniu nie jeść i nie pić. Tym razem muszę ostrzec osoby o słabszych nerwach – zdecydowanie odradzam wam dalszą lekturę tej opowieści. Zobowiązałem się do informowania o wszystkich aspektach rodzicielstwa szczerze i bez upiększeń, więc również w tym przypadku nie zamierzam ukrywać prawdy. Doświadczeni rodzice nie znajdą tu niczego nowego, ale początkujących lub przyszłych rodziców ta przygoda może przerazić.

Z początku ten katar wyglądał niewinnie, jak każdy inny – przecież katar pojawia się u dzieci często, a u przedszkolaków jest nieodłącznym elementem życia, choć byście garściami pakowali w swoje pociechy witaminy. Zaraz po przyjeździe do dziadków z małego noska trysnął wodospad Niagara smarków, jakby ktoś właśnie otworzył śluzę. Rozkładacie odświętną zastawę, dzieciątko robi małe „apsik" – i podano do stołu. Pełne są głębokie talerze, płytkie talerze, pierwsze danie, drugie danie… A ta drobniutka dziewczynka uśmiecha się uroczo jak Władca Marionetek, ponieważ z każdym talerzem łączy ją długi sopel. Niektórzy już wymiękli? Jedziemy dalej.

Bierzecie córkę na ręce, głaszczecie ją, ona się do was przytula, potem na chwilę się odchyla, robi „PFLUK!", a wy macie wraże nie, że zaatakowała was meduza. Kapie z was jak z Obcego, i to przeziębionego. Skąd to się w nich bierze? Jak to możliwe, że ta mała główka przebudza się ze snu, podnosi się, robi „KCHRST!" – i nagle znajdujecie się w pomieszczeniu, w którym najwyraźniej przed chwilą skończyła się impreza ślimaków-gigantów. Na żyrandolu skrzą się nowe kryształy, a ściany mają bardzo psychodeliczny kolor.

Niosłem Wiki na plecach, głowę oparła mi o ramię, zasypiała. I nagle patrzę, a na swetrze siedzi pan Glucik. Zielony. Nie wyglądał, jakby pochodził od człowieka. O, i jeszcze jeden. Po chwili wyglądałem, jakby wszystkie Gluciki urządziły sobie na moim brzuchu zjeżdżalnię.

Kiedy poszliśmy do ośrodka zdrowia, pani doktor kazała rozebrać córeńkę od pasa w górę. Wiki pociąga nosem, kaszle, bulgocze jak bagno. Dzwoni telefon. Pani doktor odbiera. Wiki zrobiło się zimno i nagle: PSIK-PFLUK-KCHRST! I w tej samej chwili wylatuje jej coś z uszu i kciuków. Przerażona Kasia, trzymająca Wiki na kolanach, łapie większość smarków w małą dziecięcą chusteczkę, a w niej natychmiast powstaje Loch Ness

wraz z pływającym, jaskrawozielonym potworem. A kiedy moja żona stara się utrzymać brzegi w równowadze, żeby to piekło nie wypłynęło, pani doktor spokojnie kończy rozmowę, spogląda na rozpromienioną uśmiechem dziewczynkę, cieszącą się, że wreszcie porządnie sobie kichnęła, i mówi:

– No, widzę, że już jest prawie zdrowa! Nos ma drożny, pięknie oddycha i humorek też najwyraźniej dopisuje, czyli wraca do zdrowia. Proszę już nie podawać żadnych leków. Ale szybciutko cię wyleczyliśmy, prawda?

Wiki potakuje, Kasia stara się nie przewrócić Krakena, a ja po raz kolejny próbuję zetrzeć z siebie kawałek meduzy o wyjątkowo dużym zasięgu.

Krótko mówiąc – nie mieliśmy pojęcia, do czego zdolne jest chore dziecko. Doświadczenia rodziców mają coś wspólnego z doświadczeniami więźniów politycznych, o których mówi się: Kto nie przeżył, nie uwierzy, a kto przeżył, nie zapomni. I nie mówcie, że was nie ostrzegałem.

– PFLUK!

Przepraszam, muszę iść kupić sobie coś do ubrania. Postanowiłem nosić już tylko neopren.

Jestem zdrowa – wracam do przedszkola!

Czekamy u lekarza na decyzję, czy Wiki może iść do przedszkola. Przed nami są dwie kobiety. Najpierw myślałem, że to mama i ciocia, które

czekają, aż dziecko wyjdzie z gabinetu, ale Wiki przydreptała do jednej z nich, a ona powiedziała:

– Ale piękna z ciebie dziewczynka. Jak masz na imię?

Wiki tylko uśmiechnęła się zawstydzona. Powiedziałem więc za nią:

– Wiki.

A jedna z tych kobiet na to:

– Jakie piękne imię. A ja przyszłam tu z tą dziewczynką.

I wskazała na kobietę siedzącą obok. Nie mogłem uwierzyć, że to jej córka… I w ogóle, że to pacjent pediatry. Była wyższa niż ja, czyli musiała mieć jakieś dwa metry. Pod warstwą farby na twarzy trudno było określić wiek. Wieżowiec tylko jęknął:

– Mamo!

Wiki chciała się zaprzyjaźnić, więc przyniosła im jakąś ulotkę. A mama bardzo się ucieszyła:

– Zobacz, na odparzenia, to by się nam jeszcze mogło przydać, prawda – i szturchnęła tę wieżę Eiffla.

– Maaamo! – westchnęła przeciągle tyczka. – Wiesz co, mogłam tu przyjść sama!

– Nie odbieraj mi tej przyjemności. Wiesz, kiedy ostatnio byłam z dzieckiem u lekarza?

Świeżo polakierowany maszt prychnął.

Wiki przyniosła następny prospekt. Znajomość dobrze się rozwijała.

– Zobacz! Na gazy. Z tym też ciągle mamy problem…

– MAMO!

– Przypomnij sobie, co było w sobotę po obiedzie…

– MAMO! Jeśli natychmiast nie przestaniesz, będziesz wychodzić tylko z tatą! – drągal wyprostował się, aż uderzył głową o wiszącą pod sufitem

półkę z książkami. Na siedząco.

– Spokojnie, wyluzuj – mruknęła mama. Potem się uśmiechnęła, wzięła od Wiki następną karteczkę i krzyknęła zachwycona: – Zresztą na to mamy Espumisan, prawda, Wiki?

Zadowolona Wiki przytaknęła. A ponieważ nasza córeczka jest bardzo grzeczna, jedną ulotkę przyniosła też słupowi telegraficznemu. Wysoki jałowiec wziął ją zrezygnowany, mrugnął coś do Wiki, a potem obrócił oczy w słup. Mama zajrzała córce przez ramię i parsknęła:

– No widzisz, probiotyki! Nie ma nic lepszego niż porządna mikroflora jelitowa! Z nią niestraszne nam będą żadne zaparcia.

Latarnia morska wstała, odkaszlnęła i westchnęła:

– Mamo, naprawdę, ja już wolę być chora. Idziemy do domu.

– No przestań. Siadaj.

I drabina strażacka znów złożyła się na krzesło. Potem z gabinetu wyszła pielęgniarka, byliśmy następni w kolejce. Kiedy później wychodziliśmy z gabinetu, pożegnałem się z topolą i jej mamą. Żyrafa tylko coś westchnęła, a ja wiedziałem, że jej mamy już nigdy nie zobaczę.

Ani ja, ani nikt inny.

Oprócz grabarza.

– Nie, nie możesz wziąć tej szczoteczki do przedszkola.

– Ploszę! Dlaczego nie? – pyta trzyletnia córka Wiki.

– Bo zamiast myć nią zęby, ciągle ją przeżuwasz i jest cała pogryziona. W przedszkolu staramy się sprawiać wrażenie, że jesteś stworzeniem dość higienicznym, może nawet niezarobaczywionym.

– Ale ja cę wziąć szczoteczkę…

– To weź tę nową, prawie nieużywaną…

– Ja cę tą.

– No dobrze – skapitulowałem – ale tylko do zabawy, nie będziesz nią myć zębów. A paniom przedszkolankom powiesz, że to taka mała szczotka do toalety.

– Dooobrze.

Zaśmiałem się.

– Nie, Wiki, naprawdę nie możesz wziąć tej szczoteczki ze sobą.

– Idę schować ją sobie do plecaczka.

– Słuchasz mnie? To, co mówię, naprawdę jednym uchem wpada, drugim wypada, a potem jeszcze rozkwasza sobie nos o lodówkę.

– Co? Gdzie? Ja nic nie widzę – Wiki w skupieniu przygląda się lodówce. I nic. Naprawdę nic.

– Po prostu nie możesz wziąć tej starej szczoteczki.

Wreszcie westchnęła, odłożyła szczoteczkę i poczłapała do pokoju. Tam zastała mamę z głową w szafie.

– Czego szukasz?

– Wczorajszego dnia – odpowiedziała żona bezmyślnie.

– Wczolajszego dnia? No nie wiem. Gdzie jest? – Wiki z ciekawością wpychała się do środka.

– Hej, nie wchodź tam, bo znowu to wszystko porozrzucasz.

– Chodź, Wiki, zajrzymy tam jutro, ale wtedy będziemy musieli szukać już przedwczorajszego dnia. I obawiam się, że nie będzie pachnieć zbyt przyjemnie.

– Coo? No nie wiem, ja się na tym nie znam.

W pewnym sensie to jest wyjaśnienie, dlaczego Wiki nie może doczekać się wyjścia do przedszkola. Ponieważ w domu spotykają ją właśnie takie rzeczy. Biedaczka cierpi tak już tydzień – czyli przez całą chorobę.

W nocy obudził mnie koszmar. Przedszkolanka pytała o nową szczoteczkę, którą Wiki myła zęby.

– W domu czyścimy nią toaletę – wyjaśniła Wiki i jak gdyby nigdy nic dalej szorowała kły. Ostatnim, co widziałem, zanim obudziłem się z krzykiem, były dwie przedszkolanki w toalecie. Jedna wymiotowała, a druga trzymała ją za włosy.

Metro

Zatłoczone metro, głowa przy głowie. Wiki była u mamy na rękach, a ja dodatkowo ją podtrzymywałem. Staliśmy między siedzeniami, a Wiki szczerzyła się do jakiejś swojej rówieśniczki, która siedziała obok na kolanach swojej mamy. Minki naszej córki szybko zdobyły sporą widownię wśród tłoczących się wokół pasażerów. Już na drugiej stacji Wiki zaczęła się nudzić.

– Razem ze mną…! – krzyknęła na cały wagon.

– …kundel bury… – dołączyła automatycznie Kasia, bardziej po to, żeby trochę utemperować córkę i nakłonić ją do śpiewu zamiast krzyku.

– Penetruje wszystkie dziury – włączyła się również tamta dziewczynka razem z mamą, która cieszyła się, że jej dziecko będzie mieć przez chwilę jakąś rozrywkę.

Nagle zaśpiewało parę osób wokół nas:

– Kundel bury, kundel bury…

Po czym nastąpiło chóralne:

– Kundel bury, fajny pies!

Grupka wyrostków przy drzwiach odśpiewała swoją partię i wybuchła śmiechem.

Wiki była zachwycona wspólnym śpiewem, ale coś ją zastanowiło.

– Co to znaczy *penetruje*? – obróciła się do mnie.

– No wiesz, jak psy – mruknąłem dyskretnie. – Latają wszędzie i zaglądają w każdą dziurę…

Powiedziałem to tak cicho, żeby tylko Wiki mnie usłyszała, ale nie wziąłem pod uwagę ludzkiej złośliwości. Nagle cały wagon ucichł i z ciekawością słuchał, jak ojciec będzie wyjaśniał córce penetrację. No i słyszeli mnie. Wszyscy. A potem wybuchli śmiechem. Wyrostkowie walili głowami w drzwi i płakali. Wiki złapała się uchwytu i zaczęła podskakiwać jak szalona. Podobało jej się, że wszyscy się śmieją, i postanowiła dołożyć od siebie coś, czego nauczyła się w przedszkolu. Spojrzała na mnie znacząco, pokazała palcem ucho i w chwili ciszy, kiedy akurat wszyscy brali oddech, powiedziała:

– Ktoś nas podsłu…chuje!

Moment konsternacji, zaśmiało się tylko kilka osób.

Ja i Kasia trochę poczerwieniejliśmy. Młodzież znów zaczęła się śmiać, kiedy tylko zrozumiała.

– Nie, Wiki, nikt nas nie podsłuchuje, po prostu w naszym wagonie jadą też inni ludzie.

– CHUJE! – krzyknęła Wiki, a cały wagon zmienił się w bandę nastolatków. Jakby ci ludzie nigdy w życiu nie słyszeli nic śmieszniejszego.

– Nie podsłuchuje – jęknęła Kasia, choć wszyscy wiedzieli, że poprawianie Wiki nie ma sensu.

– PIEPRZYSZ! – wyrzuciła z siebie z takim uczuciem, aż skropiła kilka sąsiednich osób.

Znów wybuch śmiechu. W tym przypadku nie mam już pewności, czy to też przyniosła z przedszkola. W domu także może niejedno usłyszeć.

– Pieprzy – zanosiła się ze śmiechu jakaś dziewczyna przy drzwiach, a nastolatkowie znów zrywali boki.

Wiki wyprostowała się i odpaliła swoją ostatnią bombę:

– Zjamana golążka!

Znów chwila całkowitej ciszy.

– Zjamana golążka! – parsknęła znów Wiki, a młodzież znów zaczęła się głośno śmiać. Ludzie wokół również, choć nikt nie wiedział, o co tak właściwie chodzi. Chyba ktoś odkręcił jakiś gaz, bo nagle cały wagon zmienił się w bandę trzyletnich rozrabiaków.

Zgodziliśmy się z żoną, że musimy rzadziej korzystać z komunikacji miejskiej i więcej chodzić. Chodzenie jest przyjemniejsze niż słuchanie na ruchomych schodach machających do was ludzi: *zjamana golążka, podsłuchuje, penetracja!*

Bar karaoke

Bary karaoke nie są u nas zbyt popularne. Restauracja, do której się wybraliśmy, również tak właściwie nie była barem karaoke. Była to zwykła restauracja, do której ktoś przyniósł zestaw do karaoke – nie wiem, czy jeden z pracowników, czy może z klientów. I nie było to tak właściwie karaoke, tylko mikrofon podpięty do wieży, ale dało się śpiewać. Grupka osób dobrze się przy tym bawiła, dołączyło do niej kilku innych gości.

Siedzieliśmy w osobnym saloniku, trzyletnia Wiki natychmiast z niego wybiegła, ale po krążący z ręki do ręki mikrofon nie podeszła – wstydziła się. Po doświadczeniach z jej pierwszego publicznego występu, kiedy to do chwili jej pojawienia się na scenie maluchy śpiewały tylko *Pieski małe dwa,* a Wiki zaprezentowała swój hit *Wlazł kotek na płotek i mruga,* nasza czujność rosła zawsze, kiedy w zasięgu wzroku pojawiał się mikrofon. Ale w ostatnich tygodniach Wiki zachowywała się niegroźnie. Wciąż podśpiewuje sobie normalną wersję *Wlazł kotek,* co jest o wiele lepsze niż *przyjdzie kocica i go zruga.* Jeszcze długo będzie nas prześladować zakończenie, które nasza córka odśpiewała przed tłumem rodziców: *Spieprzaj stąd, koteczku, póki czas.*

Ale ostatnio Wiki uśpiła naszą czujność i teraz zachęcaliśmy ją, żeby spróbowała coś zaśpiewać, ale nie miała ochoty. Mikrofon przyciągał ją jak magnes, lecz nie oddalała się od nas. Mimo to z zafascynowaniem przyglądała się występom dorosłych, co nam bynajmniej nie przeszkadzało – mogliśmy jeść. Rozmawiałem z żoną, cieszyliśmy się spokojną kolacją i nawet nie zauważyliśmy, że muzyka ucichła. Podskoczyliśmy, kiedy z głośników nagle dobiegło sapanie. Znaliśmy to sapanie, tak jak każdy rodzic pozna swoje dziecko nawet po czknięciu. Dorośli rzeczywiście zrobili sobie przerwę. Wiki w okamgnieniu znalazła się przy wieży i dorwała się do mikrofonu. Teraz przechadzała się między stołami, przyciskała mikrofon do buźki i tak po prostu oddychała. Na całą salę. Żeby uzupełnić obraz całej sytuacji, muszę wspomnieć, że chociaż Wiki ma mnóstwo rzeczy po kuzynach, więc często jest brana za chłopca, tym razem mama wystroiła ją w różową sukieneczkę. Wyglądała naprawdę delikatnie i niezwykle uroczo.

I tak ta nasza urocza dziewczynka obojętnie krążyła wokół ludzi spożywających kolację, aż zatrzymała się przy pewnej starszej pani,

wytwornie ubranej, z doskonałym makijażem i bardzo szczupłej – wyglądała na dość surową menadżerkę. Mimo to spodobała się Wiki. I po raz pierwszy usłyszeliśmy, że nasza córka naprawdę śpiewa. Dopiero kilka tygodni temu zaczęła modulować głos, ale teraz to brzmiało jak prawdziwy śpiew. I to bardzo wyraźny, choć Wiki nie rozróżnia jeszcze r i l, a także kilku innych głosek. W chwili, kiedy zaczęła śpiewać, odkryliśmy, że jest genialna. Zaczęła nucić piosenkę, której z pewnością nigdy nie słyszała. Kiedy dzień wcześniej żona przypomniała sobie tę piosenkę z dzieciństwa, Wiki była z babcią w pokoju obok, a do tego był włączony telewizor. Ale nawet gdyby mimo to ją słyszała, niemożliwe, żeby tak dokładnie ją zapamiętała. Niemniej pierwsza piosenka z ust naszej małej córeczki brzmiała jak *Te Deum* Charpentiera, które każdy kojarzy jako dżingiel Eurowizji. W czasach naszego dzieciństwa krążyły obrzydliwe przeróbki nienadające się do śpiewania w miejscach publicznych. A już na pewno nie w restauracji.

Wiki w różowej sukieneczce zatrzymała się przed tą elegancką panią i bardzo cicho zaśpiewała do mikrofonu:

– Wycieka mi mózg z czaszki…

Pani zrobiła wielkie oczy i ścisnęła w dłoni serwetkę. Cała restauracja ucichła. My zamarliśmy. Spojrzeliśmy na siebie z żoną, zadając telepatycznie to samo pytanie:

– Boże, jak ona mogła to usłyszeć?

Wiki zauważyła, że przyciąga uwagę, zachichotała i powtórzyła, tak jakby ktoś mógł niedosłyszeć:

– Wycieka mi mózg z czaszki, pobludzi mi wszystkie fatałaszki…

Pani przycisnęła serwetkę do ust, Kasia zaczęła zsuwać się pod stół, a ja próbowałem wtopić się w oparcie. Ludzie na krzesłach odwrócili się

w stronę Wiki, ale ona nie zwracała na nich uwagi. Przechadzała się dalej i śpiewała sobie cichutko:

– Wycieka mi mózg z czaszki, pobludzi mi wszystkie fatałaszki, skosztuje, najdłożsi!

Wiki poruszała się jak profesjonalistka, od stołu do stołu. Drugi przystanek przypadł na kobietę w średnim wieku, która miała przed sobą naprawdę wielką porcję. Siedziała sama i mogłaby spokojnie zająć dwa krzesła. Wiki znów – pomimo iż zazwyczaj trudno ją zrozumieć – zaśpiewała niewiarygodnie wyraźnie:

– Wypływa mi z brzucha selce…

Kobieta odłożyła sztućce i trochę zzieleniała. Ja i żona stawaliśmy się coraz bardziej przezroczyści. Reszta restauracji bawiła się przednio. Zatem Wiki zna również drugą zwrotkę. Mieliśmy nadzieję, że nie całą. Wiki nabrała powietrza.

– Wypływa mi z brzucha selce, nadziejcie je na widelce.

A ponieważ kobieta nic nie mówiła, tylko przybrała kolor świeżej trawy, Wiki schyliła się i podreptała dalej z buźką przyciśniętą do mikrofonu tak mocno, że było słychać, jak przełyka ślinę.

– Wypływa mi z brzucha selce, nadziejcie je na widelce, poliżcie, najdłożsi…

Korpulentna kobieta obróciła się do surowej menadżerki i powstrzymując z uśmiechem wymioty, krzyknęła:

– Wystarczy, od dziś przechodzę na dietę, bo nieprędko zapomnę ten występ.

Przez głowę przeleciała mi myśl, że moja córka zostanie kiedyś słynną tenorką. Kiedy będzie udzielać wywiadu, zostanie zapytana o początki kariery.

– Po raz pierwszy występowałam w wieku około trzech lat.

– A z jakim repertuarem, madame?

– *Wycieka mi mózg z czaszki* – a potem już tylko ujęcia wymiotującego Bocelliego.

Trzecią zwrotkę *Wypływa mi oko z głowy* zaśpiewała trzem dziewczynom, które najwyraźniej zrobiły sobie wieczór bez mężczyzn, i one doskonale się przy tym występie bawiły. Nie pojmowałem, jak Wiki mogła to usłyszeć i zapamiętać. Przecież mając w domu kogoś takiego, strach choćby pomyśleć o czymś nieprzyzwoitym! Na szczęście nasza córka zakończyła swoją arię na zwrotce o oku, ale i tak sprawy zaszły za daleko. Otoczył ją tłum zauroczonych fanów, przez co Wiki straciła rezon i chciała do nas przybiec, ale oboje pokazywaliśmy jej, żeby trzymała się od nas z daleka, a gdyby ktoś ją pytał – to przyszła sama.

Cóż, nasza córka najwyraźniej ma ambicję, by założyć zespół o nazwie Iderzygać, ale mam nadzieję, że z tego wyrośnie. Pocieszające jest to, że od tamtego wieczoru nie śpiewała tej piosenki ani razu. Chociaż nie wiem, co śpiewa w przedszkolu. I czego uczy inne dzieci. Może rodzice są w szoku. Mam też wrażenie, że w ostatnich dniach w przedszkolu jest coraz mniej dzieci. Pewnie przez grypę.

Pan Papryka

Dziesiątki sklepów, a w żadnym nic nie ma. Obszedłem kolejne regały, aż wreszcie poprosiłem o pomoc obsługę, bo nie znalazłem tego, czego szukałem. I nic, zero reakcji. Potem nagle usłyszałem z drugiej strony:

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

Obejrzałem się zaskoczony i powtórzyłem swoje pytanie. Sprzedawca skinął i najpierw przeprosił, że manekin, do którego mówiłem, jest tak głupi, że zazwyczaj nie wie nawet, jaki jest dzień tygodnia, a co dopiero gdzie są spodnie zimowe. Potem uprzejmie poinstruował mnie, że w dziale dla mężczyzn będę miał zdecydowanie większe szanse na znalezienie zimowych spodni niż wśród damskiej bielizny. Podziękowałem i szybko się zmyłem. Miałem bardzo, bardzo dziwne uczucie *déjà vu*. Zrozumiałem to, kiedy w mojej głowie przemówił drwiący głosik:

– I co? Jak to jest spotkać samego siebie?

Przez chwilę o tym myślałem, a potem zacząłem się śmiać.

Całkiem zabawnie!

Ostatnio ulubioną zabawką naszej Wiki jest pluszowa papryka. Nigdy się z nią nie rozstaje, a jeśli przypadkiem na chwilę gdzieś ją odłoży, natychmiast po nią biegnie. Jeszcze nie widziałem, żeby tak uwielbiała jakąś zabawkę. No dobrze, ona tej papryki nie uwielbia, ona raczej się o nią boi. Cierpi na jakąś paranoiczną obawę, że ktoś chce ją zjeść. No dobrze – że ja chcę ją zjeść. Prawdopodobnie kiedyś niechcący wspomniałem, że skoro to papryka, to powinna zostać schrupana. No dobrze, powiedziałem tak kilka razy. Ale przed tymi niegroźnymi etiudami naprawdę trudno się powstrzymać, kiedy Wiki przyciska do siebie pana lub panią Paprykę i mówi, że nie pozwoli, by ktokolwiek ją spałaszował! Myślę, że zaczęło się to chyba jakoś tak:

– To co, zjemy tę paprykę?

– Nie, jest pluszowa!

– Ale wygląda smakowicie.

– Jest pluszowa, nie jest do jedzenia.

– Nie ma pewności, dopóki się nie spróbuje. Podaj ją, ukroję nam po kawałku, dobrze?

– Nieeee!

Wiki ucieka z papryką.

– Tato, jestem głodna.

– To na kolację zjemy paprykę.

– Nie, paplyki się nie je! Ja cę kanapkę.

– Dobrze, dostaniesz kanapkę.

– Dobrze.

– I paprykę.

– Nieeee!

Wiki ucieka z papryką.

– Wiki, kolacja!

– Ja już nie jestem głodna!

– To fajnie, zrobiłem tosty z szynką i serem.

– O, to lubię!

– Świetnie, brakuje mi tylko papryki. O, widzę, że jedną akurat niesiesz, miło z twojej strony, zaraz ją pokroję…

– Nieeee!

Wiki ucieka z papryką.

– No, mamy soki, mamy mąkę, jeszcze trzeba wymyślić, co jutro na obiad, to od razu to kupimy.

– Może mięso mielone?

– I zrobimy pulpety?

– Raczej nadziewaną paprykę – spojrzałem na Wiki i oblizałem się ze smakiem nad jej zabawką.

– Nieeee!

Wiki ucieka z papryką.

– Wiki, kończą się nam przyprawy.

– Jak to?

– No tak to, jutro będzie gulasz, będzie nam potrzebna słodka papryka, więc posadź pana Paprykę na kaloryfer, dobrze?

Wiki ucieka z papryką.

– Chce mi się siusiu.

– Wow, Wiki, pierwszy raz obudziłaś się sama w nocy i powiedziałaś, że chcesz siusiu, musimy to jakoś uczcić! Może schrupiemy paprykę?

– Nieeee...

Wiki ucieka i znów zasypia.

– Wiki, patrz, jaka fajna gra. To jest taki żelazny pręcik, a to pan Wieprzowina i pani Cebula. Tu usiądzie pan Wieprzowina, obok niego pani Cebula, a zaraz za nimi pan Papryka. Ta gra nazywa się Szaszłyk.

– Nieeeeee!

Wiki ucieka z papryką.

Tego wieczora nasza córka wydawała się być jakaś niespokojna…

W domu powinno być nudno!

– Zachowujesz się jak dziewczyna – westchnęła mama rano w przedszkolu i wróciła ze swoim synem do szatni. On chciał zieloną koszulkę, nie niebieską. Najwyraźniej w zielonym czuje się dużo lepiej, swobodniej. Kiedy potem odprowadzałem Wiki do sali zabaw, mamy

chłopca już tam nie było, a on przywitał nas w pięknej sukni księżniczki. Właśnie wkładał sobie na głowę koronę z welonem. Wyglądał pięknie, był bez wątpienia najpiękniejszą księżniczką w całej sali. I to nie tylko dlatego, że było nas tam z jeszcze jedną dziewczynką łącznie czworo. Cóż, każdy ma swoje problemy. Jedni rodzice muszą zajmować się transgenderowymi strojami, a my przez większość czasu musimy tłumaczyć, że nasz syn ma tylko ubrania po kuzynie, ale poza tym jest dziewczynką. Musiałem dziś też znów wyjaśnić Wiki, dlaczego nie może wziąć do przedszkola miecza.

Pomyślałem, że tych dwoje mogłoby stworzyć wspaniałą rodzinę alternatywną. Jak ta para, w której kobieta przerobiła się na mężczyznę, a mężczyzna przerobił się na kobietę. A potem wzięli ślub. W ciążę zachodził on (czyli wcześniej ona) – najwyraźniej coś sobie zostawiła. Na czarną godzinę. Nie mam pojęcia, jak wyjaśniali to dzieciom…

Odkryłem świetny trik, który stosują w przedszkolu! Przedszkolanka mówi tylko:

– Dzieci, sprzątamy! Zaczynam liczyć! Raz… dwa… – i wszyscy na rozkaz rzucają się do sprzątania. Niewiarygodne. To naprawdę działa. Sprawdziłem to. Wprawdzie nie jestem tak dobry jak przedszkolanki, ale było posprzątane. W przedszkolu liczą tylko do dziesięciu. My doliczyliśmy do trzystu siedemnastu. Potem przestało mnie to bawić i posprzątałem sam.

Po południu znów wyciągałem Wiki spod stołu, gdzie dwa razy się schowała.

Wiele razy pytano mnie, jak to robimy, że Wiki jest tak zachwycona przedszkolem. Myślę, że jeśli dziecko nie chce chodzić do przedszkola, wina leży po stronie rodziców. Jeśli w domu jest wesoło i dzieci lubią tam być, to jak ma się im podobać w przedszkolu? Jednym z ważnych kroków

przygotowania dziecka do przedszkola jest to, że w domu powinno być nudno. Nudno nie do wytrzymania – wtedy dziecko w przedszkolu będzie szczęśliwe. Stworzenie takich warunków jest bardzo trudne, ale my najwyraźniej mamy do tego tak wielki wrodzony talent, że nawet o tym nie wiedząc – robiliśmy to wręcz genialnie! Musimy odrywać Wiki wraz z kawałkiem zjeżdżalni, żeby jakoś zaciągnąć ją do domu. Myślę, że potomków należy uważnie obserwować, a kiedy tylko zaczną się w domu bawić – siup – zabrać im zabawki. Pobawisz się w przedszkolu! Siedź tu i gap się w ścianę! Patrz, jak tu się łuszczy tynk. Kilka godzin w szafie również mogłoby umocnić miłość dziecka do przedszkola. Albo w kabinie deprywacyjnej. Nie przeczytacie o tym w żadnym poradniku, ale z pewnością są to metody ogólnie stosowane. Lecz przedszkolanki raczej nie pragną, żeby dzieciom podobało się w przedszkolu. Choć możliwe przecież, że kiedy odbieramy Wiki po południu, a one leżą na dywanie – po prostu ćwiczą jogę. Pozycję: wykręcona, sponiewierana ścierka.

Mikołaj

Odwiedził nas Mikołaj z diabłem i aniołem. Wszyscy prawdziwi. Poznałem to po tym, że święty Mikołaj miał prawdziwą brodę i płaszcz, diabeł prawdziwe rogi, a anioł prawdziwe skrzydła. A także po tym, że nie dzwonili do drzwi, ale zjawili się w pokoju. Tak po prostu. Święty Mikołaj przywitał się z małą Wiki i uśmiechnął się do niej. Diabeł i anioł wyciągnęli książkę pod tytułem *O Wiki*. Wyglądała zupełnie jak jeden z tomików moich przygód, ale ten jeszcze nie został wydany. Mimo to – mieli ją. I od

razu zaczęli czytać, żeby sprawdzić, jak nasze dziecko zachowywało się przez cały rok. Anioł był cały biały, uśmiechał się, a przy lekturze czasem kręcił głową, czasem uderzał otwartą dłonią w czoło, a czasem chichotał. Diabeł był czarny, czytał z szeroko otwartymi oczami i stopniowo bladł, aż zrobił się popielatoszary. Kilka razy rzucił Wiki szybkie spojrzenie i zaczynał się trząść.

– Zatem Wiki – zaczął Mikołaj uprzejmie – czy byłaś grzeczna przez cały rok? Otrzymasz anielskie błogosławieństwo, czy zabierze cię ze sobą diabeł? – Mikołaj spojrzał na anioła po lewicy i diabła po prawicy. Anioł westchnął i spojrzał na diabła. Nastała niezręczna cisza. Diabeł podniósł oczy znad książki, rozbieganym wzrokiem spojrzał na anioła, Mikołaja i Wiki, po czym zamrugał niepewnie.

– Co? – pisnął.

– Czy była przez cały rok grzeczna? – powtórzył Mikołaj. – W przeciwnym razie będziesz musiał zabrać ją do piekła, czyż nie? Od zawsze postępujemy w ten sposób.

Wystraszony diabeł spojrzał na książkę, potem na anioła, a potem na Wiki, i jęknął:

– Była grzeczna! – a przy tym mrugał szybko i kiwał gorliwie głową. – Bardzo, bardzo grzeczna – oświadczył stanowczo i na wszelki wypadek odsunął się o krok od Wiki.

Mikołaj zwrócił się do anioła, który również zamrugał zaskoczony, też spojrzał na książkę i powiedział:

– W takim razie dali mi złą książkę. Ale niech będzie. Przecież wygląda tak uroczo.

Wiki uśmiechnęła się słodko, nie takiego werdyktu się spodziewała. Diabeł znów odstąpił o krok i schował się za plecami Mikołaja. Mikołaj pogłaskał naszą córkę po głowie i wyciągnął z wora mnóstwo łakoci

i prezentów, bo przez cały rok była bardzo, bardzo grzeczna. Przecież musiała to być prawda, skoro twierdził tak nawet diabeł, który jest niezwykle oszczędny w pochwałach. Zazwyczaj mówi coś w stylu *nie było aż tak źle.* Chyba idzie na niego jakieś choróbsko, bo dziwnie się trzęsie, to na pewno dreszcze. Po wręczeniu prezentów pożegnali się z Wiki i wyszli. Diabeł pełznął przy ścianie z ogonem podkulonym między włochate pośladki. Na klatce schodowej od razu wyciągnął telefon. Słyszałem oddalający się głos:

– Lucyfer? Lucyferze! Byliśmy u NIEJ! Ledwo się wywinęliśmy! W tym roku jeszcze przetrwamy. Ale za rok… Czy mógłby tam iść ktoś inny?

I taki był w tym roku Mikołaj. Wiki przez cały rok była bardzo grzeczna. Bardzo, bardzo grzeczna.

Świąteczne spotkanie w przedszkolu – po raz pierwszy mogliśmy zobaczyć naszą trzyletnią Wiki w środowisku, w którym spędza całe dnie i nie chce zamieniać go na dom. Kiedy przyszliśmy, siedziała w ławce z innymi dziećmi i wyglądała na niewiarygodnie przygaszoną. Pogłaskałem ją, kiedy przechodziłem obok, ale zareagowała jak otumaniona środkami halucynacyjnymi ofiara tuż przed strąceniem w głąb wulkanu. Czyli w ogóle. Nigdy nie widziałem jej w takim skupieniu. Najwyraźniej przygotowywała się do swojego pierwszego i najważniejszego wystąpienia przed całkowicie wyprzedaną widownią.

Dzieci wyszły z przedszkolankami i ustawiły się w kółku. Tylko ustawiły się w kółku. Wiki w maksymalnym skupieniu, przy którym z powagi aż opadły jej kąciki ust, również tworzyła część figury. Czuła powagę chwili. Zaraz będzie musiała dać z siebie wszystko. Jeszcze nigdy jej takiej nie widzieliśmy. Zniknęła spontaniczność, psoty, krzyki. Była

poważna jak nekrolog. Ogólnie wyglądało to tak, że wszyscy są na spotkaniu bożonarodzeniowym, a tylko Wiki przyszła uczcić pamięć ofiar jakiejś katastrofy. Potem wszystkie dzieci usiadły – oprócz Wiki, bo nie była w stanie się ruszyć.

Po chwili dwóm przedszkolankom udało się złamać ją do pozycji siedzącej. Sądząc po tym, jak ciężko im to szło, nasza córka była prawdopodobnie pierwszym człowiekiem, u którego za życia wystąpił *rigor mortis*. Siedziała w odrętwieniu, a kąciki ust opadały jej coraz niżej. Zacząłem się bać, żeby nie zwymiotowała. To nie byłoby nic przyjemnego, bo siedziała na kolanach przedszkolanki. Dzieci śpiewały: *Przybieżeli do Betlejem*, Wiki siedziała nieruchoma jak sfinks i razem z pozostałymi obserwowała dzieci, które pojedynczo defilowały w wewnętrznym kręgu i nosiły różne rekwizyty. Wiki patrzyła na nie, jakby były uczestnikami misji na księżycu. Już siedzenie i bycie częścią kręgu wymagało wielkiego wysiłku i stresu. A tamte dzieci jeszcze chodziły! Na Boga, jak one to robią?

Potem dzieci wstały. Dwie przedszkolanki znów musiały rozłożyć Wiki. Jak lego. Wszystkie dzieci stały i śpiewały kolędę, Wiki też stała, w takim bezruchu, że wokół siebie tworzyła aurę muzeum figur woskowych. Wszystkie dzieci uśmiechały się w tej radosnej, świątecznej atmosferze, a Wiki miała wzrok człowieka patrzącego na Mordor. Kąciki ust opadły jej tak nisko, że wyglądała jak lalka brzuchomówcy.

Potem nadeszło najgorsze. Dzieci dostały klawesy. Wiki udało się nawet wziąć je w dłonie, ale stała z nimi jak rzeźba. Znów podeszła przedszkolanka i pokazała jej, jak poprzez pocieranie drewna można wykrzesać ogień albo coś w tym stylu. Zabrzmiało kilka stuknięć. Ale może to tylko trzaskały stawy.

Mimo to przedszkolanki i pani dyrektor były bardzo zadowolone. W tym roku nikt nie zdezerterował (czyli nie uciekł do rodziców), wszystko świetnie się udało. Nawet Wiki podobno zrobiła postępy, bo wcześniej na widok przedszkolnego Mikołaja rozpłakała się i chciała uciekać. Najwyraźniej jako jedyne dziecko w przedszkolu zrozumiała, dlaczego przyszedł również diabeł.

Nie mogę się doczekać filmu z tego wigilijnego spotkania, bo kiedy wyłączymy dźwięk i będziemy obserwować tylko ujęcia Wiki, będzie to wyglądać jak Día de los Muertos – Dzień Zmarłych.

Żaba

Duża zielona żaba z marcepanu. Wiki bardzo chciała, żebym kupił ją w cukierni, ciągle przyciskała nosek do witryny, więc jej tę żabę kupiłem. Moja córeczka była wniebowzięta! Tuliła ją, obwąchiwała jej pyszczek, głaskała… A potem odgryzła jej oko. Naprawdę. Jedno wybałuszone żabie oko zniknęło, a na głowie pozostały tylko ślady po zębach. Zadowolona Wiki przeżuwała duży kęs, trzymając w rączce jaskrawozieloną jednooką żabę. Takiego żabiego pirata. Ludzie się uśmiechali, wydawało się im to urocze, choć żabie oko to zazwyczaj istotny składnik czarodziejskich mikstur, a dzieci raczej się nimi nie karmi. Ale Wiki w ciągu dnia zjada niepostrzeżenie tyle rzeczy, że czarodziejskie mikstury w jej brzuchu nie są niczym niezwykłym. Jej bąki zabiłyby trolla. Albo olbrzyma. Jakiegoś mniejszego. Większego musiałaby unieszkodliwić czekoladową anakondą. W nocniku. Albo w wannie. Albo na moim fotelu. Bogu dzięki, że

przynajmniej tego już mi nie robi. Jak ja się wtedy wystraszyłem, że już nic nie utrzymam…

Wiki przełknęła, po czym pożarła drugie oko. Wielkie żabie oczy były już tylko wspomnieniem. Ostała się jeszcze zielona głowa z rozwartą, śmiejącą się paszczą i wysuniętym językiem. To już nie przypominało żaby – raczej ufoludka. Zjaranego. Któremu brak oczu w ogóle nie przeszkadza. Bo dlaczego miałby się stresować, skoro jest zjarany.

– Hej, ty nie masz oczu!

– No iiii?

Ja wiem, że wszędzie mówi się, że narkotyki są bardzo złe, ale poczekajcie, aż trzyletnia dziewczynka odgryzie wam oczy. Będziecie błagać o kilka gramów… czegokolwiek.

Wiki połknęła drugie oko i – choć mam opory, by o tym pisać – zaczęła oblizywać ufoludkowi głowę. Przysięgam, że nic podobnego nie widziałem nawet w tych najbardziej zakręconych filmach sci-fi.

Nic podobnego nie było nawet w *Star Treku,* a przecież tam bywało czasem naprawdę ostro…

Ze wszystkich sił odpychałem od siebie wizję Elliota liżącego głowę E.T., bo robiło mi się niedobrze. Zresztą na E.T. trzeba by mieć język jak Miley Cyrus. Następnie Wiki wgryzła się w głowę i sądząc po tym, co zostało jej w dłoni – zjadła ufoludkowi mózg. Teraz to nie wyglądało już ani jak żaba, ani jak przybysz z kosmosu – tylko jak doniczka z podstawką. Z wygryzionym mózgiem. Nieczęsto się takie doniczki spotyka, ale to był właśnie jeden z tych unikatów.

Teraz doniczka stoi na moim biurku, bo Wiki schowała ją tu sobie na jutro. Nie dała rady zjeść całej naraz, mózg dość ją zapchał. Muszę to odnieść do kuchni, bo w pracowni by mnie straszyła. Następnym razem kupię gruszkę z marcepanu. Ona przynajmniej nie ma oczu.

Parówki

– O, palówki! – Wiki uwielbia parówki. Robiliśmy hot dogi. Żona wyjęła z zamrażarki moje parówki z chili i włożyła je do wody, żeby się rozmroziły. Tyle że w kuchni nie było miejsca, więc zaniosła je do łazienki. Niewiarygodne, jaką lawinę zdarzeń to wywołało. I muszę przyznać, że teoretycznie rzecz biorąc, wszystkiemu jest winna właśnie Kasia.

– Dlaczego palówki są w łazience? – spytała zaskoczona Wiki.

– No wiesz, kąpią się – odpowiedziałem bez namysłu. – Parówce śmierdziała noga i musiała wziąć prysznic.

– Palówce śmieldziała noga? – powtórzyła Wiki, kiwając głową. Już wiedziałem, co będzie jutro w przedszkolu wiadomością dnia.

– A kiedy parówkom śmierdzą nogi, to śmierdzą całe parówki, bo nic innego oprócz tej nogi nie mają.

Wiki słuchała z szeroko otwartymi oczami, jakbym wykładał jej nową teorię strun fizyki elementarnej.

– Ale ta nasza parówka włożyła sobie czepek kąpielowy, porządnie się wyszorowała, całą nogę ogoliła i ma ją teraz gładką jak du… jak twoja pupka.

Wiki pogłaskała parówkę. Potem dotknęła swojej pupki. Rzeczywiście, obie były gładkie!

– Niektóre parówki mają nawet kurzajki. Ale tylko te z kur.

– Kurzajki? – hardware Wiki pracował na pełnych obrotach.

– Dlaczego jej to robisz? – przyszła do nas mama. – Przecież wiesz, że nie rozumie, że żartujesz.

– Ty żaltujesz! – oskarżyła mnie Wiki i pogroziła mi palcem, ale higiena parówek i tak ją zaciekawiła. Lubi parówki, więc warto wiedzieć o nich więcej.

To była jedna z tysięcy rozmów z dzieckiem, o których natychmiast się zapomina. Ale dziecko je pamięta. Dziecko pamięta absolutnie wszystko i przypomina to sobie – teraz już to wiemy – w najmniej odpowiednich momentach.

Kilka tygodni później przypadkowo znaleźliśmy się na drzwiach otwartych pewnej elitarnej szkoły. Nie żeby było nas na nią stać, ale człowieka interesuje, jak żyje te górne dziesięć tysięcy osób. W programie była również rozmowa oceniająca predyspozycje edukacyjne, którą całkowicie na poważnie prowadzono tu z przedszkolakami. Siedział tam starszy, bardzo miły pan, wyglądał jak profesor. Nie wiem, czy był pedagogiem, czy psychologiem, tak czy inaczej w jakiś niewytłumaczalny sposób znaleźliśmy się przed nim, choć przez cały czas staraliśmy się być tak niewidoczni, jak to tylko było możliwe.

– Dzień dobry, jak ta państwa mała ma na imię? – przywitał nas ochoczo i pochylił się nad Wiki, która objęła moją nogę. Trzymała się jej jak słupa i uśmiechała się.

– Wiki – powiedziała żona.

– To jak, Wiki, porozmawiamy? Co najbardziej lubisz robić?

– Jeść – mruknąłem pod nosem, a Kasia mnie kopnęła. Ale ten pan to usłyszał i uśmiechnął się.

– W tym wieku to normalne. Od narodzenia dzieci poznają świat przede wszystkim ustami, ale Wiki nie wygląda mi na wielkiego łakomczucha. Chodź, usiądziemy sobie tam przy stoliku? Możemy? – spytał nas.

Skinęliśmy, choć nie mieliśmy pojęcia, o co chodzi. Wskazał nam ławkę, a my na niej usiedliśmy. Wiki mnie puściła, staruszek się jej

podobał, więc pozwoliła zaprowadzić się na kolorowe dziecięce krzesełko przy stoliku.

– No, Wiki, co miałaś dziś na obiad?

– Palówki! – odpowiedziała Wiki natychmiast. To nie była prawda, ale jak już wspomniałem, to jest jej ulubione danie. Poza tym ma jeszcze miszmasz w porach posiłków. Zazwyczaj chce obiad na kolację.

Zanim profesor zdążył zadać kolejne pytanie, Wiki wypaliła:

– Palówka się kąpała.

Mężczyzna przestał przeglądać kartki i zaskoczony podniósł głowę. Kasia rzuciła mi bardzo rozzłoszczone spojrzenie.

– Parówka się kąpała? A dlaczego?

Ta rozmowa nie zmierzała w dobrym kierunku. Oblał mnie pot. A żona wbiła mi paznokcie w udo.

– Po śmieldziała jej noga – odparła bez namysłu Wiki z takim zachwytem, jakby od kilku tygodni czekała, aż wreszcie ktoś ją o to spyta.

Kasia schowała twarz w dłoniach i jęknęła:

– Boże, zaraz włożą jej kaftan i zamkną w wytapicerowanej celi metr na metr.

– Parówce śmierdziała noga? – specjalista aż usiadł wygodniej, uśmiechając się do Wiki. Nasza córka, ucieszona, że wreszcie ktoś poświęca temu tematowi należytą uwagę, skinęła poważnie:

– Palówka ma tylko nogę, więc kiedy śmieldzi jej noga, to śmieldzi cała palówka – wyjaśniła.

Kasia zakryła usta i szepnęła:

– Nie zobaczymy jej nawet na święta – i znów rzuciła mi rozzłoszczone spojrzenie, jakby to wszystko była moja wina.

– Ma tylko jedną nogę – powtórzyła Wiki znacząco, a na wypadek, gdyby ten pan tego nie zrozumiał, pokazała mu trzy palce. Oczywiście liczył się tylko jeden, ale tak trudno się je zgina, że mózg potrzebuje trochę czasu na synchronizację. Zazwyczaj udaje mu się w końcu osiągnąć odpowiednią ilość.

– Miała czepek kąpielowy i wyszolowała się i ogoliła. I miała nogę gładką jak moja PUPA! – krzyknęła i zaczęła się straszliwie śmiać.

Kasia obok mnie płakała, choć myślę, że tylko udawała, ale kto to u kobiet pozna?

– Boże, kiedy będę chciała mieć dziecko, będę musiała sobie zrobić nowe.

Próbowałem dodać jej uśmiechem otuchy, przecież robienie dzieci to akurat żaden problem, ale Kasia syknęła:

– Nie, pisarza już nie, wybiorę sobie kogoś w banku nasienia. I poproszę o niepiśmiennego!

– Zatem parówka się umyła? – staruszek aż trząsł się ze śmiechu, chociaż starał się nie dawać tego po sobie poznać, bo Wiki traktowała całą sprawę bardzo poważnie.

– Tak. Palówki miewają nawet kurzajki. Ale tylko te z kul.

Wtedy wybuchł śmiechem, aż uderzył dłonią w stół. Wiki obejrzała się na nas, czy nie robimy za jej plecami jakichś głupich min, bo inaczej nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego ten pan się śmieje. W problematyce parówkowej nie ma niczego śmiesznego. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, Kasia regularnie posyłała mi karcące spojrzenia, a potem profesor wstał, posłał Wiki do kącika z zabawkami i podszedł do nas. Wyglądał na zachwyconego.

– Muszę przyznać, że takiego dziecka jeszcze nie spotkałem – zaczął przyjaźnie. – Nie wiem, czy znają państwo teorię wielorakich inteligencji

Gardnera? Otóż jest wiele rodzajów talentów. Znamy dzieci z uzdolnieniami językowymi, matematycznymi, są dzieci posiadające niezwykły talent sportowy, z fenomenalną pamięcią lub wysokim IQ w jego powszechnym rozumieniu, ale jeden rodzaj ta lentu praktycznie u dzieci nie występuje – spojrzał na nas i na chwilę zamilkł. – To uzdolnienie literackie, szczególny rodzaj kreatywności. Wymaga doświadczenia, dlatego nie występuje u dzieci. – Znów znaczące spojrzenie i chwila ciszy. – Ja jestem pewien, że państwa dziecko ma ten dar. To, co mówiła, było niewiarygodne, miało puentę, finezję, niewiarygodne spostrzeżenia… Czy państwo wiedzą, jak trudno jest wymyślić żart? To jeden z najtrudniejszych procesów myślowych. A ona nawet nie uświadamia sobie tego, jak jest w tym dobra. Wypływa to z niej w sposób całkowicie naturalny… Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego – po tych słowach spojrzał z podziwem na bawiącą się Wiki.

Pochyliłem się do żony i szepnąłem:

– Widzisz, jaki jestem dobry?

– Tak! – odszepnęła mi. – Jak na trzyletnie dziecko!

Profesor znów obrócił się do nas.

– Nasza szkoła byłaby zaszczycona, gdyby mogła przyjąć państwa córkę.

– Rozważymy to – odparłem, a w duchu dławiłem się ze śmiechu tak, że prawie wypadły mi oczy. Niestety odpowiedziałem dokładnie takim tonem, jakim odpowiada się natrętnym sprzedawcom, więc pan profesor zrobił minę, jakby właśnie przeszła mu koło nosa Nagroda Nobla w dziedzinie pedagogiki.

– Mówię poważnie, państwa dziecko naprawdę ma talent, uważam, że powinni państwo…

W końcu zapewniliśmy go, że naprawdę to rozważymy. Podobno Wiki mogłaby nawet dostać stypendium.

– Talent, talent – mruczała żona, kiedy wychodziliśmy. – Nasze dziecko jest całkowicie normalne, tylko ma ojca świrusa.

Zawsze mi się obrywa. A przecież, jak napisałem na początku, teoretycznie rzecz biorąc, to wszystko była wina Kasi!

Przed Bożym Narodzeniem

– Wiki, co byś chciała dostać pod choinkę? – spytałem.

– Autko.

– Aha. A jakie?

– Sieloletowe! – wstała podekscytowana. Najwyraźniej nie mogła się zdecydować pomiędzy „sielonym" i „fiololetowym".

– A napisałaś list do Mikołaja?

– Cooo? – spojrzała zaintrygowana.

– Robi się to tak, że pisze się na kartce, co chce się dostać, a potem wystawia się tę kartkę za okno. Mikołaj ją znajduje, czyta, a potem być może którąś rzecz z listy znajdziesz pod choinką. Dopóki dziecko nie potrafi pisać, może te rzeczy rysować.

– Ja wolę napisać.

Nie zdziwiłbym się, gdyby naprawdę umiała pisać. Sądząc po tym, jak późno chodzi spać, chyba studiuje wieczorowo na uniwersytecie. Wczoraj zasnęła o wpół do dwunastej.

Po chwili wróciła. Z nieskazitelnie białą kartką.

– Gdzie tu jest coś napisane? – zdziwiłem się.

– No przecież tutaj – Wiki wbiła palec w papier. Rzeczywiście – była tam jakaś żółta plamka. Aha. Ona to „napisała" żółtym zakreślaczem.

– Wiki, Mikołaj jest bardzo stary, nie zdziwiłbym się, gdyby nosił okulary, napisz to wyraźnie kredką, żeby mógł to przeczytać, dobrze?

– No dobrze – westchnęła Wiki i wzięła kartkę. Wróciła po minucie.

– Co to jest? – próbowałem w jednej falistej linii odnaleźć pismo którejś z dotychczasowych cywilizacji.

– To jest wózeczek. Lóżowy. I lalka. Lóżowa.

– Aha. Wygląda raczej jak wykres EKG. Na twoim miejscu bardziej bym się postarał, bo możesz dostać rozrusznik.

– No dobrze – westchnęła znów Wiki. Ale z tym Mikołajem jest dużo pracy…

Po kilku kolejnych minutach znów wróciła, weszła mi na kolana i wcisnęła mi kartkę pod nos.

– To jest lowelek, to też jest lowelek, to jest wózeczek, a to lalka. A tu jest autko.

– Świetnie. Dobrze, że tak to opisałaś, bo mogłabyś dostać wielkie jajko sadzone. Z przysmażoną muchą. Teraz wystawimy list za okno.

Uchyliłem okno, a Wiki wysunęła swój pierwszy list do świętego Mikołaja. Będziemy czekać w napięciu, czy dostanie autko, wózeczek (chyba nie, bo ma już dwa) i lalkę. A może rodzinny grobowiec, bo na drugiej stronie była wydrukowana mapa cmentarza.

Czuję się, jakbym przez całą noc nie zmrużył oka. Głowa boli mnie niemiłosiernie, nie mogłem nawet wstać. Chorowanie po raz ósmy od

września, kiedy Wiki zaczęła chodzić do przedszkola i przynosić jedną chorobę za drugą, powinno być zakazane. Wiki wchodzi mi do łóżka.

– Tato, wstawaj! Są święta, przyjdzie Mikołaj!

– Wiki, do świąt jeszcze prawie tydzień, a ja jestem chory.

– Choly? – zdziwiła się Wiki, bo jak na zombie, wyglądałem bardzo zdrowo. – Ja się tobą zaopiekuję, dobrze? Mogę? – spytała zachwycona.

W moich oczach pojawiła się wdzięczność. Jaka ta moja córka jest kochana!

– Dziękuję – powiedziałem wzruszony, ale nie byłem w stanie nawet ruszyć głową wciśniętą w materac.

Czułem, jak mnie przykrywa. Całego, twarz też. Jak trupa. Zacząłem się dusić, ale było mi to obojętne. Chciałem umrzeć.

– No – powiedziała zadowolona. A potem już zbytnio nie wiedziała, co ma robić. Zaczęła bawić się pluszakami.

– Musicie być cicho, jasne? Tata jest choly – upominała je.

Jaka ona jest kochana!

Potem zaczęła walić mnie czymś po głowie.

– Aaaauuu! – krzyknąłem.

– To wielbłąd. Fe, tak się nie lobi! Tata jest choly, przecież już wam to mówiłam!

– Powiedz wielbłądowi, że wyślę go na operacyjne usunięcie garbów i zrobią tam z niego lamę!

– Zlobią tam z ciebie plamę! – powtórzyła Wiki posłusznie.

Chwila ciszy. Potem weszła na mnie i zaczęła skakać mi po plecach i po głowie!

– Kto po mnie skacze? – krzyknąłem.

– Hipcio? – zgadywała. Zsunęła się ze mnie i jęknęła: – Ja nie cę, żebyś był choly, ja cę się z tobą bawić.

– Wiesz, Wiki, gdyby w życiu było zawsze tak, jak chcemy, byłbym zdrowy, a hipcio leżałby teraz na dnie jeziora z nóżkami zalanymi betonem.

– Taaak! Jezioro, kąpanie, pojedziemy! Taaak!

Hipcio gorączkowo starał się pokazać Wiki, że nie tak wyobraża sobie wymarzony urlop.

Potem Wiki zaproponowała:

– Coś ci namaluję, cesz?

Mruknąłem.

– Chodź, klaunie, poplacujemy tlochę u taty na komputerze i namalujemy mu coś na eklanie.

I wtedy stał się bożonarodzeniowy cud!

Ozdrowiałem.

– Przepraszam, który tramwaj jedzie do centrum?

Starszy pan w kapeluszu i z laseczką:

– Wszystkie oprócz dwudziestki dwójki.

– Dwudziesta dwójka tam nie jedzie? – dziwi się inna pani.

– No, nie chce tam jechać – odpowiada starszy pan. Po chwili ciszy, jakby bardziej do siebie, dodaje: – Ale musi. Bo tam prowadzą tory…

– Mamo, czy mogę sobie wziąć czekoladkę z choinki? – przytańczyła do nas uroczo nasza trzyletnia córka.

– Wiki, nie, zaraz obiad i nic byś nie zjadła. Czekoladka będzie po południu, dobrze?

Westchnęła. Poczłapała do pokoju. Żona na wszelki wypadek krzyknęła jeszcze:

– I nie chcę widzieć, że podjadasz czekoladki z choinki!

Za chwilę przybiega zachwycona Wiki:

– Mamo, możesz dać ręce o tak? – i kładzie sobie małe dłonie na oczy.

Żona ją naśladuje i pyta z uśmiechem:

– Co jest? Masz dla mnie jakiś prezent?

– Nie. Nie cę, żebyś widziała, jak jem czekoladkę z choinki.

Wiki znalazła lukę w prawie i wykorzystała ją niezwykle kreatywnie.

Zostanie prawnikiem. Dość grubym prawnikiem, przejedzonym czekoladkami z choinki.

Po Bożym Narodzeniu

Ferie świąteczne mamy za sobą i znów zaczęło się przedszkole. Podobnie jak po chorobie, teraz również Wiki jakoś nie mogła wczuć się ponownie w rolę przedszkolaczki. Stała obok mnie, nie chciała puścić mojej ręki i rozglądała się zawstydzona. Tak tam staliśmy i patrzyliśmy na jednego z najstarszych chłopców, który bawił się we wpadanie w poślizg. Pociągiem. Naprawdę. U aut to się nazywa *drift*. Nie wiem, czy w przypadku pociągów istnieje osobna nazwa. Może: katastrofa kolejowa? W każdym razie chłopiec bawił się doskonale. Na pewno lepiej niż ludzie jadący tym pociągiem, rozpłaszczeni na szybach i wyjący z przerażenia. Nie chciałbym sprzątać przedziałów na końcu trasy. Chłopiec poinformował nas, że w domu ma ekspres polarny. Sądząc po tym, jak to powiedział, ma tam zapewne nawet żywego maszynistę. Potem szczerze

przyznał, że to tylko taka bajka. Chyba nawet kiedyś ją widziałem, ale nie przypominam sobie, żeby wtedy ekspres driftował – natomiast ten ślizgał się, aż wagoniki latały mu na wszystkie strony.

W przedszkolu są jeszcze ozdoby świąteczne. Dzieci malowały świętą rodzinę w Betlejem. Tak przynajmniej sądzę, ponieważ więk szość postaci miała na głowie kulę śnieżną, która najprawdopodobniej symbolizowała aureolę. A może to byli jacyś wyznawcy ziemniaków? Bardzo podobał mi się święty Józef z Jezuskiem przyklejonym pod pachą. Wiadomo, Józef był cieślą, klej zawsze miał pod ręką, wystarczy chwila nieuwagi. Ewangeliści nie lubią wspominać o tym epizodzie, ale najwyraźniej wieść o nim i tak jakoś przedostała się do przedszkola. Przed dziećmi nie da się niczego ukryć. Józef stał z rozłożonymi rękami, a Jezusek leżał mu na ramieniu. Bez kleju by się tam nie utrzymał. Następna scena to Jezus podczas obiadu ludożerców. Jako danie główne. Leży na talerzu, a wokół klęczy kilkoro ludożerców. Chyba modlą się przed jedzeniem.

Po południu Wiki przyszła z koroną na głowie. Było Trzech Króli, więc robili korony. Tylko z papieru, bez złota i kamieni szlachetnych, według mnie przedszkola są pod tym względem przesadnie oszczędne. Wiki nie chciała zdjąć korony, nam też kazała nosić ten symbol władzy. Twierdziła, że jest Baltazarem. Poszliśmy na zakupy, a ja opowiedziałem Wiki o trzech królach, którzy nie byli królami i nie mieli na imię Kacper, Melchior i Baltazar. Wyjaśniłem też, że *K+M+B*, pisane na drzwiach, oznacza *Christus mansionem benedicat*, czyli *Chryste, pobłogosław ten dom.*

Weszliśmy do mięsnego, a kiedy pan rzeźnik zobaczył naszą trójkę z koronami na głowie, uśmiechnął się szeroko i powiedział:

– O, trzej królowie. Co mogę podać? Złoto? Kadzidło? Mirrę?

Wiki wdrapała się na ladę i powiedziała, że jest Mansionem. Rzeźnik mrugnął zaskoczony i przyznał, że dawno Biblii nie czytał. I że

najwyraźniej wyszła kolejna część, którą zaraz sobie kupi, bo pierwsze dwie bardzo mu się podobały. Nie kupiliśmy złota, kadzidła ani mirry, tylko jakąś szynkę i polędwicę wieprzową.

– Prawidłowo – rozpływał się rzeźnik – to sprawi Jezuskowi dużo większą radość. Polędwiczka do zabawy, szyneczka na przekąskę. Tylko co na to powiedzą Żydzi…

Przez te jego żarciki nie zjedliśmy kolacji. Bo kiedy ją przygotowywałem, nie mogłem skorzystać z darów od Trzech Króli – są przecież dla Jezuska! Oszaleć można. I musieliśmy zanieść je Jezuskowi. Mam nadzieję, że jakiś bezdomny albo kościelny się ucieszą, choć na pewno w tym kościele na zawsze pozostanie tajemnicą, dlaczego ktoś przyniósł Jezusowi kawałek mięsa i szynkę. Polędwicę Wiki położyła na Jezuska, żeby mógł się nią bawić.

A my zjedliśmy rogaliki z serkiem topionym.

Snownoga

Mikołaj przyniósł Wiki pod choinkę cudowną chromowaną hulajnogę. Lużową – jakżeby inaczej. To na pewno był Mikołaj, bo któż inny dałby dziecku hulajnogę w grudniu?

Przez cały grudzień nie spadł ani jeden płatek śniegu – aż do pierwszego dnia świąt. Na pewno zrobił to nam na złość. Wiki oczywiście upierała się, że chce jeździć na hulajnodze. Na ulicach pługi, kierowcy wyciągają łańcuchy, drogowcy uwijają się jak w ukropie, ale wszystkie

tłumaczenia i wyjaśnienia zdają się na nic – bez hulajnogi dziś z domu nie wyjdziemy.

Wyruszyliśmy więc na mróz. Czapki, rękawiczki, szaliki, kozaki… I hulajnoga. W parku przy domu zobaczyliśmy świeże ślady tych najbardziej niecierpliwych narciarzy biegowych. Muszę dodać, że jeden z nich wjechał w znak drogowy, bo ciągle oglądał się, żeby zobaczyć, na czym ta moja córka jedzie. A Wiki naprawdę jechała. Nie mam pojęcia, jak to robiła, ale przedzierała się przez śnieg, jedną nogą stojąc na hulajnodze, a drugą dzielnie się odpychając. Co ciekawe – kółka w ogóle się nie kręciły, a ponadto były oblepione śniegiem, ale Wiki i tak pokonywała kolejne metry.

Na skrzyżowaniu, na którym nigdy nie działa sygnalizacja świetlna i nie da się przejść na drugą stronę, zatrzymaliśmy ruch. I przeszliśmy bez problemów. Jeszcze się nam to nie zdarzyło. Jeep z nartami na dachu zatrzymał się przed pasami, a cała rodzinka przyciśnięta do szyb obserwowała zdumiona, jak to nieszczęsne dziecko próbuje przetargać hulajnogę na drugą stronę ulicy. Wiki nie zgadzała się, żeby jej pojazd podnieść choćby na chwilę, więc przeprawa przez jezdnię zajęła nam dobre trzy minuty, co w stolicy jest okresem wystarczająco długim, by zostać potrąconym przez taksówkarza przynajmniej sześć razy. Ale dziś nikt nawet nie zatrąbił. Wręcz przeciwnie – wszystko wskazywało na to, że wszyscy kibicują naszej Wiki. Widziałem, że z niektórych aut nawet do niej machali.

Potem, już znów na chodniku, spotkaliśmy dwóch nastolatków. Jeden stanął jak wryty i gapił się na Wiki.

– O kurde, na czym ona jedzie? – usłyszałem.

– To snownoga, już to kiedyś widziałem – odparł drugi doświadczonym głosem. – Ale ma to nienaoliwione, dlatego tak się męczy.

I poszli dalej, ale jeszcze kilka razy się odwrócili. My poruszaliśmy się bardzo powoli. Rzeczywiście mogło to wyglądać jak snownoga, bo nie było widać kółek. Na szczęście. Źle naoliwione. Na pewno. Ja miałem coś źle naoliwione. Brodzić w śniegu z dzieckiem na hulajnodze...

Doszliśmy do górki, z której mnóstwo dzieci zjeżdżało na wszystkim, co było akurat pod ręką. Od jabłuszek przez ślizgacze aż po cudaczne sanie. Oblał mnie zimny pot, bo Wiki też chciała zjechać. Na hulajnodze. I jak pomyślała, tak zrobiła. Ustawiła swój pojazd na szczycie i odepchnęła się. Nie zajechała daleko. Hulajnoga wryła się w zbocze i tkwiła tam jak przyklejona. Pomimo wysiłków Wiki wciąż stała w miejscu, a wokół niej mknęły roześmiane dzieci. Wszystkie zjeżdżały, tylko Wiki tak zaryła. Jakby zatrzymała się tam w czasie. Zaczęła przykuwać uwagę innych rodziców, patrzyli na nią i myśleli:

– Boże, jak to dziecko może utrzymać się w miejscu na takiej stromej górce? I na czym ono stoi?

To jest zazwyczaj najlepszy moment na wytypowanie sobie jakiegoś innego dziecka, by w razie potrzeby udawać, że to właśnie z nim się przyszło. Albo chociaż psa. Oczywiście pani stojąca obok mnie spytała zaraz:

– Czy to pana dziecko?

Pokręciłem głową i odwróciłem wzrok w inną stronę. A Wiki krzyknęła do mnie:

– Tato! To nie jedzie!

Próbowałem dyskretnie dać jej znak, żeby zachowywała się jak sierota. Ale Wiki wzbudziła ciekawość innych dzieci. I zazdrość. Ślizgacze mają wszyscy, ale nikt nie wpadł na to, żeby przytargać tu hulajnogę. Jaka szkoda! Przecież to super sprawa – stać na niej na środku zbocza i udawać, że się jedzie. Wiki zaczęła wymieniać się z innymi, aż w końcu zjechała

z górki na wszystkim, na czym się tylko dało. Co ciekawe – dzieciom z czasem udało się wyryć bruzdę ze szczytu aż na dół, więc hulajnoga zaczęła jeździć. Mogłem wziąć kilka ziemniaków do zasadzenia, skoro już dzieciaki tak się natrudziły.

Na szczęście znalazła się tam przynajmniej jedna matka, która miała dla mnie zrozumienie i od razu rozszyfrowała, jak do tego wszystkiego doszło.

– Prezent pod choinkę, prawda? – mrugnęła porozumiewawczo.

Skinąłem smutno głową.

– My kiedyś naszemu starszemu synowi daliśmy deskorolkę – na chwilę zamilkła i patrzyła na Wiki. – Więcej tego błędu nie popełnimy.

Jeśli ktoś robiłby listę nieodpowiednich prezentów gwiazdkowych, niech wpisze na nią deskorolkę. I hulajnogę. Czeka nas długa droga do domu. Bardzo długa droga…

Niemożliwi faceci

– Faceci są niemożliwi. Tylko dwie rzeczy miał zrobić. Rozwiesić pranie i ubrać choinkę! – narzekała żona, gdy ściągała pranie z choinki. A przecież kiedy wieszałem je tam z Wiki, bawiliśmy się świetnie! Nawet ją podsadziłem, żeby mogła dać na czubek biustonosz Kasi zamiast gwiazdy. Ubrania wyschły, a w dodatku pachniały igliwiem. Ale ogólnie muszę przyznać, że był to dość idiotyczny pomysł. Igły w bokserkach są dość nieprzyjemne. Kiedy tylko opadłem z ulgą na siedzenie w metrze, krzyknąłem tak głośno, że prawie wysiadłem w tunelu. A w miejscu

publicznym nie można porządnie sprawdzić, co wbija się w… pachwiny. Musiałem więc wyjść z metra! Wyglądałem przy tym zapewne dość podejrzanie.

Rozbieranie choinki przebiegło spokojniej. Wiki znów mi pomagała, odbierała ode mnie łańcuchy i włosy anielskie i układała je w pudełku. No dobrze, nie układała ani nie odbierała, stała jak kołek, bo zamiast pomagać, chciała oglądać bajki. Łańcuchy wieszałem więc jej na szyi, a włosy sypałem na głowę. Wiki na znak protestu nawet nie drgnęła i znosiła wszystko bez słowa. Stała z założonymi rączkami i wpatrywała się w podłogę. Potem oświeciły mnie muzy i powiesiłem jej na uszy dwa szklane aniołki zmieniające kolor. I owinąłem ją lampkami. Wyglądała nieziemsko. Pochyliła główkę i patrzyła na mnie przez przymrużone powieki, czekając, cóż ja znów wymyślam – znacie to mordercze spojrzenie Wednesday Addams, przed którym wszyscy w panice uciekają. Idealne na kartki z napisem „Wesołych Świąt"! Możecie być pewni, że nikt z rodziny was nie odwiedzi.

Ale dziś się na mnie odegrała. Po obiedzie zniknęła w kuchni, a potem wróciła z policzkami napchanymi tak, jakby chomik przenosił pianino.

– Wiki! – krzyknęła mama. – Zjadłaś tacie jutrzejszy obiad! Ty zjesz obiad w przedszkolu, a tata? Boże, przecież wepchnęłaś do buzi chyba ze trzy kluski. Co cię napadło?

Wiki stała przed matką z pochyloną główką i skruszoną miną. Wydusiła przez kluski:

– Pseplasam.

– No mnie nie przepraszaj, to tata będzie przez ciebie głodny.

Wiki doczłapała do mnie z rączkami przed buzią, myślałem, że to dlatego, że jej zbiornik mieszający nie mógł pomieścić ładunku, ale ona

normalnie wypluła te przeżute kluski na dłonie, wyciągnęła ręce i smutnym, przepraszającym głosem powiedziała:

– Ploszę, tato…

Tego, co leżało na jej dłoniach, nie da się opisać. Wyglądało jak… narośl. Naprawdę nigdy wcześniej nie widziałem nic równie obrzydliwego. Poczułem nowe znaczenie sformułowania *mieszane uczucia*. Mówi się, że to coś takiego, jak kiedy teściowa zabije się w waszym nowym aucie, ale to było coś gorszego. Oczywiście powinienem być wzruszony, że ta mała dziewczynka odejmuje sobie dla mnie jedzenie od ust, i to dosłownie. Nawet jeszcze kawałek dalej niż od ust, bo podejrzewałem, że część wróciła do mnie już z przełyku, a niektóre kęsy być może nawet mościły sobie miejsce w żołądku. A teraz znów leżały w dłoniach. Nie mam pojęcia, jak Wiki wcisnęła to wszystko do buzi. Nie byłem w stanie nawet podziękować, bo zrobiło mi się niedobrze. Lecz niezależnie od tego – jej gest był wzruszający.

Potem powiedziałem, żeby to zjadła, za co była mi niezmiernie wdzięczna i wciąż mrugała do mnie porozumiewawczo. Ja wytarłem podłogę i wyruszyłem na poszukiwania wiadra.

Tak wygląda Boże Narodzenie w skrócie.

U Cabicarów.

Dziecięcy pokój snów

Dziecięce pokoiki snów. Wiki przyciskała nos do szyby wielkiej wystawy i podekscytowana chłonęła rozwartymi oczami wszystkie te cuda. Kolorowe łóżeczka, krzesełka, kołdry, stoliki i szafki… Chciałaby tam mieszkać!

– Tato, wejdziemy do tego sklepu? Cę to pooglądać. Tato, wejdziemy, dobrze? Tato, cę do środka, tato, wejdziemy, dobrze? Wejdziemy? Tato, ja cę do środka, wejdziemy, dobrze? Dobrze? Dobrze???

Podstawą techniki negocjacyjnej trzyletnich brzdąców jest niedopuszczanie rodziców do głosu. Wyczerpanie ich. Już we wczesnym dzieciństwie człowiek szybko pojmuje, że jeśli będzie wytrwale i nieustannie o coś prosić, dostanie to. Może i tak by dostał, ale cóż, to ryzyko jest wliczone w cenę. Nieistotne było więc, co mówiłem, Wiki już otwierała drzwi, już stała w progu i nagle znaleźliśmy się w środku, podczas gdy, ewidentnie całkowicie nieskutecznie, wciąż przekonywałem:

– Nie, Wiki, to nie jest przedszkole ani plac zabaw, te rzeczy są na sprzedaż, nie można się nimi bawić.

Wiki umilkła, spojrzała na mnie zaskoczona i spytała:

– Coś mówiłeś, tato?

Technika opanowana do perfekcji. No, powiedz przy tej ekspedientce, że taki z ciebie zgred, że nie chcesz wpuścić swojej małej, Bogu ducha winnej córeczki do sklepu.

– Widzę, że w końcu pana przekonała – uśmiechała się ekspedientka, która od dłuższej chwili obserwowała nas przez szybę.

– Ciężko jej odmówić – odparłem.

– Tato, mogę pooglądać łóżeczka? Mogę? Tato, mogę? Mogę pooglądać? Tato, mogę? Tato…

Na szczęście interweniowała druga sprzedawczyni:

– Jeśli ściągniesz buciki, możesz wejść, gdzie zechcesz…

Buciki, kurteczkę, czapkę, rękawiczki, a niewiele brakowało, by również spodnie, Wiki zrzuciła z siebie błyskawicznie i zniknęła na piętrze pierwszego wybranego łóżeczka, jakby mieszkała tu od zawsze. Krzyczała przy tym z radości, skakała i ogólnie niszczyła wszystkie dekoracje, jak tylko się dało. Po kolei obskoczyła łóżka, aż wylądowała na tym najpiękniejszym – dla księżniczek. Z cudownym baldachimem po jednej stronie i wiszącymi świecącymi gwiazdkami po drugiej. Nad łóżeczkiem wznosiło się materiałowe niebo. Wiki zagrzebała się pod kołdrę.

Nie wyciągnę jej stąd – przemknęło mi przez głowę.

– Wiki, musimy już iść, czeka na nas kolacja, jest piątek, a tu już zamykają…

Wiki jakby mnie nie słyszała.

– Przeczytasz mi bajkę? – wyjrzała z łóżeczka i sięgnęła po książkę leżącą na szafce nocnej. Boże, ona już się tu zagnieździła! Nawet nie zauważyłem, że tu mają bajki. Położyła książkę na łóżku i znów zagrzebała się pod kołdrę. Odwróciłem się do ekspedientki i spytałem sucho, gdzie mają formularze do zmiany miejsca zamieszkania dziecka. Była bardzo miła, ale oświadczyła, że mają tylko formularze zapisania się do newslettera. Musiałem więc czytać bajkę córce leżącej na łóżeczku w sklepie meblowym. Z drugiej strony – było to fascynujące przeżycie. Wiki nigdy nie chce spać. Do łóżka musimy ją zawsze przynitować. Natomiast tu nie chciała się z niego ruszyć.

Zbliżała się godzina zamknięcia. Wiki zapoznała się już ze wszystkim, co oferował jej sklep, i zaczęła nazywać to miejsce przedszkolem. Niestety

w przypadku przedszkola również jeszcze nie pogodziła się z tym, że nie jest otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wciąż zmusza przedszkolanki do nocnych nadgodzin. W weekendy również.

– Wiki, musimy iść, czeka na nas kolacja.

– Nie, ja zostaję tutaj.

– Ale ja za chwilę zamykam i będziesz tu przez cały weekend sama, bez taty i mamy.

– To w ogóle jej nie przeszkadza – mruknąłem do sprzedawczyni. – Nigdy nie przechodziła fazy stopniowego oddzielania się od rodziców. Ona po prostu wskakuje w buty i nawet się za nami nie ogląda. Robi tak, od kiedy nauczyła się chodzić.

– I muszę włączyć alarm, więc nie będziesz mogła się ruszać – dodała kobieta. – Bo jeśli się ruszysz, przyjedzie policja.

– I nie ma tu nic do jedzenia – dorzuciłem ja.

Zamyślona Wiki patrzyła na nas i oceniała nasze argumenty. Czekałem, kiedy spyta, czy policja nie mogłaby przywieźć czegoś do jedzenia.

– Mamy tu tylko herbatniki – powiedziała ekspedientka.

To koniec, teraz już jej stąd nie wyciągnę – pomyślałem. Ale w końcu musiałem to zrobić, bo naprawdę nadeszła godzina zamknięcia. Wiki wiła się i broniła, ale i tak udało mi się ją ubrać – w sumie to żadna nowość, codziennie wychodzimy w ten sposób z przedszkola. Tak czy inaczej, przypadkowi przechodnie mieli możliwość zobaczenia najmłodszej shopoholiczki na świecie. *Jeszcze… chociaż… jedno… łóżeczko!*

Zatem Wiki ma trzy lata i już znalazła własne mieszkanie. Wprawdzie znajduje się za szybą wystawy sklepowej, ale przynajmniej często będzie miała gości. Pozostaje tylko dogadać szczegóły z tą francuską firmą. Jak na przykład to, czy Wiki będzie robić za lampkę czy za poduszkę. I gdzie umieścimy cenę.

Małpa

21:58 – przechodząc obok łóżka, zauważam, że na mojej kołdrze leży małpa z gitarą, pozostawiona tam przez Wiki. Kładę ją żonie na poduszkę i przykrywam starannie pod samą brodę.

22:21 – zauważam na swojej kołdrze wybrzuszenie, jakby miała erekcję. Pod kołdrą znajduję małpę. Stoi. Wciskam ją żonie pod poduszkę i układam starannie, by lokator pozostał niewidoczny.

23:48 – idziemy spać. Coś uwiera mnie pod poduszką, sięgam tam ręką – no proszę, to znów ta małpa. A przecież pilnowałem żony, na pewno nie wchodziła do sypialni. Nie mam pojęcia, jak to zrobiła. Wziąłem małpiszona i zacząłem czołgać się nim do Kasi. Nagle dostaliśmy straszny cios, aż małpa krzyknęła:

– Au!

Z przerażenia zapomniała, do jakiego gatunku należy. Kiedy dmuchałem sobie na rękę, z drugiej poduszki usłyszeliśmy, że wszystkim małpom wstęp wzbroniony. Próbowałem zagrać na kobiecych uczuciach i tłumaczyłem w ciemności, że ta biedna małpeczka jest samotna, opuszczona, nie ma gdzie spać i jest niezwykle urocza. W odpowiedzi usłyszałem, że limit łóżka to jedna małpa na dzień i że ten limit niestety już wyczerpał mąż. Zrozumienie, że chodzi o mnie, zajęło mi trochę czasu. Wtedy wziąłem tego małpoluda i rzuciłem nim w żonę. Ale po chwili moja kołdra się uniosła, coś pacnęło mnie w krocze, a z ciemności usłyszałem:

– Małpka chce banana!

Zrobiłem tej gitarzystce miejsce na poduszce i wstałem, żeby poskakać na piętach.

04:14 – idę do toalety. Udaje mi się podrzucić małpę żonie do łóżka, w nogi. Obwiązałem pluszaka sznurkiem w pasie, żona się zdziwi, co jej się w nocy urodziło. I jeszcze ma pępowinę.

05:29 – budzę się. Małpa patrzy mi prosto w oczy. Jest przywiązana do mojej głowy i w dodatku obejmuję ją jedną ręką. Żona stoi nade mną, wzdycha, a wychodząc rzuca:

– Nie będę stawać na drodze waszego szczęścia, ale według mnie ta małpa zasługuje na kogoś lepszego.

Grrrrrrr. Ja tego tak nie zostawię!

Rogalik

– Co mam dziś na siebie włożyć na kolację?

Trzyletnia Wiki podniosła głowę od zabawy w wannie, a w drzwiach stał rogalik. Nagi. To znaczy – nie do końca stał, raczej wisiał w powietrzu, a w tej fizycznej anomalii prawdopodobnie maczała palce żona, chowająca się za ścianą.

– Myślałem o szynkowej sukience i bluzeczce z masła – powiedział rogalik, na chwilę zniknął i znów się pojawił. Wokół pasa miał owinięty plasterek szynki, a na górnej połowie lśniło masło. Zamyślona Wiki wgryzła się w wannę.

– Niee – powiedziała niezdecydowanie, przede wszystkim dlatego, że chciała obejrzeć inne warianty garderoby. I rogalik jej nie zawiódł.

– To może tę serową suknię? – pojawił się znów, a w ręce trzymał trójkącik sera topionego. Zaskoczyło mnie, że rogalik ma ręce niemal identyczne jak palce mojej żony, ale Wiki w ogóle nie wydało się to dziwne. No bo dlaczego. Zresztą u nas w domu wszystko mówi.

Ostatnio Wiki odbyła świetną pogawędkę z pustą butelką, którą tata akurat trzymał w ręce. Wiki odpytywała ją z alfabetu, a butelka po każdej pomyłce pacała sama siebie tak, że aż dudniło. Wiki za każdym razem przez kilka minut zwijała się ze śmiechu.

– Niee – podskoczyła teraz zachwycona Wiki, a trochę wody chlapnęło z wanny na podłogę.

– A może taki top z plasterka goudy, a do tego króciutka spódniczka z sałaty?

Muszę przyznać, że ten top odsłaniał niemal wszystko, ja wybrałbym właśnie ten zestaw, gdyby rogalik nie był facetem. Top nie przylegał do ciała, trzeba było go przytrzymywać ręką, bo dyndał jak metalowa tabliczka na sznurku. Tak powinny ubierać się wszystkie kobiety. Liść sałaty podnosił się odważnie, rogalik wyglądał jak Marilyn Monroe, której podmuch powietrza podwiewa sukienkę. Niektórym mogłoby to się wydać dość seksowne. O ile kogoś mogą podniecać rogaliki. Albo gouda i sałata. Kiedy zajrzałem pod zielony liść, zobaczyłem, że rogalik nie ma bielizny. Wow!

– Ja cę z dżemem! – krzyknęła Wiki.

– Co? – rogalik wyściubił zza drzwi tylko czubek, który prawdopodobnie był jego głową. – Słodkie na kolację? Zapadłbym się ze wstydu pod ziemię. Co by o mnie powiedziały inne rogale? Może lepiej spójrz na ten cudowny kostiumik z pasztetu?

Rogalik znów zawisł w powietrzu, tym razem prawie cały zasłonięty kawałkiem pasztetu. To chyba nie był jego rozmiar. Może dostał go w prezencie od weki?

– Nie cę – pokręciła Wiki głową.

– No… – rogalik zniknął i przez chwilę grzebał w szafie, a mówiąc dokładniej – w lodówce. Potem nagle znów pojawił się na scenie: – A może powinienem skoczyć na solarium. Z szynką! I serem! Trochę bym się zapiekł!

Nie wiem w jaki sposób, ale w jednej ręce rogalik trzymał szynkę, w drugiej plasterek sera i wyginał się przed Wiki na wszystkie strony, a oba ubrania plaskały o ciało.

– Taaaak! – krzyknęła Wiki, chyba głównie dlatego, że podobało jej się to plaskanie.

– No nareszcie – westchnęła żona swoim głosem.

Przyznaję, że to przedstawienie było wyśmienite. Zastanawiam się tylko, co zrobimy, jeśli będzie trzeba urządzać je przed każdym posiłkiem. Kucharki w przedszkolu oszaleją.

Ale chciałbym zobaczyć, jak tańczą przed dziećmi z ziemniakami i kawałkiem wieprzowiny, polewając się przy tym sosem.

Wizyta w szpitalu

Bawimy się modeliną. Żona szykuje obiad, więc na modelowanie z trzyletnią córką zostałem skazany ja. Pomimo iż nie potrafię malować i nie mam za grosz talentu. Jak na pracownika IT przystało, najpierw sprawdziłem w internecie, co łatwego można ulepić z modeliny, i natychmiast dowiedziałem się, że świat jest pełen niezwykle kreatywnych artystów. A ja najwyraźniej jestem totalnym niezdarą. Ujrzałem doskonałego kota Garfielda, wróżki i królewny, smoki, wspaniale ubarwione żyrafy czy Tygrysa z *Misia Puchatka*. Kiedy ja wspiąłem się na wyżyny swojej kreatywności, udało mi się wymodelować makaron. Po długich rozważaniach postanowiłem spróbować stworzyć jeszcze ośmiornicę. Kiedy tylko przykleiłem pierwsze ramię, przyszła żona i spytała szeptem, dlaczego lepię plemnika. Odburknąłem, że ona również nie grzeszy talentami i że nie poznała się na moim dziele. Kiedy przykleiłem drugie ramię, znów się pojawiła.

– O, popatrz Wiki, głowa mrówki. Ale ma wielkie czułki!

Powiedziałem, że to nie jest mrówka. Bo mrówki nie potrafiłbym zrobić. Kiedyś nawet próbowałem, ale nie wiedziałem, z ilu tak właściwie kuleczek składa się jej ciało i wyszła mi gąsienica.

Kasia podeszła również, kiedy przyklejałem kolejne ramię, i krzyknęła:

– Wiki, patrz, Sputnik 1!

Powiedziałem, że to nie jest Sputnik, bo on miał dwie pary anten dipolowych.

Przy następnym ramieniu żona znów nachyliła się nade mną i spytała szeptem złośliwie, czy to nie jest przypadkiem bakteria chlamydii albo pałeczka okrężnicy. Powtórzyłem, że to ośmiornica, i dorobiłem jej oczy i buzię. Wyglądała na szczęśliwą. Bardzo szczęśliwą, chyba wziąłem za dużo modeliny na tę buzię, bo uśmiechała się od ucha do ucha, najwyraźniej miała tam pod wodą dobry towar. Niestety kiedy Wiki się nią bawiła, odpadło jej jedno oko, a żona niechcący na nie nadepnęła. Ośmiornica miała więc jedno oko normalne, a drugie jak naleśnik. Wcale jej to nie przeszkadzało i wciąż się uśmiechała.

Żona wyszła z łazienki bardzo smutna, prawie płakała.

– Dzwoniła mama ze szpitala.

– Pogorszyło się jej? – spytałem przestraszony i przytuliłem ją.

– Nie, tylko dyktowała mi rzeczy, które mam jej przynieść. A ja nie miałam na czym pisać, jedyny papier w zasięgu był toaletowy, więc… wszystko zapisałam i… – rozpłakała się.

Kąciki ust mi drżały, ale wciąż obejmowałem żonę i nie dawałem po sobie nic poznać. Zapowiadała się genialna rodzinna anegdota, która będzie przechodzić z ojca na syna!

– …i kiedy skończyłam, tak jakoś automatycznie… – znów się rozpłakała. Musiałem ugryźć się w język. – … z tego papieru skorzystałam. I już nie zdążyłam go złapać. Próbowałam, ale…

– To nic – pocieszałem ją, ale wyczuła w moim głosie, że jestem na skraju wybuchu śmiechu i od razu szurnęła mnie ręcznikiem.

Jako rodzinny kronikarz chciałem upewnić się, czy znam wszystkie fakty, spytałem więc, czy miała przy sobie długopis, czy może musiała skorzystać z jakichś surowców naturalnych. Na głowie wylądował mi kosz

pełen brudnej bielizny. Nie wiem, jak to możliwe, zapewne uniósł się sam. Próbowałem też dowiedzieć się, jak daleko Kasia pobiegła za swoimi notatkami. Czy przemierzyła tylko rury do kanału, czy może dotarła aż do oczyszczalni? Wtedy prawie zostałem uduszony rurą od odkurzacza. Gdy na chwilę straciłem przytomność, ujrzałem dwa szczury. Jeden z nich powiedział:

– Franek, patrz, ta kupa ma nawet listę, co chciała wziąć sobie na drogę. – Włożył okulary – Hm… Szlafrok, kapcie, chusteczki… – przyjacielsko poklepał kupkę po… no powiedzmy, że po ramieniu: – Czy paniusia nie jest aby przesadnie wydelikacona? Tu nikt w ten sposób nie żyje, wszyscy tkwimy po kolana w syfie. – Ściągnął okulary i uniósł wzrok ku włazowi nad sobą. – I proszę mi wierzyć, nie ma wielkiej różnicy pomiędzy życiem tam i tutaj. – Wcisnął listę Kasi do kieszonki w futrze, a na pożegnanie rzucił jeszcze: – Szczególnie po ostatnich wyborach…

Przyznajcie sami: więź matki i córki to trudny temat dla każdego psychoanalityka i potrzeba lat, żeby ją zrozumieć, czasem nawet całego życia. Ale ta sytuacja? Tu diagnozę mógłbym bez problemu postawić nawet ja.

W końcu pocieszyłem żonę, że znam świetny trik, jak można sobie wszystko przypomnieć. Synapsy pamięci są bowiem pobudzane również przez zapach, przy którym zostały zapisane. Zatem należy wziąć nocnik Wiki, a jeśli chwilkę poczekamy, to na pewno…

A teraz jedna dobra rada: Nigdy, naprawdę nigdy nie zwlekajcie z wyniesieniem ciężkiego, metalowego stojaka choinkowego. Ja wiem, że nie chce się z nim schodzić do piwnicy, ale wierzcie mi, w lutym możecie żałować. Już pierwszego lutego. Tak jak teraz żałuję ja…

Żona nie posłuchała dobrej rady. Muszę za wszelką cenę być przy tym, jak będzie tłumaczyć mojej teściowej, dlaczego połowy rzeczy nie

przywiozła.

Oczywiście musiałem przysiąc, że o TYM nigdy nie napiszę ani słowa. Więc spalcie to po przeczytaniu, zanim zacznie gdzieś krążyć!

Tej opowieści nie sponsoruje KRBRD

No to ja coś wyznam: jeżdżę na hulajnodze. Obie prace – pisarz i analityk – są siedzące, więc korzystam z każdej możliwość ruchu. Moja córka dostała na Boże Narodzenie małą, różową hulajnogę, musieliśmy się na niej zmieniać, ale przyznaję, że Wiki nauczyła mnie jeździć. Spodobało mi się to, bo dzięki niskiej kierownicy mięśnie pleców dostają porządny wycisk. A przy ślęczeniu nad klawiaturą to właśnie one zaczynają odmawiać posłuszeństwa w pierwszej kolejności.

Kiedy się ściemniło, pożyczyłem sobie hulajnogę i wyruszyłem na przejażdżkę. Najgorsze jest pierwsze kilkaset metrów, zanim oddalę się od placu zabaw, bo wyglądam, jakbym właśnie zwinął pojazd jakiemuś maluchowi.

Jeżdżę po tych ulicach, na których są małe szanse, że kogoś spotkam. Ale tym razem spotkałem. Był to piękny, czarny Rolls-Royce Silver Shadow. Jechałem po asfalcie, bo na chodniku były płyty, z którymi nie poradziłyby sobie malutkie kółka hulajnogi. Rolls-Royce zatrzymał się przy mnie i opuścił szybę. Jeśli kiedyś wybierzecie się na przejażdżkę hulajnogą swojej małej córeczki – zobaczycie, jakie to uczucie, gdy w takiej sytuacji

ktoś zechce z wami rozmawiać. Jedziecie i próbujecie udawać, że jesteście niewidzialnym płaszczem Harry'ego Pottera, ale i tak wybiorą sobie akurat was. Na ich usprawiedliwienie trzeba dodać, że nikogo innego nie było w pobliżu.

W aucie siedział starszy mężczyzna z młodą dziewczyną. Mężczyzna kierował i spytał mnie po angielsku, gdzie jest pewien hotel. Pokazałem mu, że tuż obok, tylko musi go objechać, bo ta ulica jest jednokierunkowa. Ponieważ po angielsku zazwyczaj tylko czytam, ale nie mówię, uznałem, że odwaliłem kawał dobrej roboty. Mężczyzna podziękował mi serdecznie i pochwalił moją hulajnogę.

– Beautiful – powiedział. Oraz: – Nice. – I dodał jeszcze: – Pink – przy czym mrugnął do mnie. No trudno.

Mnie jednokierunkowość ulicy nie dotyczyła, bo ustawodawcy mylnie zakładali, że wszyscy pełnoletni uczestnicy ruchu jeżdżący na małych różowych hulajnogach są zamknięci w zakładach psychiatrycznych. Ale akurat przed tym hotelem jedno auto wyjeżdżało z parkingu, drugie jechało z naprzeciwka, a do tego jeszcze z boku nadjechał Messenger. Jedyną możliwością, aby ich ominąć, było objechanie auta opuszczającego parking. Ale przy tym manewrze znalazłem się na stromym asfalcie, a ta głupia rzecz, na której jedną nogą stałem, nie ma hamulców! Zjechałem więc na parking podziemny, i to dużo szybciej, niż kiedykolwiek chciałbym na tej hulajnodze jechać. Było tam tak wąsko, że bałem się zeskoczyć – w zupełności wystarcza mi, że umiem odepchnąć się nogą od asfaltu, żadnych sztuczek nigdy nie ćwiczyłem. Na przykład hamowania brodą. Ale jakoś sobie poradziłem, dotarłem na dół, zeskoczyłem – i stanąłem dokładnie naprzeciw portiera z wyciągniętą dłonią. Widział, że coś jedzie, więc czekał na kluczyki. Chciał zaparkować i dostać napiwek. No… Miałem przy sobie kilka monet, ale nie chciałem ryzykować, że portier

wciśnie mi je do gardła. Mówię wam, co za wstyd! Niby nie wyglądam jak skejt – myślę, że wyglądam całkiem normalnie, ale ten portier patrzył na mnie bardzo… zaskoczony. Z pewnością musiałem być pierwszym gościem, który przyjechał do hotelu na hulajnodze. Różowej. Żeby zrozumieć stopień mojego zawstydzenia, musielibyście zobaczyć auta wokół. W pierwszym rzędzie mercedes, BMW, ferrari – a obok ja z hulajnogą. W drugim rzędzie porsche, mercedes, maserati – a obok ja z hulajnogą… Koszmarne uczucie. A na dodatek ta moja hulajnoga miała kierownicę sięgającą mi zaledwie do kolan. Szkoda słów. Próbowałem szybko wymyślić jakąś wymówkę, żeby nie wyjść na idiotę. Na przykład że szukam tu córki. Wymyśliłem nawet bajeczkę, że mój bentley odmówił mi posłuszeństwa, nikt nie chciał się zatrzymać, żeby mi pomóc, więc musiałem go odholować sam, i że strasznie mnie zaskoczyło, że wóz oderwał się od hulajnogi razem z jej hakiem holowniczym. Ale coś mi mówiło, że portier by tego nie łyknął.

W końcu zebrałem się w sobie i powiedziałem portierowi, że jestem idiotą, który po prostu źle skręcił i nagle znalazł się na parkingu, bo ten mój różowy rzęch nie ma hamulców. Dlaczego jeżdżę na hulajnodze – nie tłumaczyłem. Chciałem wrócić, skąd przyszedłem, ale portier powiedział, żebym pojechał windą. Podziękowałem za troskę i powiedziałem, że spokojnie wyjdę podjazdem, ale portier dość bezkompromisowo zastąpił mi drogę, mówiąc, że tamtędy jeżdżą goście hotelu, a ja mam jechać windą dla pracowników. Nie wyglądał na przyjemnego. Skinąłem więc, wziąłem hulajnogę i poczłapałem w stronę windy, gdy nagle na parking wjechał ten czarny Rolls-Royce.

Portier natychmiast cały się rozpromienił, podbiegł do auta, po kolei otworzył drzwi z obu stron, z wozu wysiadła młoda dziewczyna i starszy mężczyzna, od którego portier wziął kluczyki, kłaniając się niemal do

samej ziemi. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ruszył ku mnie z wyciągniętą dłonią i zaczął witać się ze mną jak ze starym znajomym. Ponownie podziękował mi za pomoc i sprawiał wrażenie, jakby naprawdę cieszył się, że znów mnie widzi. Portier zamarł w pół kroku i patrzył na nas szeroko otwartymi oczami. Starszy mężczyzna spytał, czy też tu mieszkam, i wziął mnie do windy dla gości. Wyjaśniłem mu, że nie mieszkam, ale w naszej stolicy za noc w swoim mieszkaniu trzeba zapłacić mniej więcej tyle, ile kosztuje apartament w tym hotelu. Starszy pan się roześmiał, po czym znów wyraził podziw wobec mojej hulajnogi. Kiedy drzwi windy zamykały się, dostrzegłem jeszcze, jak dolna szczęka portiera oddala się od górnej. A ja przeszedłem z hulajnogą przez główny hol. Już się nie wstydziłem. Udawałem, że niosę ją jakiemuś dziecku.

Zatem – przeżyłem. Ze starszym mężczyzną i jego przyjaciółką pożegnałem się serdecznie i postanowiłem, że już nigdy, ale naprawdę NIGDY nie będę jeździć hulajnogą po jezdni.

Ta opowieść nie jest sponsorowana przez Krajową Radę Bezpieczeństwa Ruch Drogowego.

Pobawimy się

– Pobawimy sie, dobrze? Będziemy sobie opowiadać – zwołała nas trzyletnia córka Wiki. – Tato, ty będziesz żółwiem, mama kaczuszką, a ja dinozaulem. Tu wszędzie jest woda, a wy będziecie pływać.

– Aha. A ty? – spytałem.

– Ja nie mogę się moczyć.

– Jak to. Dlaczego?

– Bo żyję na lądzie. Dinozaul to nie ryba.

Przyszedł mi do głowy pewien żart, ale kaczka wyczuła to i spojrzała na mnie spode łba.

– To dokąd płyniemy? – spytałem.

– Tam, do tego domu, poczekajcie, ja go zbuduję.

Wiki wzięła klocki i zabrała się do pracy. Ja tymczasem pływałem z kaczką w tę i z powrotem, aż wreszcie nie wytrzymałem.

– Czy nie powinniśmy wyciągnąć tego dinozaura i urządzić mu godnego pochówku.

– Dlaczego? – spytała moja zdziwiona małżonka.

– Bo od dłuższego czasu leży na dnie i się nie rusza.

– Przecież Wiki buduje dom, a dinozaur tylko odpoczywa.

– Ale odpoczywa na dnie jeziora, a jeśli nie jest poszukiwaczem pereł…

Kaczka nagle wcisnęła mi się w dziurkę w nosie. Wiki nareszcie dokończyła budowę i znów wzięła do ręki dinozaura.

– O-hrh-hrh! – odkaszlnąłem.

– Co się stało? – Wiki obróciła się zdziwiona.

– No dinozaur wreszcie nabrał powietrza, prawie się utopił.

Ptaszysko nagle złapało mnie za wargi i ścisnęło tak, że przez chwilę sam wyglądałem jak kaczka.

– Nie utopiłby się. On tylko odpoczywał.

– Widzisz, mówiłam – dodała mama zadowolona.

– Prawie zafundował sobie wieczny odpoczynek – mruknąłem i zrobiłem unik przed kaczką, która najwyraźniej wykupiła sobie w biurze

podróży wycieczkę po moich otworach cielesnych i próbowała właśnie zwiedzić ucho.

– No, chodźcie do domu.

Podpłynęliśmy.

– Dzień dobly. Na co macie ochotę?

– Ja poproszę pana Paprykę…

– Nieee! – krzyknęła Wiki i z uśmiechem od ucha do ucha rzuciła się na swojego pluszaka, pana Paprykę.

Kaczka zaczęła mi skakać po głowie.

– Nie bój się, Wiki, nikt nie będzie jadł pana Papryki. Napijemy się herbaty.

– A może jest zupka żółwiowa? – spytał mój żółw. Schyliłem się do Wiki i szepnąłem: – Ten żółw to kanibal.

Nie wiem skąd, ale kaczka nagle miała w ręce latarkę i pomimo iż mogła trzymać ją tylko skrzydłami, nie byłem w stanie przeszkodzić jej w obijaniu mi kostek.

– Dobrze, napiję się herbaty – powiedział poobijany żółw.

Wiki błyskawicznie ją przygotowała i poczęstowała nas.

– Oto helbata. – A potem nachyliła się do mnie i szepnęła: – Tak naprawdę to jest zupka żółwiowa, panie Kanibal.

Kasia głęboko westchnęła. Najwyraźniej się oparzyła, bo głupi ptak zanurzył w kieliszku cały łebek. Dziwne, że nie zeszło mu z głowy pierze.

– Cecie jeszcze coś? – zapytał dinozaur uprzejmie, był naprawdę gościnny, to nie jest częsta cecha prajaszczurów.

– Ja bym poprosił, jeśli mogę… – zaczął ostrożnie żółw. Kaczka spojrzała na niego nieprzyjaźnie i złowrogo mrugnęła plastikowymi oczami – …na przykład kaczkę w śmietanie – dokończył żółw i z przerażaniem

zorientował się, że nie potrafi schować się w pancerz. Musiałem ukryć go w dłoniach, bo kaczka wpadła w amok i dziobała jak szalona.

– Dobrze – odpowiedział dinozaur obojętnie i poszedł do kuchni szykować posiłek.

– Ale proszę nie wyciągać nic z zamrażarki. Ta tutaj jest w sam raz – krzyczał do niego żółw niewyraźnie, ale chyba nie było go słychać zza pancerza. Kaczka nareszcie dobrała się do jego kryjówki – przy pomocy młotka z zaciśniętej pięści mojej żony.

– Oto kaczka w śmietanie.

– Ja tego jeść nie będę – powiedziała kaczka urażona.

– Dlaczego? Jest dobla.

Kaczka odpłynęła, wcisnęła głowę w trawę i krzyczała:

– To wujek Leszek! Wujek Leszek!

Tyle z dzisiejszej lekcji *Bawcie się z dziećmi.*

Znów „wieża Eiffla"

Jakże bardzo się myliłem! Byłem z trzyletnią Wiki u lekarza i znów spotkaliśmy tam mamę z córką, które występowały już w jednej z moich przygód. Być może szanowny czytelnik pamięta nastolatkę mierzącą prawie dwa metry. Wcale nie było widać, że to matka z córką – wówczas myślałem, że to mama i ciocia czekające na dziecko, które akurat jest w gabinecie. Krótko mówiąc – córka była dość wysoka, ale jakiż zły i nieczuły musiałby być człowiek, by żartować z wysokości tej

Czomolungmy. Ponieważ wtedy wszystko wskazywało na to, że wieża Eiffla wkrótce wyrzuci matkę przez okno, nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś się spotkamy.

– Wiki – poderwała się na nasz widok mama i wskazała teleskop na sąsiednim krześle. – Mamy grypę żołądkową!

Oklapnięta latarnia lotniskowa wyprostowała się, zakryła sobie ręką głowę, żeby nie uderzyć się o półkę wiszącą pod sufitem i krzyknęła:

– Maamooo! To naprawdę pierwsze, co powiesz? Nawet się nie przywitasz i od razu wszystkich poinformujesz, że mam biegunkę?

Matka spojrzała przepraszająco. Potem objęła swoją córkę:

– Kochanie, przecież wiesz, że jestem z tobą.

Miotła do sufitów jęknęła:

– Maamooo!

Mama od razu nachyliła się do Wiki:

– Ale urosłaś! Jak nie będziesz uważać, zaraz będziesz tak duża jak moja córeczka.

Zaciekawiona Wiki przyglądała się tej dwumetrowej linijce. Dźwig z dezaprobatą przewracał oczami.

– Jest wysoka, prawda?

– Maamooo – wstała pastuszka chmur. – Już ostatnio jak tu byłyśmy, mówiłam ci, że więcej nigdzie z tobą nie pójdę.

Mama wyciągnęła chusteczkę i zaczęła udawać płacz:

– Jeśli nie będziesz ze mną nigdzie chodzić, to kiedy mam się tobą nacieszyć?

Wiki nie potrafi jeszcze odróżnić udawanego płaczu od prawdziwego, przytuliła się więc mocno do płaczącej kobiety i próbowała ją rozweselić. Mama od razu wzięła ją w ramiona i mocno uścisnęła.

– Boże, to dziecko jest doskonałe, kupuję je, cena nie gra roli.

– Proszę bardzo – westchnęła sekwoja.

Z gabinetu wyszła arabska rodzina z dwójką dzieci. Jedno było młodsze niż Wiki – około dwuletnia dziewczynka. Od razu podbiegła do stoliczka i zaczęła się bawić. Wiki chciała się przyłączyć i spytała rezolutnie jej rodziców:

– Jak ma na imię?

Ojciec z gęstym, czarnym wąsem odpowiedział bez namysłu coś w stylu:

– Hakima Ibn Szamszala Bin Szuszle Muszle Hasak Pasak Simsala Bim.

Wiki patrzyła na niego zaskoczona, a po chwili wyjaśniła:

– Pytałam tylko o tę dziewczynkę – i dla pewności wskazała na nią palcem.

Arabska mama uśmiechnęła się i powiedziała, że jej córka ma na imię Hakima.

Potem do gabinetu weszła montażystka satelit na orbicie, a po niej my.

Kiedy wychodziliśmy, w poczekalni siedział kolejny nastolatek. Ten nie był przesadnie wysoki. Siedział i gapił się na czubki swoich butów. Pielęgniarka spytała, co mu dolega, a on odparł:

– Nie wiem, wydaje mi się, że jestem jakiś dziwny.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy mam wrócić i powiedzieć mu, że wszyscy jesteśmy jacyś dziwni, ale mało kto chciałby mieć taką diagnozę w swojej dokumentacji medycznej. Kiedy wyszliśmy, rozglądałem się, czy w pobliżu nie ma żyrafy, ale matka z córką już zniknęły.

Szkoda, mogła zostawić nam chociaż jakąś wiadomość.

Na przykład napisaną palcem na księżycu.

– Mamo, ja będę owieczką, a ty klówką, dobrze?

– Dobrze. Cześć, owieczko. Ale z ciebie owieczka!

– Cześć, mamusiu. Ale z ciebie klowa!

Dźwięk uderzeń i parsknięć z mojej pracowni.

– Co się dzieje z tatą? – zdziwiła się trzyletnia Wiki.

– Nic takiego – odpowiedziała mama i powoli wstała. – Nic takiego w porównaniu z tym, co stanie się z nim za chwilę.

W drzwiach stanęła moja żona, a ja wciąż nie byłem w stanie przestać tarzać się po podłodze.

– Cześć, mamusiu – zacząłem słodziutko. – Ale z ciebie…

Nie dokończyłem. Kto mógł przypuszczać, że futryny potrafią latać?

Toaleta

W galerii handlowej spędziliśmy tyle czasu, że obie moje kobiety musiały pójść do ubikacji. Czekałem na korytarzu, przy damskich toaletach zawsze jest niewiarygodny ruch, aż w końcu usłyszałem głos żony:

– Wiki, włóż ten sweter i idź do taty.

Zatem przynajmniej moja trzyletnia córka już się załatwiła. Nie chciałem przeszkadzać przy drzwiach, więc stanąłem w holu i czekałem na nią. Nie nadchodziła. Potem nagle krzyk. Wybiegła czarnoskóra kobieta, która pomimo pełnych kształtów skakała jak sarenka. W holu zaczęła się śmiać.

Do toalety weszły kolejne dwie kobiety, młodsze – i nagle wybiegły z wrzaskiem. Potem też zaczęły się śmiać i wróciły tam, gdzie pierwotnie zamierzały się udać. Zanim z niedobrym przeczuciem odważyłem się zajrzeć na korytarz, krzyk rozległ się jeszcze jakieś cztery razy. Sunąłem wzdłuż ściany prowadzącej do drzwi toalet. Wiki błądziła tam od ściany do ściany, w swetrze, z tym że głowa nie przeszła na zewnątrz. Właściwie ręce też nie. Wiki krążyła więc na ślepo i wyglądała jak przerażający tułów małego ciałka. Wrażenie umacniały bezwładnie latające rękawy. Ze swetra dobiegała przerażająca piosenka:

– Nie mam głowy, nie mam nawet łączek, dziwna ze mnie jest dziewczynka…

Szybko opuściłem korytarz z miną tak bezdzietną, jak tylko to było możliwe. Po chwili wybiegła żona, prawie powiewał za nią jeszcze papier, i syknęła do mnie:

– Ty nie słyszałeś, co się tam działo?!

– Nieee – odpowiedziałem tak przekonująco, jak potrafiłem. – Mała straszyła ludzi, niektórzy prawie dostali zawału. Nawet się do końca nie wysikałam. Ochrona uciekła stamtąd z krzykiem, a ochroniarz powiedział mi potem, że wysłał go tam jeden gość z monitoringu, podobno bardzo przesądny, który teraz boi się spojrzeć na ekran i chce do domu.

Wychodząc, staraliśmy się unikać kamer, ale kto wie, w których miejscach są one ukryte.

W drodze do domu śpiewaliśmy sobie:

– Nie mam głowy, nie mam nawet łączek, dziwna ze mnie jest dziewczynka…

Pasta czosnkowa

– Uwielbiam pastę czosnkową – zacierałem ręce, kiedy siadaliśmy do stołu. Kasia coś jeszcze szykowała.

– Będzie pyszna, dałem tam naprawdę ostry czosnek – uśmiechnął się wujek.

– Lubię ostre – skinąłem i ugryzłem pierwszy kęs. Na chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami, a z planety zniknęła atmosfera. Łzy trysnęły mi z oczu i miałem wrażenie, że uszy obróciły się kilka razy wokół własnej osi. Wreszcie udało mi się zaczerpnąć powietrza.

– Ile tam jest tego czosnku? – sapnąłem przerażony.

– Nie wiem, chyba dwa – odpowiedział wuj, również po cichu. Myślał, że ja po prostu szepczę, nie przyszło mu do głowy, że właśnie przeszedłem śmierć kliniczną.

– Tylko dwa ząbki? – zdziwiłem się, obserwując, jak pod wpływem mojego oddechu widelcowi wyrastają włosy. W domu czasem dajemy nawet pięć, ale taka ostra pasta nie wychodzi nam nigdy.

– Nie – zaśmiał się wujek. – Dwie główki.

Czułem się, jakby wjechała w nas ciężarówka pełna brukwi. To był praktycznie czosnkowy denaturat. Paliwo zastępcze stosowane czasami w elektrowniach jądrowych.

Spróbowałem jeszcze raz. Znów straciłem przytomność, a kiedy wreszcie złapałem oddech, w promieniu dziesięciu kilometrów wyginęły wszystkie upiory. Pod oknami stało kilka tchórzy trzymających transparenty z napisem: OHYDA!

Przyszła żona.

– No, jak ci smakuje?

– Wyśmienite – powiedziałem, kiedy tylko szybko wytarłem sobie oczy.

– Ty płakałeś? – spytała Kasia zaskoczona.

– Trochę tak, bo bardzo za tobą tęskniłem – potwierdziłem zachrypniętym głosem. Żon lepiej nie okłamywać, ale prawda też nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem.

– Czuję, że jest w tym sporo czosnku – zauważyła Kasia i wzięła kanapkę. Trochę się odsunąłem.

– Gdzieee taaaam – machnąłem ręką i udawałem, że jem następny kęs. – Jest bardzo delikatna, nawet trochę mdła.

– Twardy jesteś – powiedział wujek. – Większość ludzi nie dałaby rady tego zjeść. Nawet mnie wydaje się dość ostra.

Żona spróbowała. Przestała oddychać. Mocno zacisnęła oczy. Spod powiek przedzierały się łzy.

– No coś ty… – pogłaskałem ją. – Ty też za mną tęsknisz. Jestem tuż obok ciebie, kochanie.

Szybko się odsunąłem, ale nawet nie była w stanie się zamachnąć. Wyglądała cudownie, nie miałem pojęcia, że niebieski jest taki… twarzowy. Powoli przechodziła w fiolet. Siedziałem i czekałem, aż jej kolor zmieni się na zielony. Jak na przejściu dla pieszych.

– I jak smakuje? – zagaił wuj.

– Wyśmienicie – odpowiedziała uprzejmie Kasia i westchnęła w stronę sufitu, aż zgasły żarówki, a z dachu spadły dwa koty. Dziwne – moja żona zawsze pięknie pachnie, ale teraz miałem wrażenie, że obok mnie wyrosło *Amorphophallus titanum* czyli dziwidło olbrzymie.

– Ale się najadłam – powiedziała Kasia i odłożyła resztę kanapki na ręcznie zdobiony talerzyk, na którym natychmiast zwiędły wszystkie

kwiaty. Zwróciła się do mnie: – Mój kochany mąż mówił, że jest bardzo głodny. Czy nie będzie wujkowi przeszkadzać, jeśli zje moją porcję?

– Oczywiście, że nie – powiedział wujek, uśmiechnął się i wstał od stołu. Trochę zbladłem. Inaczej wyobrażałem sobie swoją śmierć. Z pewnością nie w takim smrodzie. O Boże, będą musieli czekać, aż zacznę się rozkładać, żeby odór czosnku trochę opadł. Dopiero wtedy mnie pochowają. Na grobie nie wyrosną mi nawet chwasty.

Powiem tak: nigdy nie prowokujcie tygrysa.

Szczególnie, jeśli jest nim wasza żona.

Ostatecznie kolacja miała przynajmniej jeden pozytywny efekt. Wprawdzie muszę kupić żonie nowe płyty, ale przez kilka tygodni będę zwolniony z oglądania *Zmierzchu*. Niechcący kichnąłem na półkę z filmami i zdaje się, że w filmie zginęła większość postaci. No dobrze, dobrze, wszyscy mężczyźni, którzy to czytają, mogą przestać klaskać. Obaj. Na szczęście moim filmom nic się nie stało, tylko Rambo prosił, żebyśmy już lepiej wrzucili go z powrotem do tej dziury w Wietnamie, Obcy sapie: *Kill me NOW*, a Terminator zaciął się w miejscu, w którym zanurza się w płynnej stali, nie chce wyjść i twierdzi, że tam jest mu dobrze.

Obciąć

Wprawdzie w wieku prawie czterech lat dziecko potrafi się samodzielnie przebrać, ale to nie oznacza, że rodzic będzie miał łatwiejsze życie.

– Wiki, dlaczego twój golf jest cały mokry? Co robiłaś?

– Emmm… – odparła córka z miną jak paragraf z Konwencji Genewskiej mówiący o tym, że nikt nie musi zeznawać na swoją niekorzyść. Naprawdę, jeśli zasada *Nemo tenetur se ipsum accusare* miałaby twarz, wyglądałaby dokładnie tak, jak moja córka.

– Ściągnij go, dam ci inny.

Zrezygnowana przeciągnęła golf przez głowę i podała mi zwiniętą, mokrą kulę materiału.

– Musisz go dać na kaloryfer, tylko najpierw trochę go rozwiń, jest cały zrolowany.

– Lozwinąć zlolowany golf ? – spytała Wiki zaskoczona.

– Proszę cię, powiedz to normalnie. Rozwinąć zrolowany golf. Rozwinięty zrolowany golf rolował roladę rolownicą.

– Lozwiwiwi… golf – Wiki zaplątał się języczek i westchnęła: – To jakaś pieldoła.

– Mówi się *pierdoła* – zauważyłem pedagogicznie, a potem jeszcze dodałem: – I nie mówi się *pierdoła*. Gdyby ktoś pytał, słyszałaś to słowo od babci.

Po dłuższych poszukiwaniach udało mi się znaleźć sweter. Z jakiegoś powodu Wiki użyła go jako zakładki w *Czerwonym kapturku*. Krzyknąłem do niej, żeby pamiętała, że jest na jedenastej stronie.

– Wiki, ale ten sweter też zdjęłaś i nie odłożyłaś na miejsce, patrz, nie wyciągnęłaś nawet rękawa.

– O jejku – westchnęła nad swoim losem.

– Poczekaj, nie możesz go teraz tak po prostu włożyć. Albo wyciągniesz ten rękaw, albo będziesz musiała sobie obciąć rękę.

Chwila zastanowienia.

– Obciąć! – oznajmiła zwycięsko swoją decyzję. No. I po sprawie. Mam najleniwsze dziecko na świecie. Woli dać obciąć sobie rękę, niż porządnie złożyć sweter.

– Okej – powiedziałem i sięgnąłem po wyimaginowaną piłę.

– Hahahaaa – Wiki się wiła, ale nie zmieniła zdania i pozwoliła sobie uciąć łapkę. Zbytnio mi to nie wychodziło, więc wziąłem wyimaginowane nożyczki i zacząłem pod paszką.

– Hihihihiii.

Nagle nie wiadomo skąd pojawiła się norweska urzędniczka socjalna i pogroziła palcem:

– Fe, fe, fe, tak się nie robi, nie należy bawić się z dziećmi w amputację kończyn.

Po czym usiadła, pośliniła ołówek i zaczęła spisywać kolejną ustawę. Przecież każdy wie, że im więcej regulacji prawnych i mieszania się państwa do rodziny, tym lepsze są efekty wychowawcze. Sprawdziło się to w wielu krajach.

– Nie obcinać dzieciątkom rączek ani nóżek – dokończyła urzędniczka i z zadowoleniem przyglądała się kolejnemu para grafowi. Potem westchnęła: – Boże, Boże, ci rodzice są po prostu niewiarygodni, trzeba im tłumaczyć dosłownie wszystko.

Ostatecznie niczego nie ucięliśmy, bo wszystkie narzędzia okazały się całkowicie tępe, więc musieliśmy wyciągnąć ten rękaw. Wciąż z nostalgią myślę o swoim marzeniu z czasów, kiedy Wiki była niemowlęciem i musiałem ją przewijać. Śpiochy w spreju. To byłoby coś cudownego. Gdyby robili też takie kombinezony i kurtki zimowe…

Kolory

Czekamy na przystanku tramwajowym. Żona próbuje zająć czymś trzyletnią córkę:

– Wiki, dawno nie grałyśmy w kolory. Możemy mówić, jakie auta przejeżdżają.

– Czelwone. Niebieskie. Zielone. Gnijąca flądla. Białe. Zaschnięta kupa. Niebieskie. Żółte. Niestlawione leczo. Szare. Pomalańczowe. Lozdeptany bóbl. Białe. Niebieskie. Zgniły liść. Żółte. Szale. Czalne. Wąż z biegunką…

Cała wysepka bawiła się wyśmienicie, ale moja żona chwyciła mnie pod brodą, przyciągnęła do siebie i syknęła:

– Już nigdy nie będziesz uczyć małej kolorów, jasne?

Nie mam pojęcia, o co jej chodzi?! Jestem mężczyzną. Rozpoznaję szesnaście kolorów, podobnie jak wyjściowe ustawienia Windows, a odcień tatarakowy nic mi nie mówi. Większości kolorów nie da się określić, ale dziecko domaga się odpowiedzi i nie zadowoli się wymówką *nie wiem.* Po prostu musiałem coś wymyślić.

Nagle Kasia wcisnęła mi w dłoń rękę córki, twierdząc, że musi spojrzeć na rozkład jazdy. Sama. Studiowała go, dopóki nie przyjechał tramwaj. Stałem tam więc i trzymałem Wiki.

– Czalne. Niebieskie. Pleśń z pupy. Żółte. Czalne. Zwymiotowany homar. Czalne. Blązowe. Nadtrawiony pingwin. Czelwone…

No dobrze. Może to był błąd.

Labirynt

Labirynt krzywych zwierciadeł. Od wielu, wielu lat nie byliśmy w czymś takim. Ale ten labirynt był inny, nowoczesny. W tym z naszej młodości wystarczyło patrzeć na podłogę i było jasne, którędy należy iść, ale labirynt, do którego poszliśmy teraz, wyglądał jak wrota do innych wymiarów. Moje widzenie przestrzenne jest raczej słabe, obrazki trójwymiarowe zawsze wydawały mi się dwuwymiarowe, natomiast jeśli chodzi o orientację… Większość moich znajomych twierdzi, że jeśli którędyś się przyszło, to powinno się pamiętać drogę powrotną. Ale u mnie to tak nie działa.

Weszliśmy do labiryntu. Stałem wśród luster, widziałem się tam, tam, tam i tam, a tam stałem sam do siebie plecami. Nie miałem pojęcia, w którą stronę iść. Nagle pojawiło się obok mnie sześć moich żon i powiedziało:

– Jesteś jak dziecko. Idź tędy – i pokazało sześć różnych kierunków.

Bardzo mi to pomogło! Ruszyłem i zderzyłem się z pierwszym lustrem. Za plecami usłyszałem śmiech.

– Tato, ja nie cę iść sama – powiedziała moja trzyletnia córka.

– To idź z tą dziewczynką. Albo z tą. Albo z tą – pokazywałem palcem wokół siebie.

– Przecież to jestem ja – odparła Wiki karcąco, kiedy mój palec zatrzymał się przed jej twarzyczką.

Dziwne uczucie – mieć nagle tyle dzieci. Dość przerażające.

Żona też rozrosła mi się w harem – ale to nie było aż takie złe. Może powinniśmy przychodzić tu częściej.

Kiedy dotarliśmy do połowy labiryntu, nagle pojawiły się przede mną ośmioraczki. Ośmiu całkowicie identycznych braciszków. Nie wiedziałem, któremu mam najpierw ustąpić miejsca, szli do mnie ze wszystkich stron. Właściwie nie – siedmiu się zbliżało, a jeden się oddalał. Wolałem przycupnąć w rogu, zrobiło mi się od tego niedobrze. Za nimi szło ośmiu tatusiów i osiem mam. Potem pojawiło się jeszcze szesnaście sióstr. Był tam straszny tłok. A ja głupi witałem się z każdym osobno, bo nie miałem pojęcia, którzy są prawdziwi. Potem pogubiłem się też w tym, z kim się już witałem, a z kim jeszcze nie, bo wszyscy byli do siebie strasznie podobni.

A to nie wszystko – całą tę liczną familię spotkałem jeszcze trzy razy, bo chodzili tam i z powrotem. Powiem szczerze – żywić bym ich nie chciał.

W zupełności wystarczyło mi, kiedy przyszło osiem Wiki i wszystkie naraz powiedziały, że są głodne. Każdej dałem herbatnika, łącznie jednego, ale było to jak cudowne rozmnożenie chleba. Powinna tu co jakiś czas wpaść Grecja ze swoim budżetem.

Po trzydziestu minutach błądzenia wyszliśmy całkowicie ogłupiali. Na przykład ja czekałem na pozostałe pięć żon i pięć córek.

Największy ubaw miała Kasia, która co chwilę krzyczała na ulicy:

– Wiki, uważaj, lustro! – a Wiki zatrzymywała się, badała rękami powietrze i dopiero potem decydowała, którędy iść.

Jedna pani bardzo się dziwiła, dlaczego to dziecko obmacuje ją, żeby sprawdzić, czy jest prawdziwa, czy może lustrzana. Ale roześmiała się i nie powiedziała nic. Pewnie myślała, że Wiki ma jakiejś problemy psychiczne. Jak my wszyscy.

Zabawa

– Będziemy się bawić w tatę i mamę, dobrze? – trzyletnia Wiki przyszła z lalką pod pachą i od razu zaczęła ustalać zasady: – Ja będę mamą.

Ucieszyłem się, że nie wypadło na mnie.

– A ty będziesz udawać, że jesteś tatą, dobra?

No, dlaczego nie. W końcu mam w tym wprawę. Udaję to od prawie czterech lat.

– To połóż się. Ja cię przyklyję.

Huuura, świetna zabawa! Strasznie pieką mnie oczy i boli głowa. Tak z godzinkę lub dwie na pewno moglibyśmy pobawić się w spanie. Leżałem przykryty sześcioma ścierkami. Mama nie będzie zachwycona spustoszoną komodą.

– To doblanoc, śpijcie – zostałem ułożony do snu razem z plastikowym dzidziusiem. Ale ja nie jestem wybredny. Zamknąłem oczy i zadowolony odpoczywałem.

Minęło dziesięć sekund.

– WSTAAAWAAAĆ! – krzyk obudziłby całą armię i zagnałby ją na poranny apel.

Wiki stała na łóżku i machała ręcznikiem.

– Trzeba wywietrzyć, śmieldzi tu.

– Dzidziuś puścił dużego bączka – rzuciłem luźno.

– Dzidziuś zrobił kupę! – krzyknęła Wiki. – I nie ma pieluchy!

Boże, co za straszne ćwiczenia. Czy nie moglibyśmy pobawić się w atak Czerwonych Khmerów?

– To trzeba go przebrać, mamusiu.

Niech da coś od siebie, ja już się w życiu kup naprzewijałem, i to bynajmniej nie wymyślonych.

Wiki wzięła dzidziusia i zaczęła jeździć jego pupką po ścierce, jakby zamiast pupy miał żelazko. Tego stylu nie znałem, ale wyglądał efektownie.

Musimy wyrzucić tę ścierkę.

– Tato, wstawaj, trzeba nakalmić dzidziusia. Masz mleko?

Obmacałem piersi i powiedziałem:

– Nie.

Zignorowała to.

– To idź przygotować.

Zatem wstałem i poszedłem przygotować mleko. Właściwie nie wiedziałem, co mam robić, bo butelek do karmienia od dawna nie mamy. Po chwili przyszła Wiki z dzieckiem zwisającym jak szmata przez jej rękę – jakby bobas wczoraj przesadził z imprezowaniem, a teraz żałował.

– Co tak długo? – powiedziała zirytowana, stanęła na palcach i ku mojemu zaskoczeniu sięgnęła przez cały kredens aż do ściany. Chwyciła butelkę porto, stojącą tam od Bożego Narodzenia, i wyszła. Zamurowało mnie. Co – ona – zamierza – z tym – zrobić?

Ruszyłem za córką i zastałem ją siedzącą na łóżku i karmiącą dzidziusia. Bobas miał w buzi butelkę i wyglądał na zadowolonego. Do oczu napłynęły mi łzy wzruszenia. Córka ma dopiero trzy lata, a już aspiruje do tytułu Matka Roku.

Pogłaskałem ją, wyjaśniłem, że tej butelki nie może brać, bo jest do gotowania, a dzieci dużo bardziej wolą mleko. Na przykład firmy Baileys.

Ale ogólnie muszę przyznać, że dziecko jest przygotowane do życia i zna sposoby na pokonywanie przeciwności losu. Całe szczęście, że nikt

tego nie widział. To by znów było gadania:

– Nikogo do nich nie puszczajcie, u nich piją nawet zabawki. Naprawdę, wczoraj oddali mi pociąg i był całkowicie nawalony, mówię wam. Nie mógł utrzymać się na torach.

Ale poza tym było to ciekawe przeżycie. Bawić się z Wiki w to, że jestem tatą, to prawie tak, jak bawić się z żoną w to, że jestem tatą. Zazwyczaj w ogóle nie mam pojęcia, co jest grane.

Masaż dziecięcymi stópkami to jedno z najprzyjemniejszych uczuć, jakich można zaznać. Najpierw dzidziuś chodzi po plecach, a mama go przytrzymuje. Potem chodzi sam, a potem plecy stają się jego placem zabaw. Praktycznie przed każdym wieczornym czytaniem Wiki rozściela sobie posłanie na moich plecach. Najpierw rozkłada koce, a ja nie mam jak oddychać, a potem się układa, nakrywa kołdrą i robi:

– Chrrrrr.

A kiedy wyduszam z siebie: – Nie mogę oddychać! – mówi: – Ciiii, tato, ja śpię.

– A ja się duszę! – charczę spod koca.

Wiki wzdycha i przewraca się na drugi bok.

Brykanie na szerokich plecach taty, czy też innymi słowy *masaż*, ma cztery poziomy.

Pierwszy to po prostu chodzenie – bardzo przyjemny, jeśli brzdąc nie zacznie chodzić po głowie, by sprawdzić wytrzymałość szwów czaszkowych. Kiedyś Wiki kilkoma krokami tak dokładnie wymasowała mi płat ciemieniowy, że na godzinę straciłem wzrok.

Drugi poziom to podskakiwanie. Da się to wytrzymać, ale jeśli dziecko ma jakieś piętnaście lat i sto dwadzieścia kilo, jest relaksujący jak

walcowanie komodą. Stopniowo wyciska resztki życia wraz z zawartością płuc.

– Nie-nie-nie-skacz-nie-skacz-Wi-Wi-ki!

Wiki nagle się zatrzymuje:

– Tato, mówiłeś coś?

Staram się przywrócić oddech i zaczerpnąć tlenu, więc odpowiedź nie nadchodzi od razu. Czyli to było chyba tylko przesłyszenie, prawda? Świetnie, bawimy się dalej. Hop, hop, hop… Potem do pokoju wchodzi żona. Dotyka mnie lekko i pyta:

– Kto tu zostawił taką wielką padlinę?

A ja leżę jak zagniecione ciasto na pizzę i nie mam siły się nawet ruszyć.

Poziom trzeci to skoki. Obunóż. W poprzek lub wzdłuż – nie ma znaczenia, bo to już nie jest niewinne podskakiwanie – to jest coś, czego w ogóle nie powinno się robić. Na poziomie trzecim dziecko w czasie skoku zmienia się w kowadło. Jeśli oberwaliście kiedyś końskim kopytem, potraficie sobie wyobrazić poziom trzeci. Człowiek zdąży tylko syknąć: HYY! – a zawartość brzucha rozlewa się po kończynach górnych i dolnych.

Najgorszy jest poziom czwarty. Zeskoki. Tego to już w ogóle nie powinno się robić. Ale czasem coś ją opęta i skacze na mnie na przykład ze skrzyni na pościel albo nawet z szafy. Wtedy nie robię nawet *HYY!*, tylko:

– !!!

Gałki wylatują z oczodołów i zwisają bezwładnie na napiętych nerwach ocznych. Plecy praktycznie zlewają się z klatką piersiową. Nagle zmieniam się w papeterię. Kręgi rozstępują się, a rdzeń kręgowy rozgląda się przerażony:

– Co? Mojżesz? Tutaj? Teraz?

Masaż dziecięcymi stópkami może być przyjemny, ale może być też śmiertelnie niebezpieczny. Nie polecam włączania urządzenia na poziomy wyższe niż pierwszy.

Klej

Poprosiłem o pomoc pracownika marketu budowlanego: – Dzień dobry, córka ma na suficie świecący układ słoneczny i ciągle odpadają nam planety, teraz odpadł nam Jowisz i Księżyc, który jest w kształcie sierpa i ma dość ostre końcówki, więc boję się, żeby córce nic się nie stało. Szukam jakiegoś kleju lub taśmy klejącej, które można stosować do tynku.

Pracownik – grubszy, prawie łysy mężczyzna w okularach jak dwie popielniczki – pokiwał głową i powiedział:

– Niestety ja nie jestem z tego działu, ale zawołam młodego. – Kiedy odchodził, usłyszałem jeszcze: – Ten mądrala na pewno będzie wiedział.

Po chwili wrócił z chłopakiem wyglądającym na szesnaście lat. Przyszedł z rękami w kieszeniach, przywitał się, a dwa słoiki w oprawkach powiedziały:

– Ten pan szuka kleju, który utrzymałby Jowisza. Co byś mu polecił?

Miałem wrażenie, że facet z teleskopami kosmicznymi Hubble'a na oczach nie ujął mojej prośby zbyt dokładnie. Chłopak spojrzał na mnie i na żonę, po czym niewyraźnie wymamrotał:

– Psychiatrę?

– Wie pan, ja mam nad córką wszechświat i odpadają mi planety.

Ehm, chyba mnie nie wyszło to o wiele lepiej.

– A, wszechświat – przeciągnął to słowo młody, wyciągnął ręce, rozłożył palce i dodał tajemniczo: – Jest wszędzie wokół nas.

– Słuchaj, pan się boi, żeby księżyc nie zranił mu córki, bo z obu stron jest dość ostry – wyjaśniał mężczyzna ze szkłami zrobionymi z Gabinetu Owalnego. Chłopak stwierdził, że jemu księżyc wydaje się okrągły. Wtedy sto dwadzieścia dioptrii chwyciło pierwszy lepszy klej, podsunęło go chłopakowi przed twarz i spytało:

– Może ten? Czy on utrzyma księżyc?

Chłopak bez słowa wyciągnął smartphone'a, coś w nim wystukał, a potem pokazał nam wszystkim na ekranie, ile wynosi waga księżyca, po czym bardzo powoli wycedził przez zęby:

– Ta tubka go nie utrzyma…

Tymczasem zatrzymał się przy nas wąsacz ze staruszkiem na wózku, zostawił staruszka obok nas i poszedł szukać czegoś na regałach. Wrócił, kiedy nasza grupka już się rozeszła, kleju niestety mi nie doradzili, poddałem się. Staruszek słyszał naszą rozmowę, a kiedy wrócił jego wąsacz-pchacz, zapytał głośno:

– A może ty znasz klej, który utrzymałby Jowisza? Temu panu spadają planety.

Wąsacz spojrzał na mnie przepraszająco i wyjaśnił szeptem:

– Ostatnio bardzo się postarzał.

– Nie postarzałem się i nie ogłuchłem! – protestował staruszek. – Spadają mu planety, teraz na jego córkę spadł Jowisz.

– Planety to niezłe dranie – westchnął wąsacz i ruszył z wózkiem wzdłuż regału. – Wczoraj Merkury dosypał mi do kawy środek przeczyszczający, łotr.

Czasem zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej spokojnie zostać w domu i nigdzie nie chodzić. Cały świat zwariował, tylko ja jestem nienadgryzionym jabłuszkiem.

Ostatnia kontrola lekarska

Ostatnia kontrola lekarska, wreszcie będziemy mogli wrócić do przedszkola. Tyle że trzyletnia Wiki zbuntowała się w drzwiach poczekalni:

– Wiesz co, tato, idź tam sam. Ja nie cę iść do pani doktol.

– Zaraz, zaraz. To jest przecież lekarka dziecięca, co miałbym tam robić bez ciebie?

Zrezygnowany opadłem na ławkę, opuściłem zasmuconą głowę i zacząłem nerwowo miętosić ucho torby.

– A jeśli… A jeśli będę musiał się tam rozebrać, a ona będzie mi jeździć stetoskopem po plecach? Wiesz, jakie to jest straszne? – Spokojnie, tato, dasz ladę, jesteś już duży – córka poklepała mnie po ramieniu i próbowała dodać otuchy. Była dla mnie bardzo czuła i miła – przed rzuceniem mnie na arenę jako pokarm dla lwów.

– A… A jeśli będę musiał robić *aaaaa*, a ona będzie mi zaglądać do buzi? – zapłakałem przerażony.

– To nic tludnego, tato, po plostu zlobisz *aaaaa* – nie przestawała mnie poklepywać.

Nagle badanie stało się niemal przyjemnością, choć dotychczas zawsze opowiadała o tym jak o przesłuchaniu CIA w Guantanamo. Pomyślałem, że

moja córka byłaby idealnym szojchetem. Wiecie, ta zdolność sprawiania, że bydło czuje się rozluźnione. Zanim zostanie zabite jednym cięciem.

– No… No a jeśli będzie chciała mnie zważyć na tej wadze dla niemowląt? Zawsze tak się tam wyrywałaś, że nie dało się ustawić ciężarków.

Wiki zmierzyła mnie wzrokiem, wyobraziła sobie wagę dla niemowląt, znów oceniła moje wymiary i oświadczyła:

– To też nie jest nic stlasznego. I nie bój się, jakoś cię tam wcisną. Tylko musisz spokojnie leżeć. I nie możesz mieć nawet pieluszki! – podniosła palec wskazujący jak nauczycielka.

– Boję się. Ja też tam nie pójdę – powiedziałem przestraszony.

Wiki chwyciła się pod boki, zrobiła srogą minę, a potem wydała z siebie długie, naprawdę długie westchnienie.

– To pójdę tam z tobą, żebyś się nie bał.

Padłem jej do stóp i zacząłem całować buciki.

– Dziękuję, wasza zasmarkana ekscelencjo, dziękuję, niech Bóg to pani wynagrodzi w dzieciach albo przynajmniej w tym plastikowym dzidziusiu, którego zawsze bierze pani do łóżeczka, a potem na nim zasypia.

Wiki usiadła obok mnie z miną „ależ z tymi rodzicami trzeba się namęczyć", ale potem i tak musiałem odrywać ją od lampy na suficie, kiedy przyszła nasza kolej.

Dobra wiadomość jest taka, że jesteśmy zdrowi. Dzięki Bogu, bo kolejnego tygodnia już bym nie przeżył…

Zabawa w chowanego

Zamknęły się drzwi. Przyszła mama! Trzyletnia Wiki natychmiast wskoczyła pod moje biurko i schowała się za krzesłem. Zawsze, kiedy ktoś przychodzi, chowa się, a potem wyskakuje i robi HU!

Żona weszła do pracowni i zapytała ostentacyjnie:

– A gdzie jest Wiki?

– Nie wiem – odparłem – chyba wyszła po coś do sklepu. Albo załatwić coś w banku.

– Aha – wydeklamowała żona – to co będziemy robić? Nie ma Wiki, możemy robić, co chcemy!

Cisza. Żadnego ruchu.

– Już wiem! – powiedziałem głośno. – Wyciągniemy wszystkie ubrania z szafek, łącznie z tymi przygotowanymi do prasowania, zbierzemy je w jednym miejscu i będziemy po nich skakać!

Krzesło przy biurku drgnęło. Boże, przecież tego nie można przegapić!

– Mam lepszy pomysł! – wyrecytowała żona. – Usiądę przy twoim komputerze, ale nie po to, żeby pracować, tylko po to, żeby tak po prostu walić w klawisze i obserwować, co się stanie!

Krzesło poruszyło się kilka razy. To było jej marzenie. Jak rodzice mogą kraść jej marzenia?!

– A może pójdziemy do szafki z cukierkami i wszystko z niej wyjemy? – zaproponowała żona.

Nagle krzesło przeleciało przez cały pokój i wbiło się oparciem w ścianę.

– JA TEŻ CĘ!!! – krzyknęła Wiki, niechcący się tym demaskując.

Od tego czasu Wiki nie odstępuje nas ani na krok. Kiedy tylko jedno z nas się oddala, natychmiast przylatuje sprawdzić, czy coś jej nie omija. Krzyczy:

– CO TU LOBISZ?!

Po czym rozpoczyna się dokładna kontrola, czy aby nie wykonujemy którejś z jej ulubionych czynności, ponieważ służby zwiadowcze przekazały jej informację, co robią rodzice, kiedy dzieci nie ma w domu.

My w ramach wspierania dziecięcej paranoi zawsze natychmiast rzucamy to, czym w danej chwili się zajmujemy, i zaczynamy sobie obojętnie pogwizdywać, co z jakichś niewyjaśnionych przyczyn bardzo naszą córkę frustruje.

Chyba nie powinniśmy tego robić.

UWAGA, IDZIE!

Fi, fi, fiiii…

Pomyśl życzenie – powiedziała żona i rzuciła we mnie fosforyzującą gwiazdką przypominającą shuriken.

Pomyślałem, że chciałbym, żeby to tak nie bolało.

Domowa pizza

Dziś jedliśmy na obiad półmetrową pizzę, ponieważ mała pizzeria była jedyną restauracją, jaką znaleźliśmy, błądząc po przedmieściach. Kiedy

tylko weszliśmy, do pizzerii zaczęli ściągać również chyba wszyscy tamtejsi licealiści.

Dostaliśmy ogromną pizzę i usiedliśmy z nią w oknie wystawowym, bo wszystkie pozostałe miejsca były zajęte. A nawet tam musieliśmy cisnąć się z jakąś imprezą klasową. Położyłem pudełko z pizzą na trzyletnią Wiki, a ona pod nim praktycznie zniknęła – zostały tylko rączki, a na drugim końcu czubki butów.

– Zjesz to wszystko sama? – zażartował chłopak skulony przy sąsiednim stoliku.

– Nie – uśmiechnęła się Wiki. – Dam uglyźć tacie.

Licealiści wybuchli śmiechem.

– A resztę chcesz zjeść sama, tak? – upewniała się dziewczyna w niebieskiej kurtce.

– Tak! – oświadczyła Wiki i zaczęła wpychać do buźki pierwszy kawałek, aż z ucha wypadła jej pieczarka.

– Naprawdę to zje? – dziewczyna zwróciła się do mnie.

– Niestety nie mogę potwierdzić, że nie będzie próbować aż do skutku – odpowiedziałem dyplomatycznie, bo nie wypada mówić w miejscach publicznych, że moja córka to chodząca baryłka kwasów trawiących. – Muszę wyciąć w tym pudełku otwór na głowę, ręce i nogi, bo kiedy skończy jeść, to będzie jedyne ubranie, w które się zmieści.

Wiki śmiała się: – He he! – a z buzi wystawał jej kawałek pizzy.

– Jaką masz? – spytał chłopak.

– Smalkową! – krzyknęła szybko Wiki z pełną buzią i znów się roześmiała.

Licealiści na chwilę odłożyli jedzenie i spojrzeli po sobie.

– Mam nadzieję, że powiedziała pieczarkową – powiedziała dziewczyna.

– Nie, smalkową. Ze smalkami! – parsknęła Wiki i zrosiła nas pizzowym prysznicem.

– W domu też taką robicie? – zaciekawił się chłopak.

– W domu robimy z maltwych lalek balbi – wyszczerzyła się Wiki, przy czym z ust wypadło jej kilka kawałków. Dwaj licealiści zaczęli się dusić.

– To nieprawda – postanowiłem interweniować. – Tylko raz taką zrobiliśmy.

Pozostali odłożyli pizzę i walili głową w ścianę.

– A poza tym nie były całkiem martwe.

Ludzie zaczęli się na nas oglądać.

– Muszę zdobyć ten przepis! – odezwał się jeden z chłopaków.

– Jest bardzo prosty. Zrób sobie takie małe dziecko, spytaj go, z czym chce pizzę, a ono przyniesie swoje lalki i powie, że chce pizzę z lalkami. No więc mieliśmy pizzę z lalkami barbie.

W tej chwili z intensywnym nieprzyjemnym uczuciem, którego nie potrafiły nazwać, zaczęły się przebudzać telewizyjne gwiazdy kuchni.

– Wypróbuję to zaraz po powrocie do domu – ucieszyła się dziewczyna. – Mama lubi eksperymentować w kuchni. Będzie zachwycona tym przepisem! – I zaśmiała się zadowolona: – Szczególnie tą częścią, w której mam zrobić sobie dziecko.

– Ja mógłbym pomóc na przykład z… – szybko zgłosił się na ochotnika jeden z kolegów i dokończył rozmarzonym głosem: – … zagniataniem ciasta.

Na zakończenie muszę dodać, że Wiki nie zjadła całej pizzy. Naprawdę dała mi ugryźć.

„Nielozgalnięty" małż

– Ale ja nie cę się przebielać – płakała rano trzyletnia Wiki, siedząc nieszczęśliwa na łóżku.

– Wiki, zrobimy test, czy jesteś już wystarczająco duża, by pójść do szkoły, dobrze?

– Dobrze – wyprostowała się Wiki, z jakiegoś powodu ją to zmobilizowało.

– No więc: mała dziewczynka rano: a) przebiera się, myje, leci po zakupy, robi mamie i tacie śniadanie, a potem siada sobie gdzieś cichutko, żeby rodzice mogli spokojnie spać do południa, czy może b) wkłada na głowę rajtuzy, udaje, że jest niezbyt mądrym konikiem polnym i marudzi, że nic jej się nie chce?

– Ja jestem niezbyt mądlym konikiem polnym! – podskoczyła Wiki i zaczęła szukać rajtuz.

Westchnąłem. Potem zawołałem ją do siebie, uścisnąłem jej dłoń i pogratulowałem wyniku, dzięki któremu spada na poziom niezbyt rozgarniętego małża. I dodałem, że nie jest łatwo osiągnąć taki wyniki, bo małże same w sobie nie są zbyt mądre. Zachwycona Wiki natychmiast zaczęła skakać po łóżkach i krzyczeć, że jest „niezbyt lozgalniętym małżem". Jak bardzo żałowałem później tych słów na placu zabaw, gdy spotkaliśmy grupę przedszkolaków. Przedszkolanka zapytała Wiki, czy też już chodzi do przedszkola, a Wiki odparła dumnie:

– Nie, ja jestem niezbyt lozgalniętym małżem!

W swoim podręczniku do pedagogiki dopisałem uwagę, że trzyletnim dzieciom trzeba wyraźniej wyjaśniać różnicę między karą a nagrodą.

Wydaje się, że nierozgarnięte małże tak moją córkę oczarowały, że trudno będzie wzbudzić w niej wyższe ambicje. Powiedziałem wprawdzie, że nierozgarnięte małże są tak głupie, że mają problem nawet z zostawianiem za sobą obślizgłego śladu, ale jedynym efektem było to, że przyłapałem Wiki, jak czołga się po kanapie i ślini sobie nogi.

Przy drugim śniadaniu znowu:

– Ja nie cę jogurtu.

– W takim razie, Wiki, test numer dwa. Czy mała dziewczynka: a) je ładnie każdy posiłek, czy może b) kładzie sobie kubeczek na głowę, udaje, że jest rurką z kremem i płacze, że nie chce jeść?

Ludzie, jaki ja jestem głupi. Na dwóch palcach można było wyliczyć, co zrobi! Oczywiście, że była rurką i musieliśmy umyć jej włosy. No jasne, że nie postawiła kubeczka na głowę tak po prostu, tylko do góry dnem! Podczas szorowania pogratulowałem Wiki wyrzucenia z grupy nierozgarniętych małżów i degradacji do niezbyt lotnych grzybów. Czyli jeszcze niżej niż normalne grzyby, ale nawet inteligencja na poziomie normalnych grzybów nie stanowi zbytniego powodu do dumy. Właściwie jedyna różnica polega na tym, że normalne grzyby – w odróżnieniu od niezbyt lotnych grzybów – są w stanie utrzymać kapelusz na głowie. Kiedy później zadzwoniła babcia i pytała mojej córki, czy jest już zdrowa, oczywiście dowiedziała się, że Wiki jest niezbyt lotnym grzybem, co wprawiło babcię w osłupienie. Odparła, że nie zna się na grzybach, bo zbiera tylko prawdziwki, i zapytała, skąd wzięliśmy grzyby w środku zimy. Pogratulowałem więc również babci, bo klasa zaczyna się nam zapełniać. Potem sięgnąłem po podręcznik pedagogiki i obok „dzieciom" dopisałem „oraz babciom".

Wiki marudziła także w południe: nie chciała spać.

– Wiki, ostatni test, i przyłóż się, bo niżej już zbytnio nie ma gdzie spadać. Czy mała dziewczynka a) bez gadania przebiera się, wskakuje do łóżeczka i śpi, aż się góry zielenią, a w lepszym przypadku nie budzi się nawet na kolację, czy może b) kwiczy, że nie chce spać i wiesza się na piżamie tak jak właśnie ty teraz?

Pomogłem jej wyciągnąć głowę i stwierdziłem, że próbowała włożyć górą spodnie zamiast koszulki. Potrząsnąłem płetwą wystającą z otworu na nogę, poinformowałem o wyrzuceniu z klasy niezbyt lotnych grzybów i przywitałem swoją córkę w grupie organizmów jednokomórkowych, które reagują tylko na światło i czują tylko głód. Ale wydaje mi się, że Wiki trafiła do grupy niereagującej na światło. Była zmęczona, a „organizm jednokomórkowy" jest na szczęście terminem zbyt skomplikowanym, by mogła o nim komuś opowiedzieć.

Sięgnąłem po swój podręcznik do pedagogiki i zanotowałem, że jeśli nie chcemy, żeby dziecko coś po nas powtarzało, warto używać skomplikowanych słów. I przefiltrować latorośl herbatką z melisy, na porządny sen.

Smarkowa wróżka

Pierwsze miesiące w przedszkolu to czas budowania odporności. I smarków. Niewiarygodnych, niekończących się smarków, które będziecie bez przerwy wycierać, odciągać odkurzaczem, i które będą się wam śnić. Będą też krótkie chwile, gdy będziecie mogli wyjść z dzieckiem na dwór,

na przykład na plac zabaw, ale tam też będziecie wycierać smarki. I albo na jednym z nich się powiesicie, albo ułożycie o nich piosenkę. Właściwie ułoży się sama, bez waszego udziału. Po prostu staniecie nad dzieckiem i na którąś ze znanych melodii zaczniecie nagle śpiewać:

Jestem smarkową wróżką.
A kim jestem ja?
Ty jesteś smarkowym pucysmarkiem.
Zaraz się porzygam.
O, smark mi spływa
Z wargi na szyję.
Porządny gil.
Rzuć mi to wiadro.
Ciągnie się jak żel.
Czy chcesz zwierciadło?
O, gil się huśta.
Utnij go, bo się oswaja.
No naprawdę niezłe jaja.
Kołysze się smarkowy szal.
Zaprasza na gilowy bal.
Reszta tekstu uciekła w dal…

Nie brzmi to może zbyt melodyjnie, ale to nie było dla mnie najważniejsze. Wiele osób twierdzi, że nie chodzi o to, by wygrać, tylko o to, by wziąć udział. Ja twierdzę, że wzięcie udziału też nie jest ważne.

Ważne jest, by przetrwać.

Choćby z gilem pod nosem, ale z pieśnią na ustach.

Kurs tańca

Kurs tańca trzyletniej Wiki to coś, co powinien zobaczyć każdy. Melodia, do której się tańczy, nie jest zbyt istotna. Lecz duży problem stanowi słownik, a ponieważ nie znam baletowych sformułowań typu *pas de deux*, *plié a grand plié* czy *grand jeté,* mogę użyć wyłącznie laickich opisów, ale postaram się zrobić to tak, by były ogólnie zrozumiałe i pozwoliły na odwzorowanie tańca.

Figura początkowa to ręce podniesione w przysiadzie. Ręce zmieniają się w małe skrzydełka, powinniśmy wyglądać mniej więcej jak zamrożony kurczak. Zaczynamy chodzić w kółko na palcach, stawiając długie kroki, jakby wszędzie wokół było nasrane. A kiedy tańczymy wśród tych kup, staramy się znaleźć między nimi czyste miejsca. Co dwa-trzy kroki machamy skrzydełkami, jakbyśmy chcieli wznieść się w powietrze, ale oskubany drób nie ma na to zbyt wielkich szans, to jest tylko taki symbol.

Potem była zmiana: Wiki zaczęła stawiać przede mną szerokie kroki w bok, wysoko unosząc nogi zgięte w łuk. Ciężko to opisać, ale mężczyźni mogą to sobie porównać z sytuacją, gdy jądra przyklejają się do uda i trzeba spróbować je odkleić. Owszem, to nigdy nie jest przyjemne, ale wyobraźcie sobie, że przykleiły się jednocześnie do obu nóg! Przecież to prawie niemożliwe! Mimo to – stało się, więc podnosimy nogę i – siup – odklejamy. I druga noga – siup – i po sprawie. Stopa wraca na ziemię. Świetnie, brawo my! Dobrze nam idzie.

I trzecia figura: nogi razem, wypinamy pupę, przykucamy i ze złączonymi nogami skaczemy w kółko. Dokładnie tak, jak kiedy kończy się

papier toaletowy i trzeba skoczyć po kolejną rolkę, oczywiście z nogami złączonymi spodniami i bielizną. Hop, hop po papierek.

I to jest cały taniec. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić, a Wiki zapisze się w historii choreografii. Układ nie jest trudny, nawet ja dałem radę, choć miałem wrażenie, że przy drugiej figurze coś mi się naderwało.

Olej

Znowu nie mogłem ukroić chleba, cały mi się pokruszył. Ale udało się. Naostrzyłem wszystkie noże, nawet nóż do mrożonek. Poszedłem do żony i powiedziałem, że od dziś będzie na ostro. Zaczęła krzyczeć, uciekła do sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Czasem jej nie rozumiem.

I krzyczy przez te drzwi, żebym nie ważył się tknąć Róży, czyli różowej pluszowej niedźwiedzicy. Czy ja jestem dzieckiem? Czy ja się nią bawię?

Poślizg obok lodówki i bum! Trzyletnia Wiki leży na ziemi i krzyczy przestraszona.

– Ale z ciebie osiołek. Ile razy mówiłam ci, żebyś uważała? Zawsze się tu przewracasz, jakbyś nie umiała chodzić! – złościła się mama, podeszła do niej, chciała ją podnieść, ale nagle ona też się poślizgnęła i wylądowała obok dziecka.

Cud! Wiki przestało wszystko boleć i zaczęła się śmiać. Tata też, ale on, sądząc po minie mamy, słono za to zapłaci.

Poszedłem je obie podnieść, żona oparła się o mnie i nagle: ŁUP! Leżeliśmy w trójkę. Wiki pękała ze śmiechu, waliła piąstkami w podłogę, machała nóżkami... Z tego płynie nauczka: jeśli przypadkowo wyleje się wam olej z patelni, zawsze używajcie porządnych odtłuszczaczy. Nie wystarczy zebrać go chusteczką.

Ale spokojnie. Teraz przysunąłem sobie krzesło i czekam na wizytę teściowej.

Długo się nie widzieliśmy.

Po operacji.

– Dzień dobry, mamo… Ale na Boga, gdzie się mama tak śpieszy? Przecież dopiero mama wyszła ze szpitala, a już chce tam mama wracać? Przecież w ten sposób w ogóle się mamusią nie nacieszymy! Co za pech, prawda? Ale niech nas mamusia znów odwiedzi, znowu coś rozle…, ech. Niech nas mamusia znów odwiedzi!

Kosiarka

Jednym z negatywnych skutków ciągłego chorowania dziecka na początku przedszkola jest to, że na wszystko brakuje czasu. Rodzice też są przez to ciągle chorzy i nie mają szans na wyjście choćby do fryzjera.

Zarosłem już do tego stopnia, że żona postanowiła mnie ostrzyc, bo przy takiej dżungli u fryzjera zapchałby się nawet kombajn.

Do jednej ręki wzięła grzebień, do drugiej kosę spalinową, i przez chwilę myślała, jaką fryzurę mi zrobić. Z uwagi na ilość materiału

zastanawiała się nad Mount Rushmore. Przez kilka godzin niezmordowanie wywijała maczetą po lewej stronie mojej głowy, po czym krzyknęła zwycięsko, że dotarła do ucha.

Po kolejnych godzinach ciężkiej pracy zorientowała się zaskoczona, że mam też drugie ucho. Po kilku następnych kwadransach harówki Kasia postanowiła zdobyć również szczyt czaszki szlakiem potylicznym. Lecz w połowie trasy wyprostowała się, powiedziała, że przeceniła swoje możliwości, i postanowiła rozbić obóz pod ciemieniem.

W końcu udało się jej skrócić włosy wokół całej głowy na zdobytej wysokości, więc czupryna pozostała tylko na czubku. Starannie zaczesała ją na czoło, pięknie wyrównała, a potem podała mi lusterko. Wyglądałem jak końska dupa. Naprawdę, doskonały ogon. A w dodatku żona głośno rżała.

Wszystko dobrze się skończyło. Jestem ostrzyżony, ale sześć kosiarek dyskowych kona w łazience ze skurczami szczęk. Siódma leży wałem do góry i udaje, że jest rozrzucarką nawozów przemysłowych.

To jest właśnie czas chorób przedszkolnych. Cierpieć będą wszyscy, bez wyjątku.

Po chorobie

Po chorobie znów chodzimy do przedszkola. Oznacza to przede wszystkim zmianę biorytmu, bo musimy rano wstawać. Wyciągnięcie dziecka z łóżka to zadanie dla osób przeszkolonych przez izraelskie jednostki specjalne w Krav Madze. Jedyne, co może przynieść rodzicom odrobinę satysfakcji,

to powtarzanie mantry: *No widzisz, mówiłem ci, że nie będzie ci się chciało rano wstać, a ty wariowałaś jeszcze trzy godziny! Mówiłem. Jak wieczorem znów będziesz miała ochotę na wygłupy, to przypomnij sobie, jak czułaś się rano…*

Oczywiście dzieciak tego nie słyszy, bo śpi jak suseł. Wyciągacie więc dziecko z łóżka, jakbyście wyciągali utopionego kota, i próbujecie je ocucić. W tym czasie przedszkolak doskonale kontruje wasze działania. Z dziećmi jest ten problem, że jeśli naprawdę chcą, usypiają kiedykolwiek, gdziekolwiek i w jakiejkolwiek pozycji. A jeśli nie chcą – można się od razu poddać, bo nie da się ich uśpić.

Siadam z trzyletnią Wiki i próbuję ją ubrać, ale ona przez sen tylko przewraca się na brzuch, zwiesza ręce, nogi i głowę ku podłodze i kontynuuje sen w pozycji *prosię na ruszcie*. Kiedy próbuję ją odwrócić, osiągam tylko to, że wciąga kończyny pod siebie w pozycji kucającego jagnięcia.

Postanowiłem obrócić ją twarzą do światła, żeby się obudziła, ale pochyliła się, zakryła buzię dłońmi i zastygła w pozie płaczącego derwisza. Posadziłem ją na łóżko, ale jej kręgosłup po prostu jeszcze spał. Równie dobrze mógłbym próbować postawić na baczność kabel od laptopa. Po chwili zaczęła chrapać w pozycji tej sprężynki, co schodzi po schodach. Znów wziąłem ją na kolana, a ona z westchnieniem wspięła mi się na szyję i spała dalej niczym szal z norek. A kiedy chwyciłem ją za nogi i za ręce jak ofiarę kanibali, wymamrotała tylko: – Śmiało możecie mnie popolcjować i ugotować, tylko mnie nie budźcie! – i dalej kimała jak leniwiec w delirium. Dziś za łóżkiem próbowała nawet zrobić uroborosa – węża bez końca – i zaczęła zjadać własne nogi, żebym nie miał jej za co chwycić.

Zaczynam rozważać rewolucyjny system budzenia, do którego jest potrzebny tylko zegar, metalowe łóżeczko i akumulator samochodowy. Ale

nie wiem, czy w przedszkolach przyjmują dymiące, przypieczone dzieci.

Uroki przyrody

Tylko tego mi brakowało. Kiedy zobaczyłem w hali olbrzymi plakat *Uroki Przyrody,* od razu wiedziałem, że już po mnie. Dla wyjaśnienia: matką mojej córki jest spec w dziedzinie rolnictwa, który zna nazwy wszystkiego, co żyje na tej planecie. A ja… nie. Ja rozpoznam najwyżej mniszka – jeśli jest na nim napisana nazwa. Tuż obok Made in China. Albo Made in PRC. A ponieważ ojcowie nie lubią pokazywać dzieciom, że jeden z ich rodziców jest niedouczony, zawsze tak trochę… improwizowałem, kiedy Wiki pytała, co to jest.

Dlatego mój zachwyt wystawą był bliski zeru, ale żona i córka od razu się zatrzymały, wokół stało mnóstwo innych rodziców z dziećmi i wszyscy coś sobie pokazywali.

– Stoklotka! Jastlun! – podskakiwała Wiki wniebowzięta, mama się uśmiechała, ja też, ale wolałem się wycofać. – Szczaw! Sielony szajs. Koniczyna! Oklutny roślin. Pokrzywa! Dziwna żółta kwiatka. Babka! Dzwonek. Łopian gnójpapielowy! Bolówki! Tluskawki! Rozeźlone plóchno. Jarzębina. Włochaty tampon…

Znów znaleźliśmy się w centrum zainteresowania. Zawsze obwiniam za takie sytuacje swoją złą karmę, bo jaka jest do diabła szansa, że to przydarzy się nam tyle razy…

Żona nawet się nie odwróciła, tylko wyciągnęła rękę, znów złapała mnie pod brodą (jak ja nienawidzę tych *déjà vu*), przyciągnęła mnie do siebie z promiennym uśmiechem numer 23 i syknęła:

– Roślin też jej uczyłeś?

– Nie – pokręciłem głową, ale patrzyłem gdzie indziej. To pytanie i tak było zbyteczne. Znów została mi wciśnięta w dłoń mała dziecięca rączka, a mama odeszła od nas na drugą stronę hali, gdzie zajęła się intensywnym studiowaniem regulaminu zwiedzania. Po niemiecku. Z wyćwiczoną przez lata miną: WOLNA I BEZDZIETNA.

A Wiki wciąż pokazywała:

– Maliny. Mnóstwolistny łodyg. Dzika róża. Słonecznik. Świetlica mrówcza. Fiołki. Knieć! Tato, czy to są te jagody, po któlych slają jelenie?

No dobrze. To chyba był błąd. Powinienem wreszcie wyciągnąć wnioski.

Chusteczki

Od kiedy zamieszkałem z Kasią, musiałem zmierzyć się z wieloma nowymi rzeczami. Jedną z nich są chusteczki znikające ze szlafroka. Zaszło to tak daleko, że by zapobiec kolejnym kradzieżom, musiałem umieścić na kieszeniach ostrzeżenia, ale nawet to na nic się nie zdało. Chusteczkowi złodzieje zawsze znaleźli jakiś sposób i wykorzystali chwilę mojej nieuwagi. Mam przed sobą pierwszy zakaz, z 2011 roku:

TA CHUSTECZKA JEST CHRONIONA UMOWAMI MIĘDZYNARODOWYMI I ZOSTAŁA WPISANA NA LISTĘ UNESCO. JAKIEKOLWIEK JEJ PRZEMIESZCZANIE JEST KARALNE! WARNING! ACHTUNG! ATTENTION! NIE DOTYKAĆ! NIE DOTYKAĆ RÓWNIEŻ CHUSTECZEK, KTÓRE SPADŁY NA PODŁOGĘ! W RAZIE POTRZEBY NALEŻY WEZWAĆ JEDNOSTKĘ NOSOOCZYSZCZAJĄCĄ!

Niestety to zabezpieczenie nie poprawiło sytuacji. W kieszeni znalazłem tylko liścik napisany pismem bardzo podobnym do pisma mojej żony:

PO ZAPOZNANIU SIĘ Z PRAWEM KRAJOWYM I MIĘDZYNARODOWYM DOSZLIŚMY DO NASTĘPUJĄCYCH WNIOSKÓW: CHUSTECZKI NIE SĄ WPISANE DO KSIĘGI GATUNKÓW ZAGROŻONYCH, ZATEM ICH PRZEMIESZCZANIE NIE JEST KARALNE. Z PODROWIENIAMI, SIŁA WYŻSZA.

Coś strasznego. Byłem wściekły, więc musiałem zaostrzyć działania i zmienić tekst ostrzeżenia: JEŚLI JESZCZE RAZ DOJDZIE DO TEGO (NIELUDZKIEGO) CZYNU CHUSTECZKOWEGO, PORWIEMY WSZYSTKIE WASZE GRUBE, WŁOCHATE SKARPETY I BĘDZIEMY WIĘZIĆ JE DO CHWILI, GDY UWOLNIENI ZOSTANĄ WSZYSCY NASI BRACIA I SIOSTRY, CO DO JEDNEGO! GILE MOŻECIE SOBIE ZOSTAWIĆ.

Mimo to, ku swojemu wielkiemu przerażeniu, nie znalazłem w szlafroku chusteczek. Była tam tylko wiadomość:

BYŁEM TU.

FANTOMAS.

PS W OBU KIESZENIACH.

Bezczelność tych łobuzów nie znała granic. Spróbowałem przestraszyć ich metafizycznie: CHUSTECZKI CHRONI SIŁA NAJWYŻSZA.

NIEWAŻNE, KTÓRE BÓSTWA WYZNAJECIE, WSZYSTKIE ZGODNIE CHRONIĄ ZAWARTOŚCI TYCH KIESZENI. DLA DOBRA WASZYCH ŻYĆ ZIEMSKICH I POŚMIERTNYCH ZAKAZUJEMY WSZYSTKIM ŚMIERTELNIKOM CHOĆBY DOTKNIĘCIA TYCH CHUSTECZEK!

Lecz nawet pomimo tego srogiego ostrzeżenia zamiast chusteczek znalazłem w kieszeni liścik: MAM KATAR, SORRY, CHYBA SIĘ PRZEZIĘBIŁEM, KIEDY TWORZYŁEM ŚNIEG. BÓG.

Nie działało nic. Ale nie poddawałem się. Następne ostrzeżenie brzmiało następująco:

CHUSTECZKA JEST ZATRUTA! NIE DOTYKAĆ!

Lecz potem zamiast chustki znalazłem w kieszeni tylko kilka martwych much i wiadomość: POŚWIĘCIŁY ŻYCIA W IMIĘ HIGIENY. MORDERCA!

Ale nie poddaję się, będę walczyć! A przy okazji – włożenie do kieszeni drutu kolczastego to dobry pomysł. Pod warunkiem, że potem się o tym drucie nie zapomni.

Jak wybrać przedszkole?

Wielu niedoświadczonych rodziców kieruje się przy wyborze przedszkola bezsensownymi kryteriami, niemającymi z realnym chodzeniem do przedszkola nic wspólnego i w żaden sposób niewpływającymi na życie dziecka i rodziny. Sprawdzają na przykład, czy organizowane są tam zajęcia

twórcze, czy przedszkole ma własny plac zabaw, na jakie kółka dodatkowe mogą uczęszczać dzieci, a niektórzy pytają nawet o zdrowe odżywianie. Zapomnijcie o wszystkich tych rzeczach. To, że dziecko *zaczyna chodzić do przedszkola*, to tylko takie sformułowanie. Prawda jest taka, że wprawdzie dziecko raz, może i dwa razy – jeśli jest silne – zajrzy tam, ale większość czasu będzie spędzać z wami w domu. Chore. A z wami będzie podobnie. W pierwszym półroczu przejdziecie wszystkie znane i nieznane choroby. Czasem będziecie się czuć jak kawałek obgryzionej padliny. A czasem nawet będziecie marzyć o tym, żeby to już się skończyło i żeby naprawdę stać się tą padliną.

Dlatego wybierając przedszkole, należy wziąć pod uwagę przede wszystkim następujące kryteria:

Czy każde dziecko ma własny inkubator?

Czy przedszkole wymaga wszelkich dostępnych szczepień, w tym również na tyfus, malarię i cholerę? Bo na to zachorujecie w pierwszej kolejności.

Czy przedszkole ma przy wejściu komorę dezynfekującą, sterylizującą i deratyzacyjną?

Czy w regulaminie przedszkola jest wpisane, że przynajmniej raz dziennie wszyscy muszą stawić się na kontroli w Centrum Badań nad Chorobami Śmiertelnymi?

Czy każde dziecko ma własnego pediatrę, dwie pielęgniarki i oddział intensywnej terapii do dyspozycji?

Czy przedszkole zapewnia zdrowe drugie śniadania, czyli owoce, warzywa i dwa kilogramy antybiotyków?

Czy przedszkole ma własny schron przeciwatomowy, do którego natychmiast jest odprowadzane dziecko, pod którego nosem pojawi się

smark, żeby mogło się tam spokojnie bawić? Dwadzieścia metrów pod ziemią?

Czy przedszkole zapewnia codzienne pływanie w basenie wypełnionym nierozrzedzonym mydłem antybakteryjnym?

Czy pracownicy wykonujący profesjonalną kontrolę dzieci są wyposażeni w siedmiometrowe kije manipulacyje?

Wystarczy kierować się tymi kryteriami przy wyborze przedszkola, a potem już tylko mieć nadzieję, że przyjmą dziecko. Gdziekolwiek.

Pierwsza impreza urodzinowa

Wiki miała trzy lata, gdy dostała od koleżanki swoje pierwsze zaproszenie na imprezę urodzinową. Spotkaliśmy mamę tej dziewczynki przed domem, a kiedy Wiki i koleżanka zobaczyły się, zaczęły do siebie biec. Klasyczna *cute scene*, która zazwyczaj jest puszczana w zwolnionym tempie. Ujęcie Wiki, ujęcie drugiej dziewczynki. Ujęcie drugiej dziewczynki z rozłożonymi ramionami, ujęcie Wiki tak samo przygotowanej do uścisku… I tak dalej przez jakieś trzy minuty. Potem do siebie dobiegają. W filmach romantycznych postaci obejmują się, jedna może drugą na przykład podnieść i zacząć się z nią kręcić. Ale nasze dziewczynki zderzyły się i padły na ziemię. Romantyczny film zmienił się w całkiem niezłą scenę wrestlingu.

Tuż po wejściu na imprezę Wiki dostała stożkowaty kapelusik urodzinowy. Sporo czasu minęło, od kiedy miała taki kapelusik poprzednio,

i zapomniała już, jak się go nosi. Włożyła go za bardzo na czoło, ten styl nazywa się „na jednorożca". Ale niestety dała go trochę za nisko i spadł jej na twarz, więc nagle zamiast córki miałem dzięcioła. Dzięcioł zaczął coś pokrzykiwać. Chyba mówił, że nic nie widzi. Odparłem, żeby był cicho, że tak to już z dzięciołami bywa.

Przyszły pozostałe koleżanki i wyciągnęły prezenty. Zaczęła się tworzyć kolejka do jubilatki. Tyle że jubilatka zniknęła. Okazało się, że akurat musi zrobić kupę, więc zdezorientowana kolejka gości czekała, ale z przodu brakowało najważniejszej osoby. Zaproponowałem, żeby jubilatka przyjęła prezenty podczas swojego posiedzenia, lecz wniosek został odrzucony, bo nikt nie odważył się tam wejść. Wyobrażam sobie, jak taka sytuacja wyglądałaby na dużej imprezie firmowej. Kolejka i wszyscy pytają: – Gdzie jest? Gdzie jest jubilat? – a z najdalszego korytarza dochodzi krzyk: – Jestem zajęty!

Podszedł do mnie młodszy brat jubilatki, dwuletni chłopczyk. Spostrzegł, że nie wyglądam zbyt dobrze i powinienem się posilić. Odjął więc sobie ogórka od ust i podał mi go. Przełknąłem ślinę – ze wzruszenia, a także dlatego, by nie puścić pawia. Ogórek był rozgryziony i wyssany. Podziękowałem i obróciłem się do okna, żeby sprawdzić, czy w doniczce zmieści się mój obiad.

Goście dostali bańki mydlane. Dmuchają i pryskają nimi na wszystkie strony. Wszędzie jest mnóstwo baniek. W niektórych są kanapki i chrupki z poczęstunku urodzinowego. Wiki oczywiście cała polała się płynem, a kiedy biegła do drugiego pokoju, robiły się za nią bańki.

Ten dwuletni szkrab przyniósł mi kolejną porcję jedzenia. Tym razem kawałek nadgryzionej papryki. Znów musiałem podziękować z uśmiechem. Powinienem sprawdzić, czy gdzieś się to skupuje, bo moje zapasy rosną.

Wpisałem w google „skup nadtrawionych warzyw". Na razie nie wyskoczyły żadne wyniki.

Włożyłem żonie kapelusik urodzinowy. To Wiki mi go przyniosła i zleciła mi to zadanie. Ale nie trzymał się na głowie Kasi i spadł. Na klatkę piersiową. Przez chwilę wyglądała, jakby mogła karmić jednocześnie nawet trojaczki. Ale jedna trzecia dzieci prawdopodobnie wybiłaby sobie oczy o pierś.

Podeszła do mnie żona, wcisnęła mi do ręki papierową chustkę i wskazała na córkę z lakonicznym stwierdzeniem: ma gila. Spytałem, co mam z nim zrobić. Zawieźć do zoo? Tuż potem na twarzy wylądował mi różowy słoń. Tak to tu wygląda. Latają tu słonie. Różowe.

Kolejna część świętowania odbywała się w przebraniach. Wszędzie same królewny, Wiki na dodatek dostała do sukni skrzydełka, więc podobno jest wróżką. Nagle zaczęła krzyczeć, a wszyscy wzięli nogi za pas, bo w pobliżu pojawił się zły czarodziej z packą na wróżki. Na wszelki wypadek zamknąłem okno, żeby nie wyleciała. Jeśli tych bajkowych postaci nie zlikwiduję packą na wróżki, spróbuję postawić w kuchni wróżkołapkę.

Wiki przyniosła mi swoje skrzydełka, żebym też je przymierzył. No… musiałem je włożyć. Ale myślę, że nie są dostosowane do mojej wagi i nie działają. Z pokoju obok dobiegł głos żony:

– Wiki, chodź, mam tu bardzo skuteczną packę na muchy.

Zajrzałem tam i zobaczyłem Kasię, która wytrzasnęła skądś deskę do prasowania.

A potem stał się cud. Wpadłem na zbawienny pomysł i zacząłem latać. Udało mi się wznieść aż do żyrandola, usiadłem tam i udaję, że jestem żarówką.

Kolejna część wieczoru to bowling! Dwuletni karmiciel jednym celnym rzutem strącił wszystkie kręgle w postaci szklanek na stole.

Naprawdę świetny rzut! Mama chłopca próbowała łapać szklankę jedną po drugiej, i zawodziła przy tym:

– On wszystko rozlewa, rozsypuje, rozkrusza i robi taki bałagan, że to jest wręcz nieludzkie!

Kasia pochyliła się nad chłopczykiem, pogłaskała go i powiedziała:

– Jesteś taki sam jak mój mąż…

W pokoju zgromadziły się księżniczki i wróżki, a nas przywołał krzyk:

– Cicho! Cisza!

Wszystkie postaci krzyczały na całe gardło, że gdzieś tam jest dobry złodziej. Próbowałem dowiedzieć się, co to jest *dobry złodziej*: to taki złodziej, któly nie kladnie.

Ehm…

Chciały go złapać, ale się bały. Wiki bohatersko postanowiła, że go rozdepcze, a potem powiesi na ścianie. Doradziłem, żeby spróbowały wessać go odkurzaczem, więc teraz mamy tu scenę jak z *Pogromców duchów.*

Tym razem ten dwuletni roznosiciel jedzenia wybrał na kolejną dostawę Kasię. Dostała słonego paluszka. Do jednej dziurki w nosie. Wiki spodobało się to tak bardzo, że włożyła mamie drugiego paluszka do drugiej dziurki, a Kasia zaczęła wyglądać jak mors. Potem mors nagle kichnął i wyleciały mu kły. Niestety przeszyły dwoje dzieci, więc teraz zbieram pudełka, żeby było gdzie ułożyć ofiary. Przecież taka drobnostka nie zepsuje nam urodzin.

Z pozostałymi rodzicami rozważamy, czy wysłać dzieci na zieloną szkołę – czy w pierwszym roku przedszkola, dla czterolatków, nie jest na to

za wcześnie. My na pewno spróbujemy, bo wciąż mamy nadzieję, że Wiki kiedyś za nami zatęskni, czy choćby zauważy, że jest bez rodziców. Wprawdzie zaznaliśmy już chwil, w których Wiki przytula się i mówi: – Tatusiu, tak bardzo cię kocham! – albo: – Tatusiu, mamusiu, tak bardzo mi was brakowało! – lecz te nagłe przejawy uczuć następują zawsze po pytaniach typu: – Kto rozbił tę szklankę? – lub: – Kto znowu majstrował mi przy komputerze?!

Jubilatka przyniosła tubę wydającą dźwięki jelenia na rykowisku. Dowiedziałem się o tym, kiedy ten ton rozgrzmiał mi niespodziewanie tuż przy uchu. Nagle poczułem nieodpartą chęć zwiedzenia strychu, na który katapultowałem się ze strachu przez kilka kondygnacji. Kasi najwyraźniej wydało się to zabawne, bo położyła się na podłodze, zaczęła rżeć i przez dziurę w suficie krzyczała do mnie:

– Fauście, wyłaź!

Ze strychu dobrze widać okolicę. Na końcu ulicy zaczynają gromadzić się rozochocone sarny.

Król

Właśnie wychodziłem z ZUS-u, gdy usłyszałem kłótnię na drugim końcu korytarza. Jakiś szef udzielał reprymendy swojemu bardzo otyłemu asystentowi:

– Co to ma być? Żartuje pan sobie ze mnie? Najpierw przychodzi pan Chlebojad, potem Rogaliczek, między nimi dzwoni pani Szynka, a teraz

jeszcze to! Czy pan sobie urządza w biurze piknik? A jeśli klienci zorientują się, że ściąga ich pan tu tylko dla zabawy? Będzie nagana! – pogroził mu palcem.

Do poczekalni wszedł jakiś mężczyzna.

Szef westchnął, kiwnął do asystenta, żeby znikał, a on ciężkim krokiem wszedł do swojego biura. Szef powiedział:

– Proszę za mną, panie Masełko.

Nie wierzyłem własnym oczom i uszom, że przypadkowo trafiłem na takie *show*. Tymczasem do poczekalni przyczłapał spocony i blady asystent.

Natychmiast podeszła do niego sekretarka i coś mu szepnęła. Asystentowi udało się zbladnąć jeszcze bardziej. Podszedł szybko do siedzącej na krześle dziewczyny i stłumionym krzykiem powiedział:

– Przepraszam najmocniej, pani Gouda, teraz nie może pani tam wejść, bo szef mnie wyleje!

Przecież to niemożliwe – myślałem. Jakie jest prawdopodobieństwo, że tyle osób spotka się na jednej kanapce? Śmiałem się w drodze do wyjścia. W drzwiach ustąpiłem jednemu panu, który szybkim krokiem podszedł do recepcji i powiedział:

– Dzień dobry, moje nazwisko Cebulak. Jestem umówiony.

Nieźle! Ale najlepsze wciąż było przede mną.

Na zewnątrz, między autami, stał drugi asystent, jeszcze korpulentniejszy niż ten pierwszy. W jednej ręce trzymał papierosa, a drugą trzymał przy uchu telefon. Chodził w tę i z powrotem i pomimo swej wagi niemal podskakiwał:

– …dobrze, bardzo się cieszę, że może pan przyjść, na pewno się panu zrewanżuję i przepraszam za tę pomyłkę. W takim razie, panie Ogórek, widzimy się za godzinę. Tylko proszę nikomu o tym nie wspominać, bo wyrzucą mnie z pracy. Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia.

Rozłączył się, zaciągnął się papierosem i zaczął wystukiwać coś na telefonie, śmiejąc się przy tym do siebie:

– Myśli, że będzie mi bezkarnie podkradać śniadania? Ja mu zrobię taki…

Dzwonek telefonu.

– Dzień dobry, panie Bułka, dziękuję, że pan oddzwania…

TEN – GOŚĆ – JEST – KRÓLEM!

Naprawdę szczerze żałowałem, że muszę już iść, bo dziś nie mógłbym robić nic ciekawszego niż obserwowanie poczekalni ZUS-u. Szczególnie kiedy przyjdzie pan Ogórek i pan Bułka. I kto wie, jakie jeszcze dodatki się pojawią.

Laryngolog

Siedzimy przed gabinetem laryngologa dziecięcego, jest piątek, poczekalnia pełna. Trzyletnia Wiki wyciągnęła z kuferka dla dzieci zabawkowy meoskop. Przyniosła go i uśmiechnięta usiadła obok mnie. I się zaczęło.

– O, tato, patrz, świnka! – krzyknęła zachwycona, trzymając przeglądarkę slajdów przy oczach i pokazując ręką tam, gdzie widzi zwierzątko. Lecz w rzeczywistości palec wycelowany był dokładnie w szcześcioletniego chłopca, który najwyraźniej cierpiał na nadwagę i akurat wpychał w siebie jakąś drożdżówkę. Cała poczekalnia próbowała powstrzymać się od śmiechu, tylko mama tego chłopca parsknęła i zakryła usta ręką.

Chłopiec rozejrzał się nerwowo i spytał mamę:

– Co to za dziewczynka?

Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale jakoś wyczuł, że dobrze byłoby wiedzieć, jak Wiki ma na imię. I gdzie mieszka.

– To nie jest dziewczynka – odpowiedziała mama. – To wiedźma, flejtuszku – i zaczęła strzepywać z niego okruchy. Potem już nikt nie krył śmiechu.

Wiki na chwilę odłożyła przeglądarkę i próbowała zorientować się, co wszystkich tak rozbawiło. Na wszelki wypadek upomniałem ją, że nie pokazuje się na nikogo palcami.

Kiedy rodzą się dzieci, u rodziców budzi się tak zwana nieodparta pasja podróżnicza. Coraz częściej pojawiają się chwile, kiedy rodzice desperacko pragną być gdzieś indziej. Obojętnie gdzie, byleby to było daleko. Sąsiednie kraje nagle wydały mi się idealnym miejscem pobytu.

Wiki nie wiedziała, co wywołało uśmiech na twarzach pozostałych czekających, i znów przyłożyła meoskop do oczu. Pstryk. Kolejny obrazek.

– O, tato, klowa – wyciągnęła rękę, ale natychmiast ją jej opuściłem i powtórzyłem, że nie pokazuje się palcem. Za późno. Wszyscy widzieli, że tym razem pokazała na biedną staruszkę, która przyszła tu z wnuczką. Kobieta śmiała się do łez. Widziała moje zakłopotanie i powiedziała głośno, że Wiki nie jest pierwszą osobą, która tak ją nazwała.

Lecz Wiki najwyraźniej tego ogólnego rozbawienia nie zauważała. Wciąż przyglądała się obrazkowi i mruczała pod nosem:

– Ale to jakaś dziwna klowa, tato. Nie ma plam. Widzisz, tato?

Wyjaśniłem, że ja niczego nie widzę. Jedyne, co widzę, gdy zamykam oczy, to Australia. Tam musi być teraz pięknie. Bez laryngologów, poczekalni z meoskopem, bez świń i krów.

Pstryk. Kolejny obrazek. W poczekalni zapanowała grobowa cisza. Najchętniej zabrałbym jej tę przeglądarkę, ale chyba by mnie za to ukamienowano.

– Co to jest? – dziwiła się Wiki głośno. – Nie znam czegoś takiego, tato?

Powtórzyłem jej, że ja tych slajdów nie widzę.

– Tam – wyciągnęła rękę. Na szczęście wskazała na kawałek pustej ławki, ale szybko na to miejsce przesunął się ojciec z synem.

– Teraz kolej na nas.

Ten pan miał wielkie, gęste wąsy.

– Tato, to nie jest delfin. Czy to nie ten głupi kaszalot?

Przychodnia zatrzęsła się w posadach. Wszyscy się śmiali, a kilka osób osunęło się na podłogę. Ehm. Przyznaję, głupi kaszalot występował w naszej wczorajszej zabawie, w której wszystkie zwierzątka posłusznie stały, tylko on jeden ciągle się przewracał. Dlatego nazwaliśmy go głupim kaszalotem, bo nie potrafił nawet stać. Już nigdy tego nie zrobię. Następnym razem będzie się nazywać dobry, miły… ssak.

Wyszła pielęgniarka, rozejrzała się i powiedziała:

– Tu jest tak wesoło, że zapomniałam, kto wchodzi następny.

Wąsaty ojciec otarł łzy i zaczął wskazywać na pacjentów:

– Teraz wchodzi świnia, potem ta krowa, a potem my, głupie kaszaloty.

Przychodnia zatrzęsła się po raz drugi. Nikt nie mógł oddychać, śmiały się nawet dzieci. Śmiała się nawet Wiki, choć nie miała pojęcia, z czego…

– W co się tu bawicie? – nie rozumiała pielęgniarka.

– A po nas wejdzie ta wiedźma – dokończył ojciec, znów rozśmieszając całą poczekalnię, która ledwo doszła do siebie po poprzednim wybuchu.

Zacząłem się zastanawiać, czy na Marsie naprawdę są tak niekorzystne warunki do życia, jak się czasem słyszy.

Jeśli kiedyś wejdziecie do poczekalni i zobaczycie tam meoskop… Wyrzućcie go przez okno. NATYCHMIAST!

Legiony to…

Czas t + trzydzieści minut po tym, kiedy trzyletnia Wiki powinna zasnąć.

W pokoju obok rozległy się dziwne dźwięki. Spojrzeliśmy z żoną na siebie.

– Zajrzysz tam? – rzuciłem pierwszy.

Kasia wstała i poszła do małej. Po chwili wróciła.

– Śpiewa sobie – znów usiadła. Potem jakby od niechcenia spytała: – Nie wiesz, skąd może znać zwrotkę *Legiony to żołnierska nuta*, która ma kontynuację *a smród unosi się im z buta?*

Z pokoju dobiegło:

– …a buty śmieldzą jak pełna pielucha…

Schowałem się za ekranem komputera.

– Pewnie znowu sobie wymyśla – powiedziałem do klawiatury. Na głowę spadła mi pusta plastikowa butelka. Chyba pogoda się popsuła, muszę uważniej słuchać prognoz.

Czas t + godzina po tym, jak Wiki powinna zasnąć. Była kolej na mnie, bo w sąsiednim pokoju zdecydowanie nie panowała cisza. Wszedłem do jaskini lwa, żeby spacyfikować jej załogę. Po chwili wróciłem.

– Ma tam zebranie. Wszystkie pluszaki siedzą równiutko na skraju łóżka, a Wiki akurat wyznacza im kary za to, że jeszcze nie śpią. Chciałem jej przerwać, ale zostałem wyproszony z powodu spóźnienia. Mogę sobie potem przeczytać protokół z zebrania.

W twarz trafiła mnie paczka chusteczek higienicznych. Pogoda wciąż się nie poprawiała.

Czas t + półtorej godziny po tym, jak Wiki powinna zasnąć. Żona nagle poderwała się, wtargnęła do pokoju obok, ale wróciła dość szybko. Pod pachą przyniosła pluszowego psa.

– Podobno cały czas ją budzi, więc mi go dała.

– Sprytne – zauważyłem. – Poświęciła psa, ale sama wyszła bez szwanku.

Na głowie wylądowało mi jojo. Tuż potem na wersalce wylądował pies, a Kasia warknęła:

– Ty też marsz do spania, kundlu!

Pluszowy pies musiał być porządnie wystraszony, bo od tamtej chwili nawet nie drgnął.

Spojrzałem na prognozę pogody, ale wszystkie cztery żaby najwyraźniej złożyły wypowiedzenie.

Czas t + dwie godziny po tym, jak Wiki powinna zasnąć. Znów była kolej na mnie. Wróciłem i oświadczyłem:

– Już prawie śpi, jeszcze tylko musi popłynąć po zakupy, bo podobno marynarze są głodni.

Żona nie komentowała i niczym we mnie nie rzuciła. Pogoda się poprawiała.

Czas t + dwie i pół godziny po tym, jak Wiki powinna zasnąć. Huk. Pobiegliśmy tam oboje. Żona pierwsza. Wiki siedziała na łóżeczku, wokół niej leżała góra zabawek wyciągniętych zewsząd, kołdra, koce i poduszki

rozwieszone jak bunkier, rozłożone książki, a każdy pluszak ubrany w jakąś część garderoby naszej córki.

– Boże, Wiki, dlaczego jeszcze nie śpisz? – krzyknęła Kasia.

Wiki potarła oczy, jakby właśnie otworzyła je po wielu godzinach snu, i zapłakała:

– Bo ja, mamusiu, w ogóle nie mogę usnąć. No w ogóle! W ooooogóle!

Teraz się zastanawiamy. Uciec do Acapulco, czy skoczyć w przepaść?

Mikrofalówka

Żona weszła do pokoju i zobaczyła, że leżę pod stołem i zakrywam sobie głowę. Życie ze mną nauczyło Kasię, by o nic nie pytać i szybko paść na podłogę piętami w stronę spodziewanego wybuchu. Dopiero potem syknęła:

– Co znów zrobiłeś?

Bez słowa skinąłem w stronę mikrofalówki.

– Co do niej włożyłeś? – spytała zrezygnowana.

Kiwnąłem w tym samym kierunku i szepnąłem:

– Zrobiłem bomby witaminowe.

Kasia przyjrzała się uważniej. Przed mikrofalówką stały dwie pełne szklanki świeżego soku. Powoli się podniosła, a potem zaczęła systematycznie wdeptywać mnie w ziemię. Nie przestała, dopóki nie wyglądałem jak postrzępione niedźwiedzie nalepki. Powiedzmy. Powiedzmy, że te „niedźwiedzie napletki" to było jej przejęzyczenie.

– Ciągle wszyscy jesteśmy chorzy, więc zrobiłem bombę witaminową.

Kasia wypiła jeden łyk. Jej twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie, a moja żona przeszła na dialekt góralski.

– Ce w tem jest?

Też się napiłem. Boże, to był czysty kwas. Rozciągnął mi usta na całą twarz.

– Pemereńcze, menderenke, kewe e cetrene – wydusiłem.

Żona znów się napiła i zaczęła się pocić. Miała dokładnie taką samą minę jak na naszym ślubie.

– Beże, te cetrene, e kterem meśleleśme, że jest grejpfretem?

Też wziąłem kolejny łyk, a na potylicy wyrosła mi druga twarz.

– Tek. Te – kiwnąłem obiema stronami głowy.

Kasia westchnęła i znów odważnie sięgnęła po szklankę.

– Brrrr! – otrząsnęła się. – E te niedejrzełe kewe, fej… Tege sie nie de peć.

Obserwowałem żonę i zastawiałem się, czy ten dialekt powstał, bo wszyscy w okolicy mieli usta w kształcie litery S. Kasia miała. Ponadto zaczęła jej z nich ciec żółta piana.

– Te see nee nedeje de pecee, tem see cześcee peekernek e petelnee!

Napiłem się, a na buzi wymieniły mi się wargi. Górna z dolną. Mimo to powiedziałem bohatersko:

– Ne wedzesz, bedzeeme zdrewe, e ne dedetek eseneeme kemeeń wedne.

Żona wzięła ostatni łyk, oczy przekręciły się jej jak w automacie do gier i zatrzymały się na dwóch cytrynach.

– Tege czegeś je peć nee bede, wele beć chere, neż ed tege peść.

Odniosłem szklanki do kuchni i postawiłem je na kredensie. Wszystkie tłuste plamy przerażone uciekły do przedpokoju i trzęsły się tam ze strachu. Płyn do naczyń stał na zlewie i ślinił się z zazdrości.

Dopiłem swój sok i poszedłem się wysikać. Kiedy wróciłem, powiedziałem Kasi:

– Kteś nem ekredł meszle, terez meme terecke teelete.

Ale może po prostu się rozpuściła?

Dialekt

Ten rzekomy dialekt wszedł nam w krew. Może kiedyś jako dzieci próbowaliście śpiewać piosenki z innymi samogłoskami, na przykład *Wlezł ketek ne płetek e mrege*, *Wlizł kitik ni płitik i mrigi*, czy nawet *Wlązł kątąk ną płątąk ą mrągą*.

U nas *dialekt* pojawił się w wyniku picia bardzo kwaśnego soku, który wykrzywia usta, przez co wydobywa się z nich tylko jedna samogłoska: e. Wprawdzie po jakimś czasie doszliśmy do siebie, ale takie zabawy bardzo szybko wchodzą w krew, więc zaczęliśmy między sobą rozmawiać jak nieprzesadnie rozgarnięte osoby.

– Nełeżeć cee dekładke spegette? – żona została przy e. Ja przeszedłem na o.

– Noo, dzookojo, oż soo nojodłom.

Wiki ze wszystkich sił próbowała do nas dołączyć:

– Ja jaszcza ca.

I radziła sobie dobrze.

Lepiej nie zaczynajcie w to grać, bo skutki są katastrofalne. Po raz pierwszy uświadomiła to sobie żona, kiedy zadzwonił telefon, a ona automatycznie odebrała:

– Słechem?

Jakiś telemarketing. Kasia gotowała i przełączyła na głośnik. Nie wiem, co tamta pani jej oferowała, ale nawet dziwne przywitanie jej nie zniechęciło. Kasia chyba zrozumiała, że powinna jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, bo kiedy telemarketerka zaczęła wypełniać z nią jakąś ankietę, moja żona powiedziała:

– Przepreszem, je terez nee mege…

Nagle zrozumiała, że mówi jakoś dziwacznie. Stuknęła czołem o blat kredensu, zamknęła oczy i jęknęła załamana:

– Beże, jeż cełkeem zwereewełem. Dleczege je ze neege weszłe, terez mnee edweze z dłegeeme rekeweme, zemkne w węgłeszenem pekeje e nee zebecze eż żewej desze. Kerwe.

Chciałem jej pomóc, ale niestety zapomniałem, że jestem równie naznaczony jak ona, i powiedziałem do słuchawki:

– Żono toroz noo możo, ono gotojo, mogłobo pono zodzwonooć poźnooj?

A potem już waliliśmy głową w kredens oboje. Kasia spojrzała na mnie i powiedziała:

– Dedze nem żełte pepeere.

Skinąłem:

– Boz wotpoonoo…

Telemarketerka zrozumiała, że nie ma sensu tracić czasu, wyraziła zdziwienie, że pielęgniarki łączą rozmowy do pacjentów, i powiedziała, że

zadzwoni później. Może.

Pewnie dla kolejnych telemarketerów wpisała uwagę: NIE DZWONIĆ. IDIOCI!

Na tym niestety nie koniec. Kiedy Kasia próbowała kupić bilety komunikacji miejskiej, powiedziała pomimo wielkiego skupienia:

– Proszę dwa bilete ze dwe czterdzeeścee.

Po prostu kiedy pojawiło się pierwsze e, była załatwiona. Zaczęła płakać.

– Jesne chelere, je see tege nie pezbede, bede łekeć psechefermeke kelegrememe.

– Bilety za dwa czterdzieści – poprawiłem żonę i wyjaśniłem, choć nie powinienem był tego robić: – Ono jo trocho szornooto.

Pani w kiosku rzuciła nam bilety, ale nie sięgnęła po pieniądze, dopóki się nie oddaliliśmy.

Do celu naszej podróży prawie nie dotarliśmy, bo nie mogliśmy znaleźć adresu, a Kasia zagadnęła przypadkowego przechodnia:

– Przepreszem, cze meże nem pen pemec…? – po czym obróciła oczy w słup, spojrzała na mnie i powiedziała, jeszcze przy tym człowieku: – Mem cee w depee, jedeme de deme, te rebeeme z seebe edeetew, e te przez ceebee!

Zatem, jak mówię, najpierw wygląda to zabawnie, ale mści się na człowieku bezlitośnie.

Na zakończenie chciałbym podziękować naszemu panu psychiatrze za to, że umożliwił mi korzystanie ze szpitalnego komputera.

A dzisiejszym zwycięzcą jest antyperspirant. Rano, jeszcze zanim zdążyłem się wysikać, skoczyła mi na brzuch córka. Potem postanowiła umyć mi zęby, ale miałem zakaz płukania ust, więc śliniłem się jak niemowlę. Przed

południem wlałem w siebie szklankę oleju zamiast rozpuszczonego leku, a potem nie za każdym razem zdążyłem do toalety. Przy obiedzie żona pokazała mi spleśniałą śmietanę – po tym, jak część tej śmietany zjadłem z sałatą. Zatem dziś: popuściłem, pośliniłem się, nie dobiegłem i zwymiotowałem, ale nie spociłem się ani razu.

Malowanie

Malowanie farbami wodnymi. Z jakiegoś powodu dzieci w wieku przedszkolnym to uwielbiają. Ja nienawidziłem tego już jako dziecko.

Wiki i Kasia zawołały mnie, więc musiałem do nich dołączyć, chociaż nie potrafię narysować nawet pól do gry w klasy. Żona wcisnęła mi do ręki pędzel, a ja wykonałem kilka artystycznych pociągnięć.

– O, Wiki, patrz, tata maluje psa. To będzie sznaucer – próbowała zainteresować malowaniem naszą córkę, którą bardziej ciekawiło mieszanie wszystkich farb razem.

– Niedźwiedź – odparłem. Kasia przyjrzała się uważniej.

– Aha – powiedziała. – Przykro mi.

Malowaliśmy kilka minut, aż wreszcie nie wytrzymałem:

– Ty to pijesz? – zapytałem zdziwiony.

– Co? – spytała Kasia, równie zdziwiona. – Swoją kawę?

– Aha. Pytam, bo ja maczam w niej pędzel.

Moja ukochana małżonka wybiegła do kuchni. Wylać kawę. A potem do łazienki, żeby wypłukać usta i wyczyścić kolorowe ząbki. Kiedy wróciła, namoczyła pędzel i jednym pociągnięciem zrobiła ze mnie Hitlera. Ona naprawdę ma talent. Następnie dwoma ruchami dodała jeszcze brwi gdzieś wysoko na czole, więc wyglądałem jak bardzo zaskoczony Hitler.

Po chwili spytałem:

– Malujesz przełyk?

– To jest marchewka – odcięła się. A pod obrazkiem namalowała pomarańczową kreskę. – A wiesz, co to jest?

– Skórka marchewki?

– Nie.

– Dżdżownica, która przedawkowała beta-karoten?

Rzuciła mi długie spojrzenie. Potem westchnęła.

– Tak.

Nieźle, zgadłem już za drugim razem.

Potem spojrzała na mnie i spytała, dlaczego obok niedźwiedzia stoi tyle doniczek.

– To jest palma – wyjaśniłem. W okolicy moja żona rozpozna każdy chwast, ale na egzotycznych roślinach najwyraźniej się nie zna.

– Musisz namalować bałwana – powiedziała Wiki. – Wszyscy go malowali. Nawet babcia.

Już chciałem namoczyć pędzel, choć malowanie bałwanów obok niedźwiedzi pod palmą wydawało mi się idiotyczne.

– Nie – powstrzymała mnie Wiki. – Musisz innym kololem. Wszyscy malują innym kololem.

Mnie przypadł kolor czerwony. Czerwone bałwany. W sumie – dlaczego nie? Stoją obok palm, zapewne spiekły się na słońcu. Głupole. Powinny się nasmarować.

– To jest bałwan? – zainteresowała się Kasia.

– A co? – spytałem i zasłoniłem górną wargę, żeby nie wycięła mi na twarzy Salvadora Dalego.

– No… Wygląda jak menhir.

– A ty co malujesz? – odparłem.

– Żółwia.

– A, żółwia. Czyli to ma być skorupa. Aha. Tak się właśnie zastanawiałem, kto by chciał zabijać kota bułką z serem.

Kilka błyskawicznych mistrzowskich pociągnięć, a ja miałem na twarzy ospę. A mówiło się, że ten wirus został już pokonany.

Wiki malowała dużą, brązowo-czarną górę z zieloną czapeczką.

Czyli znów gówno pod listkiem.

Przygotowuję kolację. Z pokoju słyszę:

– Wiki, ty w ogóle nie pijesz, idź do taty, naleje ci herbatę.

Po chwili przyczłapała Wiki, jak skazaniec, z pochyloną głową, i bez słowa podała mi swój pusty kubeczek. Nalałem jej herbaty.

– …kuję bardzo – miauknęła i wyszła. Po drodze siorbała napój.

Nie minęło nawet pięć minut, a już była z powrotem.

– Jeszcze – podskakiwała zachwycona.

– Wow, wypite? Tak szybko? Nieźle, mama musiała się ucieszyć! Świetnie sobie poradziłaś!

– To plawda – oświadczyła Wiki i wypięła się dumnie.

Nalałem kolejny kubeczek, wzięła go i wytańczyła z kuchni.

Po chwili żona przeszła obok mnie do łazienki. Była cała mokra od herbaty i mruczała coś o dziecku, które zaraz zapakuje do pudła i wyśle bez adresu zwrotnego.

Tak sobie myślę… Jakoś nagle przestałem się bać o to, jak nasza córka poradzi sobie w szkole. Zdaje się, że potrafi utrzymać wysoką samoocenę nawet pomimo kiepskich wyników. Ale jak znam życie, nauczyciele i tak będą marudzić.

Pewnie tak samo, jak dziś moja żona pod prysznicem.

Ostrzeżenie!
Czytanie na własną odpowiedzialność!

Uwaga! Ostrzegam, że poniższy tekst nie jest odpowiedni dla dzieci i młodzieży, a także osób dorosłych stanu wolnego lub bezdzietnych. A nawet doświadczonym rodzicom zrobi się przy nim niedobrze, choć opisywane sprawy dobrze znają. Właściwie nie powinien tego tekstu czytać nikt, a napisałem go wyłącznie w celu odreagowania stresu. Zatem – przepraszam.

Kiedy zostaje się rodzicem, już nigdy nie jest się tym samym człowiekiem co wcześniej. Nigdy. Nigdzie. Nawet w tym najintymniejszym pomieszczeniu przy tej najintymniejszej czynności. Wreszcie siadam na toaletę, myśląc: *Mam kilka minut dla siebie, mała ogląda bajki, będzie spokój…* I proszę, kogo diabli niosą? Trzyletnią córkę krzyczącą, że ona też musi! I tak jest prawie zawsze. Każdy rodzic nienawidzi tego całym sobą. Oczywiście córka nie przybiega na początku, kiedy wszystko da się jeszcze zatrzymać. Dzieci wyczekują na moment, kiedy to już dosłownie wisi, nie da się tego przerwać, i rozwalają nam cały biorytm. Wcisnąłem jej nocnik. Ale oczywiście nie zaniosła go sobie do pokoju na bajki. Jeśli chodzi o mnie, mogłaby zasikać nawet cały pokój – ja chcę mieć swoje kilka minut. Zależy mi na tym. I nie mogę z tym czekać. Ale gdzieee tam. *To* nagle staje się bardzo społeczne. *To* nie chce być samo. *To* chce się wszystkim dzielić i robi się nagle bardzo towarzyskie! Siada wygodnie na

nocniczku – i myślicie, że wysika się, podetrze, umyje łapki i zmyka? Gdzieee tam. *To* zaczyna spokojnie robić kupkę.

No dobrze, przyznaję, ja też nie produkuję na toalecie perfum Chanel nr 5, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co potrafi zrobić trzyletnie dziecko. To prawdziwe szaleństwo. Mały nocniczek już oczywiście nie wystarcza, korzystamy z niego tylko w ostateczności, a po skończonej robocie wygląda jak kontener osiedlowy. Totalnie przekarmiony. No i ten smród! Wanna i umywalka natychmiast zatkały sobie odpływy korkami. Szczoteczkom do zębów wypadło włosie. A pralce bęben podszedł do gardła. Co teraz? Mnie zdecydowanie nie chciało się wstawać, ale przecież nie będę tego przeciskać przez kratkę odpływową w podłodze. I ten mały brzdąc to wie. Pozwala się podetrzeć, staje nad tym prezentem i z premedytacją pyta:

– Co z tym zrobisz?

– Przynieś mi śliniak, sztućce i przyglądaj się, ty arbuzie! – chce się wam w takich chwilach krzyknąć.

Co niby miałbym z tym zrobić?! Można tylko patrzeć i trenować umiejętności łowców pereł. Naprawdę prędzej się uduszę, niż zaczerpnę powietrza.

– Muszę jeszcze.

No jasne. Myśleliście, że wypróżni się na jedno posiedzenie? Gdzieee tam. *To* pracuje w systemie zmianowym. Booożeee! Pozwala sobie spokojnie wytrzeć pupkę i zasiada na drugą rundę. A do tego znów to pełne wyrzutu spojrzenie, że nie puszczam jej na główny tron. Potem westchnienie i opadnięcie na nocnik.

Ale natychmiast się podrywa.

– To mnie kłuje!

Jakżeby inaczej! Ona przecież nie zrobi tam: – Ona robi stojącą, wysoką, idealną dla nadajników sieci komórkowych wieżę widokową.

Z czubkiem. Nigdy nie rozumiałem, jak to możliwe, że to tak stoi, czasem podejrzewałem, że musi mieć nogi. Ale nie miałem odwagi ani żołądka, żeby to sprawdzić.

Gdyby tak zwinęła swój kabel w O albo rzuciła leżące J. Właściwie mogłaby tam napisać nawet FŃ lub Rechtsschutzversicherungsgesellschaften, byle to nie był taki głaz!

Musiałem wstać. Wasze interesy schodzą na bok, nieważne, nad jakim projektem właśnie pracujecie i czy jesteście dopiero w połowie. JĄ TO KŁUJE! I nie może się wykupkać, bo wszystko, co wyciśnie, ten głaz wpycha z powrotem.

Bądźmy szczerzy: jesteście nieszczęśliwymi, biednymi, zatkanymi rodzicami, którzy nie mają szans na wykonanie nawet tych najbardziej podstawowych funkcji życiowych. Jeśli więc jako rodzice przybieracie na wadze, to nie jest tłuszcz. To gówna. Których nie macie szansy z siebie wyrzucić. Zrobić im *papa*. Dzieci wam na to nie pozwalają.

Wiecie, o czym mówię?

Kiedyś pęknę.

Mam nadzieję, że to będzie akurat na jej ślubie.

Jak dinozaury szły na obiad

Rano w przedszkolu dzieci zbiegły się do laptopa. Pani przedszkolanka nie potrafiła czegoś zainstalować, więc wszyscy chcieli jej pomóc. A tak naprawdę po prostu się wygłupiali, jak to dzieci. Jedno testowało ping

i sprawdzało pakiety, drugie kontrolowało spyware i włączało bitcoin minning, jeszcze kolejne próbowały włamać się do innych sieci wi-fi, dobrać się do procesora i trochę go podkręcić – no, po prostu dzisiejsze dzieci… Wiki stała i nie rozumiała, że ich to bawi, skoro nie ma tam nawet SSD. Ale nie powiedziała nic, bo jest dobrze wychowana i wie, że niełądnie jest śmiać się z kogoś, kto ma zardzewiały złom.

Po południu było tak jak zawsze: Wiki uciekła do sali zabaw i próbowała schować się w skrzyni, żeby móc spędzić w przedszkolu cały weekend i nie musieć wracać do domu. Było tam jeszcze kilkoro dzieci, więc zdecydowaliśmy się na kompromis i zaczęliśmy się bawić. Wiki miała wyciągnięte dinozaury i chciała wiedzieć, jak się nazywają. Niektóre miały to napisane na brzuchu, chyba to był taki dinozaurowy tatuaż. Nazwy były straszliwe: Carcharodontosaur, Micropachycephalosaur i Eustreptospondyl. Powiem wprost: jeśli mi urodziłoby się coś z takim imieniem, wolałbym się utopić, niż męczyć się przez całe życie. Trzy nazywały się Made in China, choć w ogóle nie były do siebie podobne. Pewnie trzyjajowe trojaczki. One spodobały się Wiki najbardziej, bo potrafiła to wymówić.

Najpierw bawiliśmy się, że Carcharodontosaur, Micropachycephalosaur, Eustreptospondyl, Sinocalliopteryks, Macrodontophion, Notohypsilophodon, Ichthyovenator, Brachytrachelopan, Archaeornithomim, Made in China, Made in China i Made in China idą na obiad. Okazało się, że wołanie ich po imieniu na posiłek to idiotyzm, bo zanim się skończy, jedzenie wystygnie. I zgnije. Jeszcze z pięćset dinozaurów, i może nawet skamienieje.

Do obiadu dinozaury potrzebują naprawdę dużego stołu. Całkiem nieźle sprawdza się w tej roli Europa lub jakiś inny kontynent. Te nasze były w pomniejszeniu, więc wystarczył im stolik dla lalek. Lalki w tym czasie stały w kącie, trzęsły się ze strachu i przysięgały, że już nigdy nie będą

organizować swoich herbatek, a stolik z przyjemnością oddadzą na zawsze. Wiki próbowała napoić Made in China. A może to był Made in China? Czasem trudno się połapać. Potem dinozaur musiał siusiu. Minimalnie sześć razy. W tej buteleczce ze smoczkiem musiała być jakaś woda ze źródeł leczniczych.

A jeśli kiedyś odwiedzicie Półwysep Koreański i spojrzycie w stronę Chin, możecie wszystkim opowiadać, że już wiecie, jak powstało Morze Żółte. Nasikał tam Made in China pojony wodą źródlaną, biedaczek.

Na obiad były bułeczki. Mnóstwo bułeczek. Karmiliśmy zwierzęta przy pomocy buldożerów, a Carcharodontosaur, Micropachycephalosaur, Eustreptospondyl, Sinocalliopteryks, Macrodontophion, Notohypsilophodon, Ichthyovenator, Brachytrachelopan, Archaeornithomim, Made in China, Made in China i Made in China jedli, jakby nie mieli dna.

Potem oczywiście nadszedł czas na kupkę. W przedszkolu wypróżnianie traktuje się śmiertelnie poważnie. Ale jedynie w przypadku zabawek – dzieci tylko wpadają za próg toalety, załatwiają się szybko, często nawet nie trafiają do muszli, nie spłukują wody, nie myją rąk i od razu pędzą znów się bawić. Zrobiliśmy trzy szalety publiczne. Jedne dinozaury wypróżniały się w miejscu o nazwie Jeseniki, inne na terenie zwanym Karkonosze, a trzecia grupa z największymi osobnikami załatwiała swoje potrzeby w Himalajach. Gdybym był alpinistą, omijałbym te miejsca. Albo przynajmniej wkładałbym rękawice.

Potem jeszcze Carcharodontosaur, Micropachycephalosaur, Eustreptospondyl, Sinocalliopteryks, Macrodontophion, Notohypsilophodon, Ichthyovenator, Brachytrachelopan, Archaeornithomim, Made in China, Made in China i Made in China wybrali się w odwiedziny do Futalognkosaura, Saurornitholestesa, Araucanoraptora

i Qianzhousaurusa. A zanim się sobie nawzajem przedstawili – wyginęli. Mimo to Wiki nie chciała iść do domu. Musieliśmy jej pogrozić, że jeśli się nie przebierze, też może wyginąć. Ale to był tylko taki żart, żeby jakoś ją przygotować na to, że mogłaby obudzić się w warstwie menilitowej.

Dzwoniłem do klienta, żeby powiedzieć, że się spóźnię, bo stoję w korku. Zdziwił się, że w niedzielę wieczorem jest taki ruch. No dobrze, to była głupia wymówka, ale i tak lepsza niż prawda: że nie mam butów, bo jeden zmienił się w auto, którym podróżuje lalka, kózka i kaczuszka, a drugi jest ich domkiem. A trzyletnia córka po prostu nie da ich sobie zabrać.

Jeśli doliczę do tego popołudniowe zawłaszczenie mikrofonu, kiedy na chwilkę wybiegłem podczas konferencji internetowej, a Wiki zaczęła robić do niego: tu-tu-tu, przez co wszyscy się rozłączyli, bo myśleli, że to sygnał „zajęte" i że to mnie rozłączyło, jestem pewien, że wkrótce będziemy musieli zacząć zaciskać pasa.

Żona przysłała mi SMS-a, że jest zimno i że mam włożyć małej szalik. Posłuchałem. Ale mam wrażenie, że przy myciu i śniadaniu trochę jej przeszkadzał.

Kuchenka typu „Ognisko na mamuty"

Teściowej zepsuła się kuchenka, więc pomagam jej kupić nową. Mówiła, że chciałaby taką samą, ale musiałem z żalem poinformować ją, że kuchenek

typu „Ognisko na mamuty" już się nie produkuje. Może dałoby się ją naprawić, ale nie mogę zagwarantować, że kamienie z marketu będą kompatybilne z kręgiem przed jej jaskinią. Poza tym niełatwo będzie zdobyć ośmiometrowy rożen, bo dziś wykorzystywane są one jako tory. Niestety przez moją bezinteresowną chęć pomocy teściowa przeciągnęła mnie po całym mieście. W dodatku w centrum wyrwała szynę tramwajową i prawie mnie nią walnęła. Tłumaczyłem, że musi wybrać między płytą indukcyjną, starszą płytą ceramiczną i stareńką kuchenką palnikową – nagrodzoną odznaczeniem Bohater Pracy Socjalistycznej. Wybierze chyba ceramiczną, bo zasad indukcyjnej nie zrozumiała. Ale kto je rozumie?

Teraz trzeba tylko pozbyć się starej kuchenki. Ośmioma tonami popiołu jest zainteresowane krematorium. Podobno taka ilość wystarczy im na kilka lat, nawet jeśli przez cały ten czas nikt by nie umarł. Kryzys jest we wszystkich branżach, a ludzi umiera teraz dużo mniej niż kiedyś. Kto może dziś sobie pozwolić na śmierć, prawda? Szczególnie po tym, jak zaczęło się od niej płacić 23% VAT-u. A w Stonehenge mówili, że zniknęło im kilka kamieni, a potem bardzo się dziwili, że kamienie mojej teściowej są łudząco do tych brakujących podobne.

Wyjaśniłem też teściowej, że nowe kuchenki nie mają tak dużych piekarników i że te trzy mamuty z zamrażalki będzie musiała przekazać jakiejś organizacji archeologicznej. Te, które sama upolowała. Spojrzała na mnie, jakby zastanawiała się, czym to zwolnione miejsce w zamrażalce zapełnić.

Młode małżeństwo z dzieckiem

W McDonald's stało przede mną troje dzieci: piętnastoletni chłopiec i dziewczyny w wieku czternastu i dziewięciu lat. Kłócili się, co sobie kupić. Kasjerka spytała mnie, czy może przyjąć zamówienie, ale powiedziałem, że to młode małżeństwo z dzieckiem jest przede mną. Dzieci rozejrzały się, ale nie widziały nikogo odpowiadającego mojemu opisowi. Oprócz nich samych. W końcu zrozumiały. Zaczęły się śmiać, chłopak walił ręką w kolana, starsza dziewczyna trzymała się za brzuch, a młodsza po prostu padła na ziemię i zaczęła się tarzać. Potem starszej dziewczynie udało się z siebie wyrzucić, że są rodzeństwem. Wskazała na chłopaka:

– To mój brat.

Powiedziałem, że to chyba nie jest legalne, ale że nic mi do tego. Dusili się ze śmiechu przez kolejne dwie minuty, a kasjerka była dość skonsternowana, bo nie wiedziała, o co chodzi.

Wreszcie chłopak zaczerpnął powietrza i wskazując na młodszą dziewczynę, powiedział:

– To jest nasza siostra, nie córka.

Wyraziłem zachwyt nad cudami współczesnej medycyny. Mnie nigdy nie urodziła się siostra. Tylko córka. Ach ci Japończycy, ach ta technika. Skoro zaszliśmy już tak daleko, według mnie każda rodzina powinna najpierw urodzić sobie babcię. No wiecie, do pilnowania dzieci.

Ja teraz chciałbym, żebyśmy urodzili sobie elektryka, bo szukamy od dawna, ale żona jakoś odmawia rodzenia czegokolwiek, co miałoby przyjść na świat ze śrubokrętem w dłoni. Chociaż poród mógłby być

bezproblemowy. Wystarczyłoby, że dziecko wyłączy korki i włączy je dopiero po wszystkim. Dzięki temu żona niczego by nie czuła.

Nie wiem, co w końcu zamówiła sobie ta rodzinka. Leżeli na podłodze, kiedy odchodziłem od kasy ze swoim obiadem. Musiałem przejść nad nimi.

Wysłałem pieniądze swojemu operatorowi. W miejscu na uwagi wpisałem: „Pieniądze na jedzenie, kup sobie za to coś zdrowego". I poczułem przy tym pewną radość.

Jestem zaklęty

Jestem zaklęty. Wiki biega z czarodziejską różdżką. Przemieniła mnie w czajnik elektryczny. Mama jest tygrysem. To nie fair. Przed chwilą przyszedł tygrys i zmusił mnie do wejścia na paczkę próżniowo pakowanej kawy Douwe Egberts. Twierdził, że chce wstawić wodę na kawę. Musiałem nawet bulgotać i wypuszczać parę! A na końcu pstryknąć.

Tygrys z czarodziejką przynieśli dwie filiżanki i zaczęli ze mnie nalewać. Ja nie dostanę nic, bo podobno czajniki nie piją. Musiałem się ciągle pochylać, bo gorąca woda leciała mi z głowy.

Następnie zostałem przeczarowany na pomarańczę. Mama zmieniła się w dywan. Nie byłem wystarczająco czujny, gdy dywan zaszedł mnie od tyłu, wbił mi w plecy wyciskarkę do soku z okrzykiem: – Będzie soczek! – i zaczął mną kręcić. Bolało to tak, że chyba naprawdę puściłem jakieś soki. A może nawet wyrwały ze mnie kawałek miąższu. I mogę przysiąc, że wszystko było *100% nature*. Potem mama nie wywinęła się, kiedy

stwierdziłem, że trzeba wytrzepać dywan. Dywan wrzeszczał, uciekł do łazienki i próbował nas nabrać, że siedzi na toalecie. Ale my bardzo dobrze wiedzieliśmy, że dywany nie robią kupek. Bywa raczej odwrotnie: kupki robi się na dywan. Nie tylko wytrzepaliśmy go dwiema łyżkami do gotowania, ale jeszcze udało się nam go zwinąć. Tylko na chwilę – żona zawinięta w koce zaczęła się dusić. Kiedy rozwinąłem Kasię, czarodziejka zmieniła mnie w lampkę. Mama była „czary mary parasol!". Próbowałem ten parasol rozłożyć, ale nie udało się, żona panicznie zaciskała nogi i krzyczała, że pamięta, jak to się skończyło ostatnim razem – przy czym wskazywała na Wiki. Tak długo przekonywaliśmy ją, że pada deszcz, aż parasol się nad nami zlitował i przykrył nas. No… mi wystawało spod niego wszystko. Gdyby żona naprawdę była parasolem, miałbym suchy tylko mały pasek na plecach, ale Wiki znalazła na to sposób. Skuliła się w kłębek, a mama zakryła ją calutką. Trochę ją też sprasowała, więc córka na chwilę zmieniła się w wycieraczkę, ale szybko nadmuchałem ją do pierwotnych rozmiarów. Za co parasol lampkę kopnął. Potem Kasia i Wiki bawiły się, włączając i wyłączając lampkę tak długo, aż strzeliła mi żarówka. Stwierdziły, że trzeba ją wymienić, i próbowały urwać mi głowę. Kiedy skończyły, chciały mnie jeszcze wcisnąć do kontaktu. Prawie się im to udało i rzeczywiście przez chwilę świeciłem. Tych włosów już nie doczeszę, będę musiał teraz robić za Einsteina.

Od tamtej chwili czary są zakazane, a Wiki zarekwirowano różdżkę, ponieważ nie robi się lampek z taty. Pomarańczy też nie. A czajnika to już na pewno nie. W domu czyha mnóstwo niebezpiecznych rzeczy. Jak na przykład wyciskarka do soku albo kawa w opakowaniu próżniowym.

Teraz już wiecie, skąd się wzięli państwo Dursley, opiekunowie Harry'ego Pottera. Być może mieli dobry powód, by nie cierpieć czarów.

Dziesięciu małych Murzynków

Kiedy trzyletnie dziecko podłapie jakąś piosenkę, męczy ją na okrągło. W nieskończoność. Do szaleństwa. Dopóki nie odejdziecie od zmysłów.

Wiki odkryła piosenkę *Dziesięciu małych Murzynków.*

Być może znacie tę uroczą wyliczankę o małych Murzynkach, w której po kolei każdy Murzynek ginie jakąś koszmarną śmiercią. W ramach psychicznej samoobrony zmieniłem poszczególne zwrotki, żeby trochę zmylić córkę i żeby zapomniała, jak to leciało. Oto niektóre przeróbki:

Dziesięciu małych Murzynków w piwnicy chciało posiedzieć.
Jednego zamurowali, zostało ich dziewięć.
Dziewięciu małych Murzynków sikało na lodzie.
Jednemu z nich przymarzł i zostało osiem.
Ośmiu małych Murzynków jechało wielocypedem.
Jeden spadł na zakręcie i zostało siedem.
Siedmiu małych Murzynków bardzo chciało coś zjeść.
Jeden z nich zjadł sam siebie i zostało sześć.
Sześciu małych Murzynków pozowało do zdjęć.
Jednego oślepił błysk i zostało pięć.
Pięciu małych Murzynków pisało litery.
Jeden się w nich pomylił i zostały cztery.
Czterech małych Murzynków dostało nagle wszy.
Jednego woleli spalić, są już tylko trzy.
Trzech małych Murzynków nie zapłaciło cła.

Jednego z nich sprzedali, więc zostały dwa.
Dwóch małych Murzynków odkryło wspólnie eden.
Kłóciły się, kto był pierwszy, aż w końcu został jeden.
Jeden mały Murzynek poszedł wcisnąć reset.
Potem rozejrzał się wokół i znów ich było dziesięć.

Żona oświadczyła, że w najbliższych tygodniach między ludzi będę chodzić z córką tylko ja.

O spaniu dzieci z rodzicami

Spanie dzieci z rodzicami może mieć niepożądane konsekwencje, jeśli potem dziecko nie chce spać w swoim łóżeczku. My na szczęście nigdy nie mieliśmy takiego problemu, my mamy problem, żeby córka w ogóle spała. Chociaż czasami. Małe dziecko śpi średnio około 10-12 godzin. I Wiki śpi 10-12 godzin. Tyle że tygodniowo. Dotychczas spała z nami tylko w przypadku poważniejszych chorób, a i tak przez większość nocy czuwaliśmy wtedy razem z nią.

Tym razem po prostu weszła między nas i oświadczyła, że będzie spać tutaj. No, dlaczego nie, pomyślałem. Przecież raz może się z nami przespać. I była to decyzja, której żałowałem każdej godziny tej nocy. Myślałem, że najgorzej będzie, zanim zaśnie, bo zazwyczaj potrzebuje na to minimalnie trzech godzin. Nieważne, czy położy się ją o wpół do ósmej po dobranocce, czy pozwoli się jej rojbrować do dwudziestej trzeciej – swoje trzy godziny zawsze sumiennie odpracowuje.

Ale w końcu zasnęła. Bogu dzięki. To, że ułożyła się w poprzek łóżka z wyciągniętymi rękami, a mnie i żonę zepchnęła na krawędzie tak, że żonie zwisała z łóżka pierś i pośladek, a ja musiałem zmieścić się na stoliku nocnym – to była najmniejsza niedogodność. Położyłem głowę na telefonie komórkowym, przykryłem się chusteczką higieniczną, bo koce też zaanektowała Wiki, i zacząłem spokojnie usypiać.

Wprawdzie wiem, że małe dzieci strasznie się wiercą, lecz kiedy robią to w swoim łóżeczku, nie zwraca się na to zbyt dużej uwagi. Nagle „ŚWIST!" i coś wybiło mi oko. W oczodole miałem odbitą dziecięcą stópkę. Okiem, które mi zostało, mrugnąłem zaskoczony, i postanowiłem nie reagować. Po minucie kolejny obrót i „BUM!". Wiki jednym ciosem wbiła mi tchawicę w kręgosłup. Zacząłem się dusić. Jej nóżka usadowiła się na mojej szyi, tylko przeszkadzał jej tam ten garb – więc zostałem odgarbowany.

Jedną rękę dałem za głowę, a drugą postanowiłem na wszelki wypadek chronić szyję. Ale już mnie nie kopnęła. Gdzie tam. Jej noga przez sen zawędrowała na moją twarz, nagle ruszyła się gwałtownie – i paluch wskoczył mi do dziurki w nosie! Dyszałem dzięki tej drugiej, która musiała dawać z siebie 200%, bo gdybym w naszym pięknym mieście zaczął oddychać ustami, obudziłbym się z buzią pełną kurzu. Nie mogłem znaleźć w sobie siły, by się odkorkować, ale Wiki zaczęła mi w tym nosie grzebać! Najwyraźniej zdawało jej się, że noga gdzieś się zaklinowała, i próbowała ją uwolnić. Oczywiście nie wiedziała, że wdepnęła w moją twarz, po prostu chciała to coś z siebie strzepnąć. Prawie oderwała mi nos. Musiałem zatkać tę drożną dziurkę, a potem wydmuchać palec.

Po chwili snu zaczęła się jedna z najstraszniejszych rzeczy. Zgrzyt ząbków. To najstraszliwszy dźwięk, jaki znam. Słyszałem już zgrzytanie zębami przez sen, ale to było nic w porównaniu z tymi drobnymi

dziecięcymi mleczakami, brzmiącymi, jakby ktoś rozgryzał korale. Ten dźwięk prawie urwał mi szczęki. Musiałem zatkać uszy i nucić coś pod nosem.

A potem wydarzyło się *to.* Puściła bąka. Ja nie mam na temat dziecięcych bąków żadnych złudzeń. Byłem akurat na początku wdechu, ale natychmiast go przerwałem i postanowiłem wytrzymać czterdzieści sekund. Albo umrzeć. Bo śmierć jest miłosierniejsza. Boże, ten wybuch musiał z niej zerwać piżamę. Dziwię się, że nie obleciała sześć razy sypialni. Dzieci, które śpią, zmieniają się w świeżo napełnioną butlę z propanem-butanem. Te gazy muszą odkładać się również w głowie, a kiedy potem wychodzą, efekt jest porównywalny z przekłuciem kilkutygodniowych krowich zwłok.

Delikatnie nabrałem powietrza. To był błąd! Ostrzeżeniem powinien być pająk, który spadł z sufitu. I martwa pajęczyna lecąca tuż za nim. Czułem się, jakby po zderzeniu z autem rozwożącym biogaz moja głowa wbiła się w cysternę: było ciemno, ale mieniło mi się w oczach. Widziałem swoją prababcię i mnóstwo innych już nieżyjących osób. Możliwe, że wielu z nich jeszcze przed chwilą żyło.

Nie wiem. Naprawdę nie wiem, jak przeczekam tę noc.

BACH!

Dostałem cios w brzuch. Trochę mnie przytkało.

Miałem szczęście. Gdyby trafiła trochę niżej, zostałaby na zawsze jedynaczką.

Straż zamkowa

Wdrapujemy się do bramy zamkowej. Rozmawiam z trzyletnią córką, żona została kilka metrów za nami.

– Wiki, wiesz, że straż zamkowa nie może się ruszać? Musi przez cały czas stać na baczność.

– Tak? – zdziwiła się.

– Tak, sama zobaczysz. Może pożyczą ci karabin.

Właściwie nie wiem, co mi strzeliło do głowy, po prostu tak paplałem, byłem już zmęczony, a w nocy niezbyt się wyspaliśmy.

– Naprawdę? – powiedziała jeszcze bardziej zaciekawiona Wiki.

– Naprawdę – sapnąłem. – Mają też ładne paski, a ty lubisz paski, prawda? Mój zawsze zabierasz.

– To prawda! – potwierdziła Wiki dumnie.

– Jeśli uda ci się rozpiąć go strażnikowi, będziesz mogła go sobie przymierzyć.

– Hehe – podskoczyła Wiki i przyśpieszyła kroku.

– A jak wdrapiesz się po strażniku na jego czubek, może nawet będziesz mogła przymierzyć tę wielką czapę. Jest wspaniała, skórzana.

– To chodź już, chodź! – zaczynała mnie poganiać.

– A w prawej kieszeni straż zamkowa podobno nosi cukierki.

Więcej nie udało mi się wymyślić. Z tyłu napadli na mnie ninje. Podczas nawałnicy uderzeń nadchodzących ze wszystkich stron, słyszałem:

– Ty naprawdę zwariowałeś! Robisz to specjalnie! To dlatego ja przez większość czasu muszę udawać wolną i bezdzietną? Ty to dziecko

normalnie programujesz!

Potem wzięła Wiki na ręce. Obok straży zamkowej przemknęliśmy bez problemów, bo żona trzymała Wiki za ręce i nogi. Wpuścili nas z rzucającym się dzieckiem krzyczącym:

– Ja cę czapę i kalabin i pasek i cukielki!

Potem Wiki zdążyła jeszcze jęknąć:

– On mlugnął!

– No jasne, że mrugnął, przecież to człowiek… – obróciła się żona do mnie – a nie bestia taka jak tata.

Ten epizodzik miał swoją kontynuację, gdy wchodziłem do ogrodu zamkowego. Za mną rozległo się głośne tupanie. Szedłem powoli, szukałem czegoś w telefonie, i odwróciłem się, żeby sprawdzić, co za kobiety mają obcasy jak stado podkutych bawołów. A tu tuż za mną – straż zamkowa! Prawie padłem! Najpierw pomyślałem, że mnie słyszeli i zamkną mnie w wieży. Ale potem się opanowałem i odskoczyłem. Na szczęście była to tylko zmiana warty.

– Mamo, dlaczego tata jest taki biały? – spytała Wiki, ponieważ jeszcze się trząsłem.

– Bo ma nieczyste sumienie – odpowiedziała córce matka, podśmiewując się.

No cóż, tym razem się nie udało, ale Wiki wciąż marzy o spotkaniu ze strażą zamkową. Powiedziałem jej, żeby poprosiła babcię, na pewno z nią tu kiedyś przyjdzie.

A ja muszę naszykować aparat.

Z głową w piekarniku

Czego się nie zrobi, żeby dziecko usnęło? Byłem w kuchni i zamierzałem przeczytać jeden artykuł, ale nie chciałem włączać lampy, żeby nie rozbudzać małej, kiedy akurat usypia. Przez dwoje zamkniętych drzwi i tak raczej by się to nie stało, ale jest to jeden z efektów rodzicielskiej paranoi, która rozwija się już w czasie pierwszego półrocza przeżywanego z dzieckiem.

Światła nad meblami kuchennymi mamy akurat odłączone, więc co teraz? Przyszło mi do głowy rozwiązanie i włączyłem lampkę w piekarniku. Do niedawna nie wiedziałem, że piekarniki mają specjalny program tylko do włączania żarówki. Na pewno właśnie na przypadki takie jak ten, bo po cóż innego? Kto zaglądałby do pustego, zimnego piekarnika? Ułożyłem sobie w piekarniku gazetę, uklęknąłem i pogrążyłem się w lekturze. Owszem, czułem się idiotycznie, ale było mi to obojętne. Nikt mnie nie widział, więc czym miałbym się przejmować?

Skrzypnęły drzwi. Weszła żona, styrana, nieprzytomna, niewyspana i powiedziała:

– Nareszcie śpi.

Potem zatrzymała się, spojrzała na mnie, jak klęczę z głową w piekarniku, gazety nie widziała. Myślicie, że spytała: – Pieczesz coś? – albo – Coś tam naprawiasz?, czy choćby: – Dlaczego masz głowę w piekarniku?

Nie. Ona stała bez słowa, a kiedy wreszcie przemówiła, spytała:

– Wiesz, że ta kuchenka jest elektryczna?

Nie brzmiało to nawet jak pytanie, to było po prostu stwierdzenie. Po czym machnęła ręką, podeszła do mnie, syknęła: – Nieważne, posuń się – uklękła obok i też włożyła głowę do środka. To się nazywa jedność rodzicielska.

Żonie tak się kleiły oczy, że trochę się tam zdrzemnęła, a ja czytałem.

Nagle przerwała mi pytaniem:

– A na co to jest dobre?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, znów skrzypnęły drzwi, a w nich stała Wiki, rozbawiona, jakby właśnie wróciła z placu zabaw.

– Nie śpi – westchnęliśmy unisono.

– Co lobicie? – zdziwiła się na widok rodziców z głowami w piekarniku. I dokładnie tak samo jak matka: – Ja też ce! – podbiegła i starała się wcisnąć między nas, żeby nic jej nie ominęło.

Wiecie, gdyby wtedy ktoś wszedł… To jest jedna z tych rzeczy, których nie dałoby się racjonalnie wyjaśnić. Ja sam nie wiem, dlaczego cała nasza rodzina miała głowy w piekarniku, wysoki sądzie. Po prostu tak jakoś wyszło.

Ale w głowie zapisałem sobie dwie uwagi.

Muszę podłączyć światło nad meblami.

I doprowadzić gaz.

Jak zszedłem

– Tato, zejdź z dlogi, pociąg jedzie! – krzyczała trzyletnia Wiki. – Zejdź. Uwaga, wszyscy z dlogi, jedzie pociąg!

– Ja już zszedłem.

Wiki przejechała pociągiem, weszła na stolik i zaczęła po nim skakać.

– Wiki, nie skacz po tym stoliku, wiesz, że ma ruchomy blat, a jeśli skoczysz na skraj, otworzy się, a ty spadniesz. Tak jak zawsze.

– Nie spadnę – odkrzyknęła Wiki między skokami.

– Wiki, ja wiem, że spadniesz, mama wie, że spadniesz, nawet ten fikus wie, że spadniesz. Bo zawsze w końcu spadasz i wrzeszczysz.

– Co? Fikus? – Wiki opadła zdziwiona. Na skraj. Blat się otworzył, a Wiki zjechała w dół. Chwyciła się stołu, potrącając przy okazji swój kubek, a jego zawartość wylała się na mój komputer. Krzyknąłem. Wiki się przestraszyła tak bardzo, że zrzuciła wazę stojącą po drugiej stronie stołu. Waza się stłukła. Wtedy krzyknęła również żona. Wiki znów się przestraszyła, odskoczyła, wpadła na odkurzacz, który tak mocno uderzył w telewizor, że nie wiem, czy będzie jeszcze działać. Żona, próbując złapać odkurzacz, zrzuciła deskę, na której kroiła warzywa, a one rozleciały się po całej podłodze. Ja też się starałem: uratować komputer. Kiedy wyciągałem wtyczkę z kontaktu, porządnie kopnął mnie prąd. Potem jeszcze zahaczyłem nogą o szafkę, na którą Kasia przed chwilą odstawiła sos, on się przewrócił i polał mnie oraz połowę dywanu.

Po krzyku nastała całkowita cisza. Wiki oceniała sytuację: przewrócony stolik, dymiący komputer, rysa na telewizorze, rozbita waza, wszędzie

szkło, na podłodze sos, tata porażony prądem, mama cała w warzywach… Po czym uspokajającym tonem stwierdziła:

– Dobrze, że się nic nie stało.

I właśnie tak powstają rodzinne opowieści, które opowiada się dzieciom swoich dzieci, a one z kolei opowiedzą je dzieciom swoich dzieci.

Pan Wal Sję

Straż miejska potrafi zachować się z klasą, mogę to potwierdzić. Byłem świadkiem tego, jak dwaj strażnicy pomagali osobnikowi niewyglądającemu zbyt atrakcyjnie. Leżał na ziemi, alkohol ściął go jak Marię Antoninę, ale mimo to strażnicy byli kulturalni.

– Jak się pan nazywa? – spytał strażnik i pochylił się nad mężczyzną. On coś wymamrotał, a strażnik wyprostował się i oficjalnym tonem oświadczył:

– Panie Wal Sję, wezwaliśmy do pana karetkę. Czy dobrze się pan czuje? Ile pan widzi palców? – strażnik pomachał dłonią, znów trochę się pochylając.

Człowiek na ziemi znów coś wymamrotał.

– Trzysta? Prawie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

– Ty sobie dorobiłeś jakieś palce? – zdziwił się drugi strażnik

– Nie, obciąłem.

Mężczyzna na ziemi zaczął się czołgać.

– Halo, panie Wal Sję, słyszy mnie pan? Jeśli chce się pan podnieść, to kierunek na górę jest tu, skąd dochodzi mój głos.

Stali tam, obserwowali tego pijaka, a drugi strażnik powiedział zamyślony:

– Może Wal to jest imię?

Pierwszy strażnik skinął i odparł:

– Brzmi to trochę jak mieszanka Francuza i Chińczyka. Może nas nie rozumie.

Osobnikowi udało się trochę podnieść, ale jeszcze nawet się nie wyprostował, a już znów rozpłaszczył się na ziemi.

– Proszę się nie martwić – powiedział strażnik uspokajającym tonem i rozejrzał się, czy nie nadjeżdża karetka. – Dziś jest wyjątkowo silna grawitacja, nie tylko pan ma z nią problemy.

– Pan Sję najwyraźniej jest jedną z tych osób o wyjątkowej wrażliwości grawitacyjnej. Z kolei na moją żonę bardzo duży wpływ mają plamy na słońcu – rzucił drugi strażnik tak po prostu, żeby podtrzymać rozmowę.

Zbliżał się sygnał pogotowia ratunkowego.

– O, już jadą… Proszę? – pochylił się nad mężczyzną na ziemi. – Tak, wszystkie sześć karetek jedzie do pana. Może pan sobie wybrać, którą pan chce.

Facet znów się podniósł.

– Nie, to nie jest karetka, to lampa uliczna – próbowali go powstrzymać, lecz na próżno. Znów znalazł się na ziemi.

– Można się pomylić – powiedział drugi strażnik wyrozumiale. – Obie mają światła… Właściwie są zupełnie takie same, poza tym, że jedna jest autem, a druga słupem.

Pierwszy strażnik kiwał głową na potwierdzenie. Nic innego i tak nie miał tam do roboty.

Pijak puścił pawia przez całą szerokość ulicy. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego. Pierwszy strażnik ledwo zdążył odskoczyć. Drugi bez emocji stwierdził:

– Wszystko jasne: zatrucie pokarmowe. Wiadomo, trucizny trzeba się pozbyć.

Pierwszy strażnik lekko otrzepał buty, spojrzał na tę olbrzymią kałużę i dodał:

– Widzę, panie Wal Sję, że preferuje pan zupy, ale trzeba jeść też jakieś pokarmy stałe. Same płyny nie są dobre dla żołądka. – I zakończył: – Idą sanitariusze, oni panu pomogą, bo przywieźli… dźwig. A przynajmniej mam taką nadzieję.

Naprawdę profesjonalnie i kulturalnie potrafi zachowywać się nasza straż miejska.

Włożyli mężczyznę do auta, zabrali go, a nam pozostaje mieć nadzieję, że francuski Chińczyk Wal Sję jest już zdrowy.

Ludwik, najgorszy ojciec na świecie

Chyba nigdy nie zaczynałem pisania historyjki od porządnego przeciągnięcia się i strzelenia stawami palców. Dziś to zrobiłem, ponieważ czuję się tak, jak prawdopodobnie czuł się Georg Friedrich Händel, pisząc

swojego *Mesjasza*. Ta historia należy to tzw. „epokowych", które mogą zmienić wasze życie lub przynajmniej wnieść do niego jakość wcześniej niezaznaną. Wiem, że mężczyźni raczej tej książki czytać nie będą, ale i tak ucieszy mnie każdy jeden, do którego dotrą te słowa, ponieważ są to słowa o tym, że On istnieje. Że istnieje… Ludwik. Niemal płaczę z powodu tej radosnej nowiny.

Przyszedłem na plac zabaw z trzyletnią córką, tak jak zawsze. Była tam dziewczynka w wieku Wiki, która od razu zwróciła moją uwagę, bo miała sweter naciągnięty na kurtkę, a po chwili zauważyłem, że lewy but ma na prawej nodze i odwrotnie, a tego u dzieci w tym wieku już raczej się nie widuje. Ale zdarza się. Ta dziewczynka przyszła na plac zabaw z tatą o długich, rozwianych włosach, które złamałyby każdy grzebień.

– Ludwik – przedstawił mi się. Takie zachowanie raczej się na placach zabaw nie zdarza. Ja też się przedstawiłem i razem obser wowaliśmy igraszki naszych dzieci. Wiki wymyśliła zabawę w pijaną świnię i biegała chwiejnym krokiem, co jakiś czas padając na ziemię z okrzykiem „AU!", a tę drugą dziewczynkę doprowadzało to do histerycznego śmiechu.

– Zimno mi w lęce – poskarżyła się ta druga dziewczynka.

– Racja, zapomnieliśmy o rękawiczkach, co? – powiedział Ludwik.

Wtedy Wiki ściągnęła swoje rękawice i pożyczyła tej dziewczynce, twierdząc, że jej jest gorąco. Po chwili znów przybiegła tamta dziewczynka:

– Mam gila!

A tata zorientował się, że nie wziął z domu chusteczek. Poratowałem ich naszymi.

Znów pobiegły się bawić i znów przybiegła ta dziewczynka:

– Chce mi się pić.

Ale Ludwik nie miał nic do picia.

Nalałem im trochę naszej herbaty z termosu.

Potem Ludwik wyciągnął telefon i oddalił się o kilka kroków. Po około dziesięciu minutach przybiegła kobieta w płaszczu narzuconym na fartuch kuchenny i zaczęła krzyczeć na Ludwika stłumionym głosem:

– Tu są rękawiczki, chusteczki… Boże, dlaczego to dziecko ma sweter na kurtce?!

Ludwik zaczął bronić się przepraszającym tonem:

– Bo o swetrze powiedziałaś, jak już miała kurtkę i nie chciała jej ściągnąć…

– Ma buty nie na tych nogach!

– Naprawdę? – zdziwił się Ludwik. – Nawet nie zauważyłem…

– Ty jesteś po prostu niemożliwy! Danusiu, chodź, musimy przełożyć ci buty – i zaczęła ją przebierać. – Ja tego po prostu nie rozumiem – lamentowała – ostatnio wróciłeś do domu z nieswoim dzieckiem. W dodatku z chłopcem…

– Po prostu ze mną poszedł, nie przyglądałem się. Nie przyszło mi do głowy, że mogłoby ze mną iść obce dziecko.

– A w zeszłym tygodniu odebrałeś z kina bliźniaki! Też chłopców!

– Rzeczywiście, nie powinienem był się tak pomylić.

Miło z jego strony, że przyznał, iż pomylenie płci i w dodatku liczby dzieci to już spory błąd. Przebrana dziewczynka znów pobiegła się bawić, a jej mama objęła Ludwika:

– Kocham cię, ale musisz się bardziej skupić.

– Ostrzegałem, że nie jestem dobry w tych sprawach – szepnął zakłopotany.

– A ja ci nie wierzyłam.

Pocałowali się, a kobieta na pożegnanie powiedziała:

– Postaraj się przyprowadzić do domu odpowiednie dziecko.

A do mnie rzuciła jeszcze:

– Niech pan pilnuje córki.

Powiedziałem, że będę pilnować.

To było… niewiarygodne. Ludwik spojrzał na mnie i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: *Niestety tak to ze mną wygląda*. Ogarnął mnie niewiarygodny przypływ dumy i musiałem się kontrolować, żeby tego mężczyzny nie wyściskać.

Zrozumieć mnie może tylko inny mężczyzna. Facet, który od chwili, gdy okaże się, że jego żona jest w ciąży, czuje się jak totalny fajtłapa. Wokół niego zaczyna się dziać mnóstwo rzeczy, a on zazwyczaj nie ma najmniejszego pojęcia, jak powinien się zachować. To jest jak jazda na spłoszonym koniu, który niesie nas gdzieś w nieznane, a my nie potrafimy go zatrzymać. Możemy tylko próbować utrzymać się w siodle.

Wszystkie te lata cierpień, spychania w cień i dyskryminacji wypływają na placach zabaw, bo mamy nie rozmawiają z mężczyznami. Ich głównymi tematami są bóle piersi lub spadek wagi po porodzie. Nawet w gabinetach ginekologicznych, w których mężczyzna towarzyszy żonie, nie jest traktowany równoprawnie. Kiedyś na Marię zstąpił Duch Święty i od tego czasu wszyscy mają wrażenie, że dzieje się to codziennie, bo mężczyzn nikt nie bierze pod uwagę. Po prostu otwierają się drzwi, wpychają wam w ramiona żonę, załamaną i płaczącą, a wy nie macie pojęcia, o co chodzi. A żeby mężczyzna w pełni odczuł, jak niepotrzebny jest w czasie porodu i jakie koszty ponosi szpital z powodu obecności takiego absolutnie zbytecznego niezdary, przysparzającego wszystkim dodatkowej pracy, ów przyszły ojciec musi za obecność przy porodzie swego dziecka zapłacić. Chociaż tak naprawdę wcale nie chce tam być. A skoro już o tym mowa –

nie chce tam być również jego żona. Cóż ona by dała, żeby nie musieć tam iść.

A potem nagle pojawia się Ludwik. Spotkałem już wielu ojców i przy większości z nich czułem się strasznie, bo miałem wrażenie, że wszyscy radzą sobie lepiej niż ja. Ale przy Ludwiku po raz pierwszy poczułem się jak czarodziejska opiekunka Nanny McPhee. I było to wspaniałe uczucie. Jak często ma się to szczęście, by spotkać kogoś, dzięki komu czujecie się lepszym rodzicem? Mam na myśli: lepszym ojcem. Powiem wam: NIGDY. Zawsze będziecie czuć się jak idiota, który udaje, że wie, jak zajmować się dzieckiem, ale nie ma o tym pojęcia. Tyle że… jest tu jeszcze Ludwik. Ojciec, którego wrodzona niezdolność bycia rodzicem musi mieć związek z jakąś chorobą psychiczną. Ten facet to prawdziwy wybryk natury.

Panowie, chciałem wam tylko powiedzieć, że być może niejedno spartaczycie, o niejednym zapomnicie, nie pomyślicie o tym, że dziecko przed myciem rąk powinno zdjąć rękawiczki i nie potraficie wyczyścić dziecku uszu, przyciąć paznokci, nie macie pojęcia, która strona rajtuz jest przednia, a która tylna ani który otwór majtek jest na nogi, a który na brzuch, ponieważ to wszystko jest strasznie małe… Ale kiedy znów poczujecie się jak idioci i najgorsi ojcowie świata, przypomnijcie sobie, że jest jeszcze Ludwik.

Ta historia jest prawdziwa, bo opowiadał mi ją sam…

Ja.

Tatuś jest bardzo, bardzo dobry!

Na ławce siedział wygodnie rozwalony mężczyzna w drogim garniturze, prawdopodobnie z któregoś z okolicznych biurowców. Delikatnie się uśmiechał i obserwował swojego syna objeżdżającego plac zabaw na hulajnodze. W piaskownicy bawiła się mała dziewczynka, a moja córka Wiki otworzyła sklepik ze wszystkim, czego można zapragnąć.

Zadzwonił telefon. Młody biznesmen spojrzał na ekran, przez jego twarz przemknęło zmęczenie, ale odebrał i zaczął bardzo energicznym głosem:

– Halo, dzień dobry. Tak, jeszcze w pracy. Wprawdzie miałem być teraz ze swoim synem, ale taki już jestem, że u mnie zawsze najpierw jest praca, a dopiero potem rodzina… Oczywiście, dopóki nie skończę… Chwileczkę, zaraz sprawdzę.

Wstał, rozejrzał się po placu zabaw i znów przyłożył telefon do ucha.

– Nikt nie poszedł do domu, wszyscy wciąż harują. Tak, mam tu dział realizacji, budowlany, widzę nawet catering – powiedział i pomachał do Wiki, która akurat zrobiła mi z piasku herbatę. I herbatniki.

– Tato, bolą mnie nogi – krzyknął jego syn z drugiej strony placu.

– Pracuj, nie poddawaj się, spróbuj jeszcze raz, poradzisz sobie! – odkrzyknął ojciec, nie zakrywając nawet telefonu. Potem spokojnie kontynuował rozmowę: – Są jak dzieci, trzeba ich ciągle pilnować – zaśmiał się. – Słucham? Budynki? Chwileczkę, sprawdzę… – podszedł do dziewczynki, która stawiała właśnie trzecią babkę. Usiadł na skraju

piaskownicy, przez chwilę poważnie się przyglądał, po czym powiedział do telefonu: – Wygląda na to, że dwa budynki są już gotowe, nad trzecim jeszcze pracują.

Dziewczynka poklepała babkę, podniosła foremkę, ale zrobiła to tak nieostrożnie, że babka się zburzyła.

– Tak, wiem, że też miał już być gotowy, ale… Chwileczkę – pochylił się do dziewczynki i powiedział głośno: – Poczekaj, pokażę ci, jak to się robi. – Jedną ręką napełnił foremkę, położył ją i ostrożnie podniósł. Babka się udała. – Gotowe.

Dziewczynka zaczęła bić brawo.

– Świetnie, zrobione. Wszystkie budynki są gotowe na prezentację i muszę przyznać, że wyglądają doskonale.

Wstał z piaskownicy i ruszył do sklepiku Wiki. Słuchał, co mówi do niego głos w słuchawce, a potem pochylił się do Wiki, i trochę do niej, a trochę do słuchawki powiedział ściszonym głosem:

– Czy mogłaby mi pani zrobić filiżankę kawy? Dziękuję.

Wiki radośnie skinęła i wsypała do jednej ze swoich foremek łopatkę piasku, którą szybko podała mężczyźnie.

– Już? Tak szybko? Muszę przyznać, że moja asystentka jest niezastąpiona, a kawa… – udał, że pije – smakuje wręcz wyśmienicie.

Wiki aż podskoczyła z radości. Mężczyzna wrócił na ławeczkę i założył nogę na nogę.

– Tak, proszę pana, będę tu przez całą noc i wszystkiego dopilnuję… Och. Proszę? Ja… Nie wiem, co na to powiedzieć. No… Dziękuję. Dobrze. Tak. Do widzenia.

Rozłączył się, schował telefon do kieszeni, zaśmiał się i pomachał do syna:

– Filip, idziemy do domu!

– Ja jeszcze nie chcę – Filip wciąż pomykał na hulajnodze.

– Chodź, musimy wracać do mamy, pójdziemy na pyszną kolację. Tatuś dostał podwyżkę.

– Jak to? – przyleciał do niego syn.

– Bo tatuś jest bardzo, bardzo dobry! – poklepał syna po kasku. Wziął go na ręce, podniósł hulajnogę i ruszył do wyjścia. Przed furtką jeszcze zatrzymał się i spojrzał na dzieci na placu zabaw:

– Ale niczego bym nie osiągnął bez swojego zespołu – i ukłonił się elegancko. – Do widzenia.

Wiki i dziewczynka w piaskownicy poderwały się, zaczęły machać i krzyczeć:

– Do widzenia!

A potem Wiki też powoli i elegancko się ukłoniła.

Po niej ukłoniłem się również ja.

Bo ten mężczyzna na to zasługiwał.

Nieskończona kolejka z trzech osób

W torbie miałem gorącego grillowanego kurczaka – dzisiejszy obiad. Chciałem wrócić do domu, zanim wystygnie, wstąpiłem tylko do piekarni po kilka bułek. Miałem szczęście, przede mną były zaledwie trzy osoby.

Uczeń z plecakiem, jakaś pani z czterema torbami i staruszek w kaszkiecie i z laską. Świetnie, kupię kilka bułek i za chwilę obiad.

– Co ci podać? – spytała ekspedientka chłopca.

– Chyba pączka… Albo drożdżówkę. Tę z owocami.

– Tę?

– Nie, tę pośrodku… albo… albo może… A jakie są te eklerki?

W ręce ściskał monety z mocnym postanowieniem, że dziś za swoje kieszonkowe porządnie zaszaleje. Nie przesadzam, przez dobre pięć minut wybierał, co kupić sobie za pięćdziesiąt groszy, czy ile tam miał, ale bez skutku!

Wprawdzie ekspedientka była już dość zirytowana, ale kobiecie stojącej przede mną w kolejce ta sytuacja nie przeszkadzała, uśmiechała się. Staruszek był myślami na bitwie pod Waterloo, a ja również starałem się mieć przyjazną minę, chociaż mój obiad powoli stygł. Jeszcze kilka minut i zamiast ciepłego, młodego kurczaka będę mieć na obiad starą, zimną kurę.

– …to jednak wezmę pączka. A te herbatniki są po ile?

Boże, kupiłbym mu do tej uczty nawet butelkę whisky, byle tylko nareszcie coś wybrał. Zanim dojdę do domu, córka będzie już studiować!

– A ile kosztują napoleonki? A murzynki?

Czułem, że gdzieś za oknem na świat przychodzą moje wnuki. Sprawdziłem ręką, czy wąsy urosły mi już do kolan, i zacząłem zrywać pajęczyny między nogami.

Wreszcie! Wreszcie wybrał. Zwycięsko wyszedł z pączkiem, eklerka sprzedawczyni dała mu chyba za darmo, żeby wreszcie się go pozbyć i obsłużyć w tym kwartale jeszcze chociaż dwóch klientów. Przyszła kolej na kobietę z czterema torbami.

– Ja poproszę dwa okrągłe chleby, dwadzieścia bułek, dwanaście rogali…

Lekko się zatoczyłem. Szefowa zaopatrzenia robi zapasy dla NATO. Ciekawiło mnie, jak ta kobieta chce to wszystko udźwignąć, przecież trzymała już cztery torby. Wyjrzałem, czy przed piekarnią stoi ciężarówka. Nie stała. Przełączyłem telefon z zegara na kalendarz.

– …tak z pół kilo sałatki warzywnej…? Trzy czwarte? Dobrze, proszę zostawić. I precelki.

Czułem, jak siwieję. W ZUS-ie zaczęli obliczać mi emeryturę. Skądś wyłonili się ubrani na czarno pracownicy firmy Gawron i synowie i zaczęli mi brać miarę na trumnę.

– Jeszcze z osiem tych sezamowych bułeczek… A może jeszcze wzięłabym jakieś kanapki…

Kurczak od dawna był zimny. Właściwie miałem w plecaku skamieniałość. Trzy osoby! A czekania jak po Harry'ego Pottera! Przez okno obserwowałem przygotowania na powitanie trzeciego tysiąclecia. I zastanawiałem się, kto jest teraz prezydentem. Na pewno znów jakiś debil.

– To wszystko.

Zbawienne zdanie! Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Kobieta wreszcie skończyła kupować, chwyciła swoje dwieście siedem toreb i próbowała przecisnąć się przez drzwi. Ostatni człowiek przede mną. Ten staruszek. Doszurał do kasy i zaczął:

– Ja-ja-ja-ja

by-by-by-bym

ch-ch-ch-chciał

je-je-je-jedną

ko-ko-ko-ko-ko…

– Kokosankę?

– Nie. Ko-ko-ko-ko-ko…

– Kolę?

– Nie. Ko-ko-ko-ko…

Świetnie. Chłopiec, który rozważa zakup wszystkich rodzajów słodyczy, zanim wybierze ten jeden właściwy, kobieta, która wykupuje cały sklep, a teraz ten zacznie tu wysiadywać jaja. Ktoś rzucił na mnie zły czar. Coś zaswędziało mnie w tylnej kieszeni. Wyciągnąłem dokumenty.

Na moich oczach zaczął zmieniać się adres zamieszkania.

Tatuś jest bardzo, bardzo dobry! Niespodziewana kontynuacja…

– Czy pan jest pisarzem?

Stanąłem jak wryty. Na plac zabaw przyszedł młody biznesmen, o którym niedawno wam opowiadałem. Tym razem było tu mnóstwo dzieci i rodziców, ale on najwyraźniej mnie zapamiętał. I odnalazł.

– Skąd panu to przyszło do głowy? – spytałem ostrożnie, nie wiedząc, czego się spodziewać.

– Nie mnie – odpowiedział poważnie. – Mojemu szefowi.

Gdyby w tej chwili ukąsił mnie wampir, dowiedziałby się, że jestem wyschniętą gałęzią i nie ma we mnie ani kropli krwi.

– Pański szef mnie czyta? – spytałem stłumionym głosem.

– Nie – pokręcił głową. – Żona mu powiedziała. Ona jest w zarządzie.

– Jego żona mnie czyta? – jęknąłem.

– Nie – znów pokręcił głową. – Z tego co zrozumiałem, powiedziała jej o tym asystentka.

– Jej asystentka mnie czyta? – spytałem resztką sił. Świat jest kur… mały!

– Nie – znów pokręcił głową, a mnie zaczynało brakować tlenu. On się ze mną bawił! – Podobno spotkała na placu zabaw jakąś inną mamę, rozmawiały i w jakiś niewyjaśniony sposób zeszły na temat mojej rozmowy telefonicznej. Ta druga mama dostała pańskie teksty w mejlu od znajomej, nie wiedziała nawet, kto je napisał. I ta druga mama zaczęła czytać niektóre pańskie przygody tej asystentce, a jedna z nich wydała się asystentce bardzo znajoma, tyle że znała ją z drugiej strony, z rozmowy szefowej i szefa.

Zakręciło mi się w głowie.

– I co się stało? Problemy?

Rozsiadł się wygodnie niczym władca świata i roześmiał się:

– Nie. Dostałem awans. Żona mojego szefa zrywała boki ze śmiechu i zmusiła męża, by mnie awansował. A ponadto mam w umowie zagwarantowany czas dla rodziny.

Przez chwilę milczał, jakby się tym delektował.

– A przy okazji tyle samo czasu z rodziną musi od teraz spędzać mój szef. – Wyprostował się. – Przyszedłem panu podziękować.

Najlepiej wyraziłby podziękowanie kroplówką i kilkoma technikami reanimacyjnymi. Prawie wpadłem w śmierć kliniczną!

– Jak pan się tak właściwie nazywa?

– Henryk Sienkiejewicz – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Skinął.

– Spróbuję znaleźć jakieś pańskie teksty.

– Nie spodobają się panu – powiedziałem, żeby go zniechęcić.

Znów się zaśmiał, pożegnał się i odszedł.

Niewiele brakowało, a ten facet zerwałby mi uśmiech z twarzy i prawdopodobnie uszkodziłby też kilka innych części ciała. Już nigdy nie będę pisać. To znaczy o niczym, co wydarzyło się naprawdę. Zacznę wszystko zmyślać.

Tyle że…

Gdybym ja miał choć odrobinę fantazji…

Co jest gorszego niż wrzeszczące dziecko?

Wrzask. Obrzydliwy, rozpieszczony krzyk dwuletniego chłopczyka przechodzącego z mamą obok placu zabaw. On chciał się bawić, ona szła dalej i tłumaczyła mu, że muszą iść do domu. Próbował osiągnąć cel wrzaskiem i nie chciał ruszyć się z miejsca.

Trzyletnia Wiki przestała się bawić, wstała i oświadczyła smutno:

– Chłopiec płacze.

– To prawda – przyznałem.

Podeszła do mnie i poprosiła:

– Weźmy go do domu, dobrze? On jest smutny.

Chciała mu pomóc, ma ostatnio przerost empatii.

Wzruszony przełknąłem ślinę, ale musiałem wyjaśnić, że taki chłopiec to nie jest zagubiony szczeniak i nie można go tak po prostu wziąć do domu. Na szczęście mama wróciła po chłopca i zabrała go, co wzbudziło mój podziw – normalny rodzic zostawiłby go tam i kupił sobie nowe dziecko.

Ale to zdarzenie sprawiło, że zacząłem się zastanawiać, czy mógłbym przyprowadzić do domu coś lepszego niż ryczące dziecko. Do głowy przyszło mi kilka odpowiedzi:

– kot

– sterta wyrzuconych petów

– martwy gołąb

– pijany bezdomny

– tunel metra z mokrym okablowaniem

– ebola.

Dużo trudniej było wymyślić coś, co mógłbym przyprowadzić do domu i byłoby to gorsze niż wrzeszczące dziecko. Właściwie przyszła mi do głowy tylko jedna odpowiedź.

Teściowa.

Jak czytaliśmy elementarz

Wiki co wieczór wybiera książkę, którą będziemy czytać. Dziś przytargała elementarz. W wieku trzech lat. No, dlaczego nie? Litery zna prawie wszystkie, chociaż tylko duże i drukowane. Otworzyliśmy pierwszą stronę.

– Co to jest? A. Dobrze. A jakie słowo zaczyna się na literkę A? Aaaa… nanas.

– Ananasz – powtórzyła Wiki.

– A co tu jest narysowane? A…grafka.

– Agarafka.

Prawie dobrze, nie warto poprawiać.

– Widzisz, to jest duże A drukowane, to jest małe a drukowane, to jest duże A pisane, a to małe a pisane.

Kurczę, już zapomniałem, jak trudna była nauka czytania z tyloma wariantami. A nie miałem jeszcze wtedy pojęcia, że czeka mnie szwabacha, fonty w stylu Old England i czytanie recept wypisanych przez mojego lekarza.

– A tu?

– Eee.

– Świetnie. E jak eee…skimos.

– E…szkimos.

– A tu?

– L.

– Świetnie. R jak na przykład rysik.

– Sik.

– Nie sik, tylko rysik.

– Sik! Hehehehehe. Sik! Sik! SIK! Hahahahaha!

Super. Na pierwszej lekcji dostanie naganę od dyrektora. No trudno, spróbujmy inne litery.

– Jaka to litera?

– Em!

– Świetnie! A kto tu jest namalowany?

– Mama!

– Tak! A niżej…?

– Em, aaa, em, y.

– A teraz już tylko trzeba przeczytać te literki razem. Em, a, em i y to razem MAMY. Czyli tu jest napisane: mamy mamę.

Idzie nam nieźle, Wiki kiwa głową.

– A teraz następne obrazki. Jak jest podpisany ten pierwszy?

– Mama placuje na komputerze, gotuje, ćwiczy brzuszki, jedzie autem i maluje oblaz…

Hm. Było tam napisane tylko MAMA UMIE… Wiki czytała rzeczy, których tam nie było. I tworzyła dość skomplikowane zdania. Tak daleko nigdy wcześniej nie doszliśmy.

– A teraz kolejna strona. Tu jest napisane: TATA UMIE. Zobaczmy na tych obrazkach, co umie tata.

– Tata jest lekarzem. Ma stetoskop.

– Świetnie.

– Tata trzaska poklywkami.

– Chyba tata gotuje, nie?

– Tata śpi.

– Jak to śpi? Siedzi przy biurku i coś pisze, tylko jest odwrócony plecami.

– Tata lobi kupę.

– Przecież nie robi kupy, tylko siedzi na pieńku i gra na gitarze.

– Tata jedzie autem.

– Zgadza się.

– A potem rzyga.

– Tego nie ma na obrazku.

– Blueee. Rzyga.

– To prawda, że nie przepadam za jazdą autem. Zresztą ty też nie.

– Blueee, blueee!

Dobra, spytam inaczej. Jak długo można odkładać rozpoczęcie nauki szkolnej? Ta dziewczynka nie pójdzie do szkoły, dopóki nie przestanie całej klasie opowiadać, że jej tata śpi na stole, rzyga w aucie, a podczas srania w wydrążony pieniek gra na gitarze.

Jak wymiotowaliśmy

– Tato, dokąd niesiesz to wiadro? – Wiki oderwała wzrok od bajki. – Do mamy, jest jej niedobrze, chyba będzie wymiotować.

– Co? – natychmiast oderwała się od ekranu i pobiegła za mną. No… Może nie powinna na to patrzeć, ale było miłe, że martwi się o mamę.

Dałem wiadro siedzącej i ciężko oddychającej Kasi. Wiki została za mną i zaglądała zza mojego uda. Poszedłem do kuchni pokroić cytrynę – w końcu w czasie ciąży to zawsze pomagało, więc dlaczego miałoby nie pomóc na jakiś wirus.

Nagle dobiegł mnie krzyk:

– Tato, chodź! Mama wymiotuje! Tato, chodź, chodź, szybko!

Kilkoma susami znalazłem się przy żonie. Nie miałem jak jej pomóc. Nad miską zazwyczaj trzymałem jej włosy, ale teraz mogłem tylko głaskać ją po plecach.

Lecz jedna rzecz wydała mi się dziwna. Wiki nie wołała mnie tak, jakby ktoś potrzebował pomocy, ale raczej… jak kiedy leci najlepsza scena kreskówki – żebym jej nie przegapił. Coś w stylu: – Tato, zalaz wilk zje klóliczka! Chodź!

I rzeczywiście coś w tym było.

Żona podniosła głowę, cała bladozielona, a Wiki przyglądała się jej i spytała zaciekawiona:

– Mamo, będziesz jeszcze wymiotować? Tak? Będziesz? Plawda?

Mama chyba włożyła głowę za głęboko do wiadra, przez co nasza mała bieduleńka nic nie widziała i była bardzo rozczarowana.

Poszedłem wylać zawartość wiadra. Wiki podskakiwała za mną i szczebiotała:

– Tato, czy mama będzie jeszcze wymiotować? Będzie, plawda? Będzie?

Wróciliśmy z czystym wiadrem, którego zawartości musiałem chwilę wcześniej bronić własnym ciałem, bo Wiki kręciła się wokół i krzyczała:

– Mogę zobaczyć? Mogę? Mogę, plawda? Tato, pokaż!

Teraz stanęła tuż obok mamy, której było tak niedobrze, że w ogóle nie zwracała na córkę uwagi. Wiki przyglądała się wszystkiemu z zapałem studenta anatomii.

– Mamo, będziesz jeszcze wymiotować? – i obserwowała uważnie, skąd to wyleci. A mama tylko siedziała i po cichu siniała.

Powiedziałem Wiki, że nie powinna stać przed mamą. Wiki chwyciła wiadro i zachęcała:

– Mamo, tu masz wiadlo, już możesz! No, mamo, możesz spokojnie wymiotować. No mamo, wymiotuj. Będziesz? Plawda? Będziesz jeszcze wymiotować?

Nie zrozumcie mnie źle, cieszę się, że córka wykazuje zainteresowanie, ale… Rozmowa z pedagogiem, pediatrą lub kimś takim to nie będzie spacer po zielonej łące. Prawdopodobnie zapyta: – Jak się wypróżnia? Dobrze? To świetnie. A czy zna już cyfry? No, to też doskonale. – Ale nigdy nie zapyta: – A czy lubi, gdy mama wymiotuje? – Zatem nie będę mieć okazji, by entuzjastycznie odpowiedzieć: – I to jak! To jej największa pasja!

Taka sytuacja nam nie grozi. Raczej będzie to wyglądać następująco:

– Jakie hobby ma państwa córka?

– No, wie pan… ehm…

– No przecież chyba trochę znają państwo własne dziecko i wiedzą państwo, co lubi robić? Proszę powiedzieć!

– No, wie pan… ehm…

– Przecież to nie jest trudne pytanie? Może bajki? Co lubi oglądać?

– Ehm…

Naprawdę, jeśli jeszcze kiedyś jakiś pseudopsycholog będzie wmawiać mi, że należy wspierać pasje dzieci, załatwię go TYM!

I teraz sobie mędrkuj, doktorku. Wsadź sobie swój wykształcony palec do gardła i wspieraj, ile wlezie.

– Będziesz jeszcze wymiotować? Będziesz, plawda? Mamo, będziesz?

Ach, po prostu moje szczęście.

Dziecko, które nie chce wyjść od lekarza

Gabinet laryngologiczny. Cudowna pani doktor, wspaniała pielęgniarka, ciekawe, zabawne, a przede wszystkim bezbolesne badanie, mnóstwo pochwał, zabawek i CUKIERKI! Nietrudno zgadnąć, że wyciągnięcie trzyletniej Wiki z gabinetu było równie wielkim wyzwaniem, jak wyciągnięcie jej z przedszkola. Dostała już nawet na drogę trzy zabawki, ale i tak odmawiała przejścia przez próg. Na próżno pielęgniarka przekonywała ją, że trzeba leczyć też innych pacjentów, nie tylko ją. Musiałem nawet obiecać córce, że jeśli będzie dużo częściej i poważniej chorować, będziemy tu jeszcze przychodzić. Przyznaję, że pracownicy gabinetu nie ocenili w wyborach Ojciec Roku tej taktyki zbyt pozytywnie.

W końcu po prostu wyciągnąłem Wiki za drzwi. W poczekalni krzyczał jakiś pięcioletni chłopiec, który dla odmiany nie chciał wejść do środka.

– Miał zastrzyki w uszy i teraz się boi – wyjaśniła mama.

Natomiast w drzwiach wciąż krzyczała Wiki:

– Nieee! Nie cęęę!

Z sąsiedniego gabinetu wyszła pielęgniarka i przechodząc obok nas, pochyliła się nad płaczącym chłopcem:

– Nie bój się, to nic strasznego.

Potem obróciła się do Wiki:

– No, dziewczynko, przestań krzyczeć, wskakuj, będziesz to mieć szybciej za sobą – i wskazała na drzwi laryngologa. Wyjaśniłem, że my nie

wchodzimy do środka. My wychodzimy. Ale przyswojenie tej informacji przekraczało możliwości poznawcze tej kobiety.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałam.

Zajrzała do gabinetu i krzyknęła:

– Dziecko nie chce wyjść od lekarza? Co wy tu z nimi robicie?

Pani doktor wzruszyła tylko ramionami.

– Co pan ma za dziecko? – zwróciła się pielęgniarka do mnie.

– To taki specjalny gatunek.

Dowiedziałem się, że powinienem przekazać Wiki do celów badawczych. Przebadaliby ją lekarze różnych specjalizacji.

Wiki zaczęła krzyczeć:

– Tak! Ja cę na cele badawcze! Tato, przekaż mnie! Ja cę tu zostać!

Próbowałem wyjaśnić, że pewnie zanurzyliby ją w alkoholu i postawili w jakiejś witrynie. Ale efekt mógł być tylko jeden:

– Ja cę do alkoholu! Ja cę do witlyny!

Zacząłem mieć nadzieję, że psychiatria w tej klinice jest na innym piętrze, albo – jeszcze lepiej – w innym budynku, choć potrafię sobie wyobrazić, jak pióro ordynatora wypisujące właśnie receptę, zaczęło nastawiać uszu, a lekarz zaczął biegać po korytarzach i węszyć.

Oderwałem Wiki od futryny, a ten przestraszony chłopiec był tak ogłupiały, że zaczął nagle ciągnąć mamę:

– Mamo, chodź, teraz my, szybko! Już możemy, chodź! Ja też tam chcę!

Mama zrobiła wielkie oczy, a potem westchnęła:

– Skoro nalegasz…

Zatem dzisiejszy wynik to jedna wyleczona fobia oraz jedna nowiutka patologia *Jak wyciągnąć dziecko od lekarza*. Chciałbym kiedyś znów… znów pójść do lekarza i być zupełnie normalnym pacjentem.

Chociaż raz…

Zrobione. Rachunki zapłacone. W miejscu na uwagi wpisałem swojemu operatorowi: „Bilet lotniczy na Majorkę", a dostawcy Internetu: „Rata za ferrari". Wiem, że tych uwag nikt nie czyta, ale i tak przy płaceniu człowiek czuje się jakoś lepiej.

– Tato, tato, co kupiłeś? – przywitała mnie w drzwiach trzyletnia córka i natychmiast zaczęła przeglądać torby z zakupami. – Co to jest? – wyciągnęła pierwsze pudełko.

– Chrom.

– A co to jest?

– Pierwiastek śladowy.

– A co to jest?

– Suplement diety.

– A co to jest?

Wyjaśniłem więc, po co kupuje się chrom, jak się go bierze, gdzie występuje… Chyba dobrze się spisałem, bo od razu nabrała na niego ochoty. Dostałem ten chrom w aptece za darmo, nie miałem pojęcia, czy pomoże również dziecku, więc niepostrzeżenie podmieniłem tabletkę z cukierkiem. Nabrała się. Co chwilę biega do lustra, żeby sprawdzić, czy już jej rosną błotniki. Bardzo się ucieszyła, kiedy usłyszała, że z ucha wykiełkuje jej chromowane lusterko. Muszę podziwiać tę radość! Może jutro spróbuję dać jej śladowy pierwiastek złota. Z takim entuzjazmem mogłaby jej do wieczora wyrosnąć cała sztabka.

Awkward

Nie cierpię chwil, które po angielsku są określane słowem *awkward*, czyli kiedy na moment zatrzymuje się serce. Na przykład gdy wracam z wysikanym dzieckiem, a żona pyta:

– Naciągnąłeś małej porządnie rajtuzki?

Awkward.

– Co? Rajtuzki?

Skoro już o tym wspominam – żona z jakiegoś powodu nie znosi, gdy powtarzam po niej słowa. Jeszcze nie zdążę odpowiedzieć, a ona już krzyczy:

– Chyba nie mówisz poważnie! – i łapie się za głowę. Jakby takim wielkim problemem było to, że przefiltrowaliśmy mocz.

Teraz znowu. Kasia na chwilę się zdrzemnęła, bo prawie w ogóle nie sypia, więc poczytałem małej bajki i ułożyłem ją do snu. Żona się budzi i mówi:

– Co jedliście na kolację?

Awkward.

– Co? Na kolację?

Na szczęście nie była jeszcze całkiem rozbudzona.

– Jedliście kolację? – mruknęła.

– No jasne – odparłem uspokajająco. I była to prawda. W pewnym sensie. O ile nie spyta, czy jedliśmy ją dzisiaj.

– Ale dzisiaj?

Cholera. Ja mam zawsze takiego pecha!

– No jaaasne… Dałem jej bułkę.

Dwa różne zdania. Oba prawdziwe. Naprawdę jadła już w życiu kolację. Na śniadanie naprawdę dawałem jej bułkę. Przecież żona nie spyta, czy na kolację. Musiałaby być geniuszem.

– Na kolację?

Aaaa! Jak długo dam radę tak ściemniać? Ona czyta mi w myślach!

– Skąd wiesz, o co masz pytać? Czytasz mi w myślach? Spróbujmy. O czym teraz myślę?

Skupiłem swe myśli na najbardziej skomplikowanej rzeczy, jaka przyszła mi do głowy.

Ziewnęła.

– O jakiejś technicznej bzdurze, której nigdy nie odgadnę, ale tak naprawdę myślisz o tym, żebym nie spytała, co mała jadła na kolację.

Boże. Moja żona zawarła pakt z diabłem! A do tego jeszcze Wiki:

– Jestem głodna.

Nie jest. Nawet nie pomyślała o jedzeniu. Tak jak ja. Gdyby była głodna, powiedziałaby o tym. Po prostu nie chce jej się spać, więc wykorzystuje sytuację. Te kobiety zawarły przeciwko mnie spisek!

– Cicho! Dostaniesz podwójne śniadanie – syknąłem półgębkiem.

Ale żona już wyciągała ją z łóżka:

– Biedaczku, on by mi cię tu zagłodził.

A Wiki lojalnie zaczyna popłakiwać.

To po prostu nie jest fair.

Ale na tym nie koniec.

– Nos wysmarkany?

Awkward.

Czy to przesłuchanie nigdy się nie skończy? Skąd wie, o co ma pytać? Dlaczego nie spyta, czy czytaliśmy bajkę?!

– Co? Nos? No jaaasne.

Na pewno był już wielokrotnie wysmarkany, kilka razy nawet ze mną. Czasem Wiki wyciera o mnie gile.

Może nawet spokojnie spytać, czy dzisiaj, bo nawet dziś na pewno smarkaliśmy. Nie przyłapie mnie.

Mój uśmiech był chyba zbyt pewny siebie.

– Teraz, przed spaniem?

Do wszystkich brzuchatych buddów! Czy to jest normalne?

A Wiki od razu:

– Nie.

– Jaaasne, że tak, Wiki, przecież wiesz, że smarkałaś. Nie pamiętasz? – i mrugam do niej alfabetem Morse'a.

A Wiki z uporem:

– Ale nie przed spaniem. – I dodaje jeszcze: – Mamo, tata do mnie mruga.

Kapuś. Jutro dostanie na śniadanie tylko psie granulki. Albo nie, bo je akurat lubi.

Żona nawet na mnie nie patrzy, tylko wlepia mi jedego kuksańca i mówi podstępnie:

– Nie bój się Wiki, jak zaśniesz, a tato znów przylezie do mamy, to dopiero będzie mrugać.

Nie wiem dlaczego, ale nagle strasznie zachciało mi się wyć.

2012 – Wiki nauczyła się jeść pokarmy stałe!

2013 – Wiki nauczyła się jeść samodzielnie!

2014 – Wiki nauczyła się jeść sztućcami!

2015 – Wiki nauczyła się jeść jedną ręką, żeby drugą móc obsługiwać komputer! Jestem taki dumny!

Wiadomość dla tych przedstawicieli przemysłu spożywczego, którzy nie zrozumieli jeszcze współczesnych czasów: nie produkujcie niczego, czego nie da się zjeść jedną ręką.

Zabawa w zabijanie ojców

Odsysanie noska to jeden z piekielnych aspektów rodzicielstwa. Słyszałem o cudownych małych dzieciach, które przychodzą, włączają sobie odkurzacz, odsysają swój katarek i wracają do zabawy. Nasza córka do nich nie należy.

Katar ma praktycznie bez przerwy, od kiedy chodzi do przedszkola. Leczymy ją, idzie do przedszkola, a po dwóch dniach katar powraca. Przy odsysaniu Wiki wrzeszczy na całe gardło, chyba po to, żeby zagłuszyć odkurzacz. Ale przede wszystkim po to, żebyśmy z powodu jej terapii mieli jak największe wyrzuty sumienia. Próbowaliśmy porządnie zakropić nos wodą morską, ciągle smarkać, ale odkurzacz jest bezkonkurencyjny. Doszło już do tego, że Wiki zaczęły boleć uszka i miała je całkowicie zatkane. Trudna decyzja, czy znów przechodzić przez ten obustronny koszmar, czy pozwolić dziecku ogłuchnąć. Rodzice zrobią wszystko, żeby ich dziecko nie krzyczało, ale nic oprócz odkurzacza nie pomagało. A Wiki po prostu przy odciąganiu smarków odkurzaczem krzyczała. Aż pewnego dnia…

Ja trzymałem Wiki, a żona odkurzała jej nosek. Wiki owinęła nogi wokół mojej szyi, a przy krzyku nagle je zacisnęła. Charknąłem, udając, że się duszę. Tylko tak dla urozmaicenia. Jej krzyk na chwilę ucichł i rozległo się:

– He he.

To zaskoczyło nas tak bardzo, że nawet żona przerwała na chwilę swoje obowiązki domowe w otworach nosowych naszego maleństwa. Potem Wiki mnie kopnęła. Udałem, że głowa odlatuje mi do tyłu, kark pęka, a głowa zaczyna mi bezwładnie zwisać.

Znów śmiech.

Kopnęła mnie drugą nogą. Przybrałem pozycję zombie i wydałem dźwięk, jakby mi się ulało. To uwielbia. Nagle Kasia mogła spokojnie posprzątać nos w obu dziurkach, zresztą przez ostatnie pół roku nie tylko wjeżdża tam odkurzaczem, ale potem jeszcze wyciera wszystko mopem. Jeśli katar nie minie, to jeszcze zanim Wiki pójdzie do pierwszej klasy, będziemy mogli wynajmować jej nos jako garaż dla dwóch wozów czyszczących jezdnię.

Udało się załatwić wszystko bez krzyku. Że też nie wpadliśmy na to wcześniej. Ale komu by to przyszło do głowy… Próbowaliśmy wszelkich wariactw, ale czegoś takiego jeszcze nie.

Owszem, zabawa „zabij tatę" nie jest może zbyt wychowawcza, ale jak powiedziałem: rodzic zrobi wszystko, by jego dziecko przestało krzyczeć.

Jeśli trzeba, to nawet co jakiś czas wykituje.

Co robią mamy, kiedy mają wolne

Pojechałem na targi rowerowe i powiedziałem żonie, że zabieram ze sobą córkę. Już wtedy nie łudziłem się, że cokolwiek na tych targach zobaczę, ale wiedziałem, że Kasia musi odpocząć. Przez pół roku jesteśmy prawie bez przerwy chorzy, nie byliśmy praktycznie nigdzie, a żonę – w odróżnieniu ode mnie – budzi każde westchnienie małej, więc jest totalnie niewyspana.

Właściwie ja też kiedyś obudziłem się w nocy, bo dziecku rozpadło się łóżeczko, ale nie obudził mnie huk ani krzyk, tylko żona skacząca mi po brzuchu z orkiestrą wojskową na głowie i dzwonami z katedry w dłoniach.

Zostawiliśmy więc Kasię w domu, żeby miała chociaż kilka godzin dla siebie, wyspała się albo wzięła kąpiel. Wracamy, a ja nie mogę się nadziwić: kurze wytarte, naczynia czyste, posprzątana spiżarka, śmieci posegregowane, pranie wywieszone, lśniąca łazienka, mieszkanie odkurzone, bielizna się suszy, obiad ugotowany, lodówka pachnąca… A żona wita nas w drzwiach okrzykiem:

– Ale się za wami stęskniłam!

Po prostu kiedy kobiety stają się matkami, mają objawy odstawienia za każdym razem, gdy obiekty ich opieki znikają z pola widzenia. Gdyby mnie zniknęły one z pola widzenia, zemdlałbym i na trzy dni zapomniałbym o całym świecie.

Jeśli więc, panowie, chcecie, żeby wasza żona sobie odpoczęła, wykupcie jej dzień w salonie piękności albo jakimś spa. Wprawdzie

najpierw chciałem wam zaproponować związanie liną i wrzucenie do łóżka, ale wiele organizacji może dziś krzywo patrzeć na takie praktyki, nawet pomimo waszych zapewnień, że robicie to dla dobra żony. Już lepiej więc komuś zapłacić, żeby zrobił to za was.

Nie zdziwcie się więc, jeśli kiedyś zostawicie żonę na weekend w domu, żeby sobie odpoczęła, a po powrocie zamiast domu zastaniecie Burdż Chalifa.

Makroekonomia dla przedszkoli

System nagród, który można wprowadzać już od trzeciego roku życia dziecka, ma sporo zawiłości i nie zaszkodzi powtórzenie sobie niektórych definicji, które omawialiście w szkole średniej oraz – dogłębniej – na studiach.

Na przykład my wprowadziliśmy trzyletniej Wiki czekoladowe pieniążki i powiedzieliśmy, że jeśli posprząta swój pokój, poukłada ubranie, będzie myć ręce po skorzystaniu z toalety, będzie pamiętać o myciu zębów, pomoże przy zmywaniu naczyń i tak dalej – może dostać czekoladowe pieniążki. Ogół pożądanych zachowań to PODAŻ ZAGREGOWANA.

Przy wypłacaniu pensji mogą wystąpić dwie sytuacje:

– Świetnie sobie poradziłaś, pięknie ułożone ubrania, dostajesz dwa pieniążki.

Albo:

– No ale te sztućce nawrzucałaś tam jak do masowego grobu, nie o to nam chodziło, dostaniesz tylko pół pieniążka.

To się nazywa ELASTYCZNOŚĆ CENOWA.

Jeśli powiecie dziecku: – Posprzątaj zabawki, to dostaniesz czekoladowy pieniążek – a ono odpowie: – Nie chce mi się – to się nazywa RECESJA.

Jeśli powiecie: – Pieniążki się skończyły, dostaniesz żelka – to się nazywa REFORMA WALUTOWA.

Kiedy na placu zabaw obiecacie dziecku pieniążek za pozbieranie foremek, a jakieś inne dziecko zacznie krzyczeć na swoich rodziców, że też chce pieniążek za posprzątanie zabawek, wówczas wasz system finansowy wpłynie na ekonomikę innych rodzin – to się nazywa GLOBALIZACJA.

Kiedy przyjdzie babcia i da dziecku kilka czekoladek – to się nazywa INFLACJA.

A kiedy potem powiecie dziecku: – Pomóż mi zmywać naczynia, to dostaniesz pieniążek – a ono na to: – Nie cę. Już nie mogę – to się nazywa NASYCONY RYNEK.

Potem pójdziecie do babci i powiecie jej, żeby nie osłabiała waszej waluty i nie wciskała na boku dziecku słodyczy – to się nazywa LIBERALIZACJA EKONOMICZNA.

No a kiedy latorośl włamie się do waszej tajnej skrytki i zje wszystkie pieniążki, a wy zastaniecie dziecko całe ubrudzone czekoladą, przykryte sreberkami – to się nazywa UNARODOWIENIE. Potem dziecku jest niedobrze, nie może patrzeć na czekoladę, środek płatniczy stracił swoją wartość – to się nazywa HIPERINFLACJA.

Kiss & Go

Poranne pożegnanie to jedna z kluczowych umiejętności rodziców, a my mamy z nią spore problemy. Wszyscy rodzice przyprowadzają swoje pociechy, w drzwiach dostają od nich buziaka, po czym dzieci idą się bawić. Z Wiki szarpiemy się wciąż przy wyjściu z przedszkola, ale równie trudno jest nam rozstać się, gdy rano ją tam przyprowadzam. Oczywiście nigdy to nie jest tak, że jakoś celowo mnie tam zatrzymuje – po prostu zawsze chce mi pokazać jakieś zwierzątko, przeczytać książkę, sprzedać coś w sklepiku, coś namalować…

Lecz efekt jest taki, że w końcu pokazuje mi wszystkie zwierzątka, jakie załapały się na Arkę Noego, czytamy wszystkie tomy *Encyklopedii Britanica,* nie wypuszcza mnie, dopóki nie zakupię ostatnich pięciopaskowych dresów Adidasa, a dziś wychodziłem ze stosem obrazków namalowanych dla mnie, dla mamy, dla babci, dla naszego nieżyjącego psa, dla wujka kuzyna cioci wujka kuzyna Władka ze strony matki…

Marzy mi się taki system jak na przykład butelki zwrotne. Dostać buziaka, odstawić dziecko, ono tam wskakuje, ja dostaję paragon i gotowe. Albo jakiś odźwierny, któremu wręczyłbym kluczyki od dziecka, a on by wsiadł i zaparkował je w odpowiednim miejscu. Po prostu coś, co nazwałbym… Kiss & Go. Albo BabyDrive.

Poczekalnia u laryngologa po raz trzeci

Znów w poczekalni u laryngologa. W sumie sam nie wiem, po co tam jeszcze chodzimy, tego zielonego kataru i tak się nie pozbędziemy, bo w przedszkolu jest po prostu na wyposażeniu.

Wiki znów wzięła meoskop, ale udało mi się go jej natychmiast zabrać. Na wspomnienie, jak przykładała go sobie do oczu, pokazywała na ludzi w poczekalni i mówiła: – O, świnka! – wciąż jeżą mi się włosy na ciele.

Teraz sięgnęła po stetoskop. A nawet po dwa. Jeden włożyła i zaczęła odkurzać mi brzuch.

– Słyszysz coś? – spytałem zaciekawiony, choć bez wątpienia była to tylko zabawka.

– Tak – zaskoczyła mnie trzyletnia córka.

– A co?

– Takie… susenie.

Chyba chciała powiedzieć *syczenie*, może jednak rozważymy tego logopedę.

– To pewnie suseł – rzuciłem obojętnie.

– Co? – spojrzała zdziwiona. – Ty masz susła?

– No ja też o tym nie wiedziałem, ty usłyszałaś go teraz jako pierwsza.

– Jako pielwsza – skinęła Wiki dumnie, że to ona postawiła mi diagnozę. Starałem się mówić po cichu, ale mimo to wzbudziliśmy zainteresowanie, kiedy Wiki znów przyłożyła mi stetoskop do brzucha i powiedziała:

– Tata ma susła!

Oczywiście poczekalnia była pełna pacjentów, którzy na poniedziałek zbierali się przez cały weekend. Jeden ojciec z dwójką dzieci od razu spytał ochoczo:

– Naprawdę? Susła? Chcesz mnie też osłuchać?

Zacząłem mieć złe przeczucie.

Wiki się wstydziła, ale przysięga Hipokratesa była silniejsza. Przyłożyła słuchawkę do brzuszyska, a w całej poczekalni zapanowała cisza.

– Słyszy coś pani? – spytał drugi ojciec.

– Eeeee… – stęknęła Wiki, a potem wylosowała w sobie: – Takie stukanie.

– To na pewno dzięcioł – powiedział ktoś z drugiego końca poczekalni.

Obie córki mężczyzny zaczęły się śmiać. Ta starsza zsunęła się z ławki, potem kilka razy poklepała tatę po brzuchu i wydusiła z siebie:

– Tak myślałam, że tam musi być coś jeszcze!

Nagle poczekalnia pacjentów laryngologa zmieniła się w poczekalnię pacjentów Wiki. Choć nie było wiadomo, jaką ma specjalizację. Chodziła ze swoim stetoskopem i słuchała, jakie kto ma dźwięki.

– Takie sklobanie, na pewno świnka molska – oświadczyła jednej pani wesołą nowinę.

– Mąż się zdziwi – odparła pani. – Ale na kreta na pewno się już nie zgodzi.

Na końcu siedział bardzo stary pan, opierał się o laskę i czekał do innego gabinetu, ale nagle krzyknął:

– Gryzonie to bestie, proszę pani. Chwila nieuwagi i wlezą wszędzie.

Wiki zaczęła skakać i krzyczeć ze śmiechu, co robi zawsze, kiedy jest ekstremalnie pobudzona. Tyle że nie miała pojęcia, z czego śmieją się

pozostali. A to wzbudziło kolejną falę śmiechu.

Na deser zostawiła sobie zagadkę, kiedy w jednym młodym Wietnamczyku usłyszała jakby… klepanie. Znów zapanowała cisza. Nikt nie potrafił odgadnąć, które zwierzę mogłoby klepać. Wiki uśmiechnęła się, po czym krzyknęła:

– Jakaś poczwalna flądla!

Trudno opisać, co stało się potem. Od razu przyszła pielęgniarka, żeby sprawdzić, co się tu na Boga dzieje i jak to możliwe, że wszyscy mają atak.

Jeden z ojców płakał, ale wydusił z siebie:

– Nic takiego, po prostu wszyscy tu nosimy w brzuchu intruzów: ten pan ma susła, we mnie stuka dzięcioł, ta pani przeżyła chwilę zapomnienia ze świnką morską, a z tym chłopakiem jest najgorzej. Ma poczwarną flądrę.

Postanowiłem, że Wiki będzie już zawsze zdrowa i że przestaniemy chodzić po lekarzach. Albo będziemy się umawiać na wizyty nocne. Pielęgniarka zobaczyła Wiki i pokiwała ze zrozumieniem:

– Ty zawsze narobisz tu niezłego hałasu – pogłaskała ją.

Tak, to cała Wiki. A jutro skończy cztery lata…

Pierwsza rozmowa telefoniczna

Nie żeby Wiki nigdy nie rozmawiała przez telefon, ale dotychczas jej rozmówcą zawsze był ktoś dorosły, na przykład babcia, ciocia albo

przerażony telemarketer. Teraz po raz pierwszy rozmawiała z koleżanką, którą zapraszała na swoje przyjęcie urodzinowe. Jak wygląda taka rozmowa trzyletnich panien? Dokładnie tak samo, jak gdyby miały lat szesnaście:

– Czeeeeeść Wiki! – rozbrzmiało z głośnika.

Cisza. Potem:

– Hehehehеeeee – nerwowy, histeryczny śmiech.

Wiki była zawstydzona, ale jednocześnie podekscytowana tym wydarzeniem. Po raz pierwszy rozmawia przez telefon z koleżanką!

Podskakiwała, jakby kopał ją prąd.

– Nie wiem, czy tam jest – odezwało się z drugiej strony.

– Hehehehehеeee – zrobiła znów Wiki, bo z tremy nie mogła z siebie wydobyć nic innego. A poza tym jest śmieszką.

– Idziesz jutro do przedszkola? – spytała koleżanka.

Wiki wybałuszyła oczy. Jak ma odpowiedzieć na tak skomplikowane pytanie?

O coś ją pytają, szybko, pomocy! Telefon zaczął drżeć jej w rękach wskutek nadmiernego obciążenia systemu.

– Jasne, że pójdziesz – podpowiedziałem cicho.

– Nie idęęęę – pisnęła do słuchawki Wiki, bo mówienie czegoś dokładnie odwrotnego niż to, czego się od niej oczekuje, to najlepszy dowcip. I dorzuciła histeryczny śmiech: – Hehehehehеeee!

Z drugiej strony dobiegł szum, prawdopodobnie ta informacja załamała koleżankę. Potem zabrzmiało:

– Ja też nie idęęęę! Hehehehehеeee!

I tak ciągnęły przez minutę. Tarzały się ze śmiechu i krzyczały do siebie, że nie pójdą do przedszkola. Potem po drugiej stronie coś stuknęło. Albo rozłączyła się koleżanka, albo jej rodzice, albo sieć nie wytrzymała.

No… Dobrze, muszę przyznać: dojrzewanie mnie przeraża.

A to przecież jest tylko jego delikatny przedsmak.

Dziś w nocy nie spałem zbyt dużo. Zaczęło się od tego, że kiedy ścieliłem przed spaniem łóżko, spytałem żony:

– Dlaczego tej szmaty nie wyrzucisz? Jest cała podziurawiona i tak cienka, że rozchodzi się w rękach.

– Bo ją lubię.

– Aha. Czyli z tego samego powodu, z którego wciąż sypiasz w tej pocerowanej koszuli nocnej z dalmatyńczykami, która trzyma się na kilku nitkach? – spytałem, choć akurat to mi nie przeszkadza.

– Tak – odszczeknęła.

Nie drążyłem tematu. Po prostu lubi stare, rozpadające się rzeczy, daleko poza granicą użyteczności i nie potrafi się z nimi rozstawać.

Położyliśmy się, zgasiliśmy światło. Cisza. Potem usłyszałem:

– Co jest? Zrozumiałeś, dlaczego za ciebie wyszłam?

A potem już tylko leżałem i wpatrywałem się w ciemność.

Czwarte urodziny

Czwarte urodziny, a Wiki chciała krecika. To dostała krecika. Dużego. Prawie takiego jak ona. Wprawdzie to krecik, ale kosztował prawie tyle co świnia. W sklepie zabawkowym pytaliśmy, czy w komplecie z nim nie jest sprzedawane jakieś auto, ale nie jest. Był to kret niezmotoryzowany.

Ewidentnie wybraliśmy wadliwy egzemplarz, bo na przyjęciu dziewczynki od razu zaczęły go leczyć. Zmierzyły mu temperaturę, nakleiły plaster, obandażowały łapkę, dały zastrzyk, wyczyściły mu nos odkurzaczem… To zwierzę musiało zostać złapane na jakimś oddziale zakaźnym. Zakropiły mu też oczy, co w przypadku kreta wydawało mi się zbyteczne.

Potem stało się najgorsze. Wiki dostała też dziecięce perfumy. Zasmrodziły krecika tak, że nie schowałby się nawet w tonie ziemi. A krecik nic – stał i cierpliwie wszystko znosił. Chyba że zapadł w śpiączkę wskutek przebytych zabiegów. Ja też byłem blisko zapadnięcia w śpiączkę, chociaż siedziałem w innym pokoju, ale ten odór miał nogi, przyszedł do mnie i grzmotnął mnie kijem baseballowym.

Wieczorem nasza córka chciała z krecikiem spać. Mogliśmy to przewidzieć i kupić temu kretowi drugie łóżko małżeńskie. Wprawdzie mieścił się w łóżeczku Wiki, ale tylko on. Zresztą łóżko małżeńskie wyszłoby taniej niż sam kret. Wiki nic nie przeszkadzało, przykryła Normana, a sama położyła się na podłodze.

Z ciemności dobiegł mnie przerażający monolog:

– Jesteś baldzo duży. Będziemy musieli cię sklócić. Chyba utniemy ci głowę. Albo nogi. Ale nogi masz klótkie. To może rozplujemy brzuch, dobrze?

A potem nagle dziecięcy spontaniczny śmiech:

– Albo nie! Zostawię cię sobie całego, cieszę się, że jesteś taki duży. Jesteś taki duży jak ja!

Obejmowała go, całowała i ani razu przy tym nie zemdlała. Chociaż wciąż śmierdział jak najpopularniejszy słup na Time Square.

Słuchaliśmy za drzwiami, a żona okładała mnie jak Muhammad Ali Joe'ego Fraziera trzeciego. Kasia cierpi na zakodowane przeświadczenie, że

wszystko jest moją winą. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko, że nie chciałem uciąć krecikowi głowy i że miałem wobec niego jak najlepsze zamiary. Chciałem ją odrąbać i podarować biednym dzieciom.

Tak czy inaczej, krecik przechodzi detoksykację na parapecie za oknem. Strażacy byli tu już cztery razy, ale na razie wszystkie wozy przegonił ten smród. Zresztą kret jest tak obandażowany, że od razu widać, że szykuje się do skoku nie po raz pierwszy.

NAJLEPIEJ SPRZEDAJĄCA SIĘ CZESKA KSIĄŻKA 2015 ROKU!

Pamiętnik surrealistyczny. Gwarancja czeskiego humoru.
Przewrotny humor i galeria nietuzinkowych osobowości gwarantują dobrą zabawę. Obok historii opowiedzianej w taki sposób nie można przejść obojętnie. Mamy do czynienia z jedną z najzabawniejszych książek XXI wieku!

Rodzina Kostków powraca z Ameryki do Czech, by przejąć dawną siedzibę rodu – zamek Kostka. W zamku zastają dotychczasowych pracowników: kasztelana, ogrodnika oraz kucharkę. Jak nowi właściciele poradzą sobie

w nowej rzeczywistości? Jak odnajdą się w rolach dotychczas nieodgrywanych?

UWAGA: CZYTANIE W MIEJSCACH PUBLICZNYCH NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Ta powieść chwyta za gardło i trzyma do ostatniej strony!

Zmęczony metropolią Wiktor wyjeżdża z Pragi, by zostać kasztelanem morawskiego zamku. Pragnie odnaleźć wewnętrzną równowagę i zażegnać kryzys małżeński. Jednak wizja spokojnego życia wśród zabytkowych mebli i dzieł sztuki szybko odchodzi w zapomnienie. Na zamku czeka dość zagadkowy personel oraz… demony przeszłości.

Tajemnicze odgłosy i niewyjaśnione zdarzenia przejmują władzę nad Wiktorem i jego rodziną. Czy mają swoje wytłumaczenie? Czy racjonalny umysł Wiktora rozwikła tajemnicę zamku?

Pamiętajcie: niczemu się tutaj nie dziwcie!

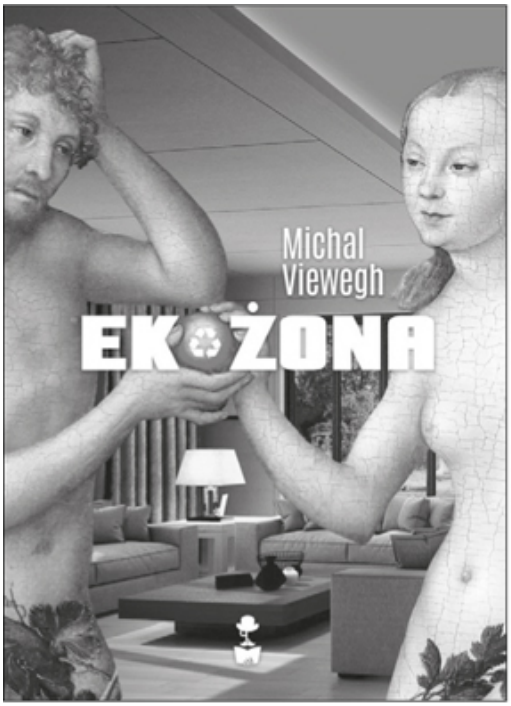

Zabawna powieść o kobietach i mężczyznach. Tę książkę kupił co setny Czech!

Ekożona stawia wiele aktualnych pytań: Czego oczekujemy od swoich partnerów? Jakie jest znaczenie porodu naturalnego? Co tak naprawdę oznacza życie w zgodzie z naturą i z samym sobą? Czy naturalny jest na przykład ogród? Albo małżeństwo?

Poruszane przez autora poważne tematy zostały ubrane w brawurową narrację. Szczerość, autoironia i humor sprawiają, że mamy do czynienia z

powieścią niezwykle inteligentną i nowoczesną.

Kiedy Mojmirowi pęka aorta, jego świat oraz światopogląd ulegają gwałtownym zmianom. Mojmir zmienia się z butnego racjonalisty… no właśnie, w kogo?

W tej brawurowej narracji pełnej ciętych ripost Michal Viewegh z humorem i autoironią opowiada o byciu pacjentem VIP oraz o poszukiwaniu nowej drogi życiowej po osobistym kataklizmie.

Ekomąż to jedna z najważniejszych powieści najpopularniejszego czeskiego pisarza.

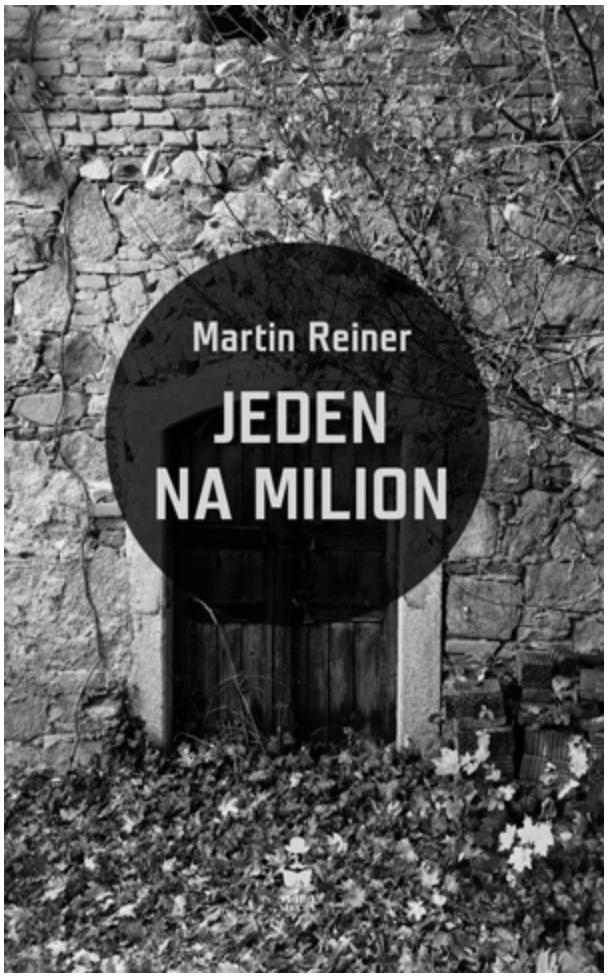

Jeden na milion to zbiór czternastu opowiadań jednego z najpopularniejszych czeskich prozaików. Martin Reiner zabiera nas na łąki pełne hipisów, na próby chóru więziennego, do Ameryki – a szerokiemu wachlarzowi tematów towarzyszą różnorodne formy literackie. Lektura dla smakoszy!

MISTYCZNY PORNO-GASTRO THRILLER Z XIX-WIECZNEJ PRAGI

Nadchodzi nowy rok. Kiedy praski Orloj wybija północ, odkryta zostaje bestialska zbrodnia. Śledztwo w tej sprawie prowadzi ekscentryczny komisarz Durman. Czy jego nietypowe metody doprowadzą do ujęcia sprawcy? Jak powstrzymać mordercę, który zawsze o krok wyprzedza policję? I czym jest tajemnicze Ordo Novi Ordinis?

Pewien praski bankier z braku innego pomysłu kupuje synowi na Boże Narodzenie świnkę morską. Jak dalece to niewinne wydarzenie zmieni życie rodziny? Jakie sekrety skrywa bank narodowy? I czy przed kryzysem finansowym można schować się w beczce?

W żadnym innym utworze literatura czeska nie zbliżyła się do twórczości Franza Kafki tak bardzo, jak w Świnkach morskich. (Milan Exner)

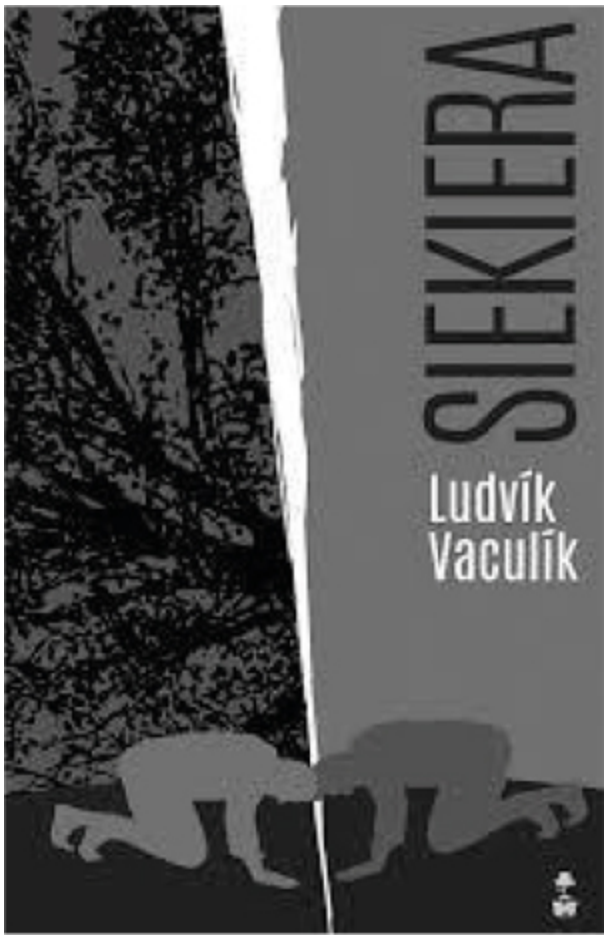

Powracający w rodzinne morawskie góry praski dziennikarz dokonuje bilansu swojego życia.

Siekiera jest dowodem na to, że sytuacja człowieka w społeczeństwie i w rodzinie nie zmieniła się w przeciągu ostatniego półwiecza tak bardzo, jak zwykliśmy sądzić. Ta powieść wciąż jest niezwykle aktualna.

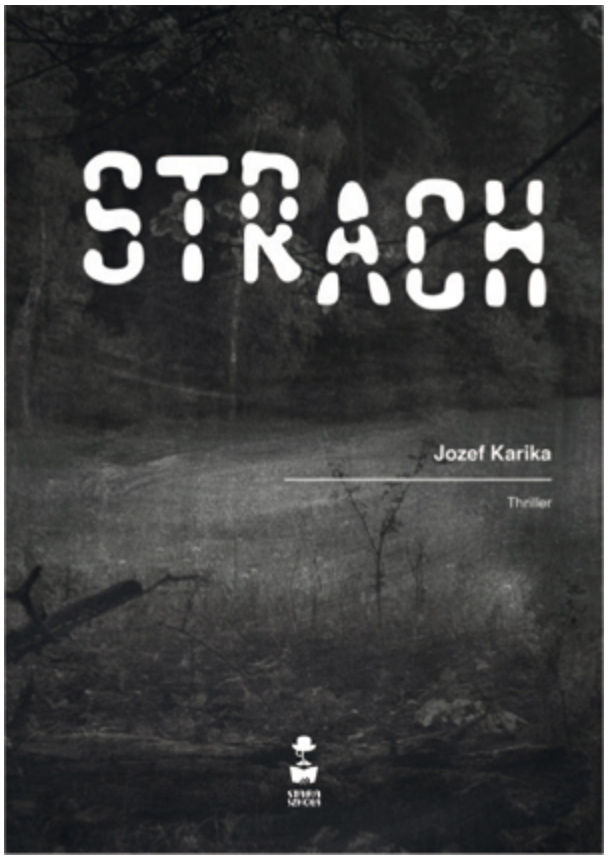

Mistyczny thriller przesiąknięty strachem.

Po rozpadzie kilkuletniego związku Jożo Karski powraca do rodzinnego Rużomberka. Tam czeka na niego puste mieszkanie rodziców, najmroźniejsza od kilku dziesięcioleci zima i podnóże góry skrywające mroczną tajemnicę.
Wkrótce w sąsiedztwie zaczynają znikać dzieci.

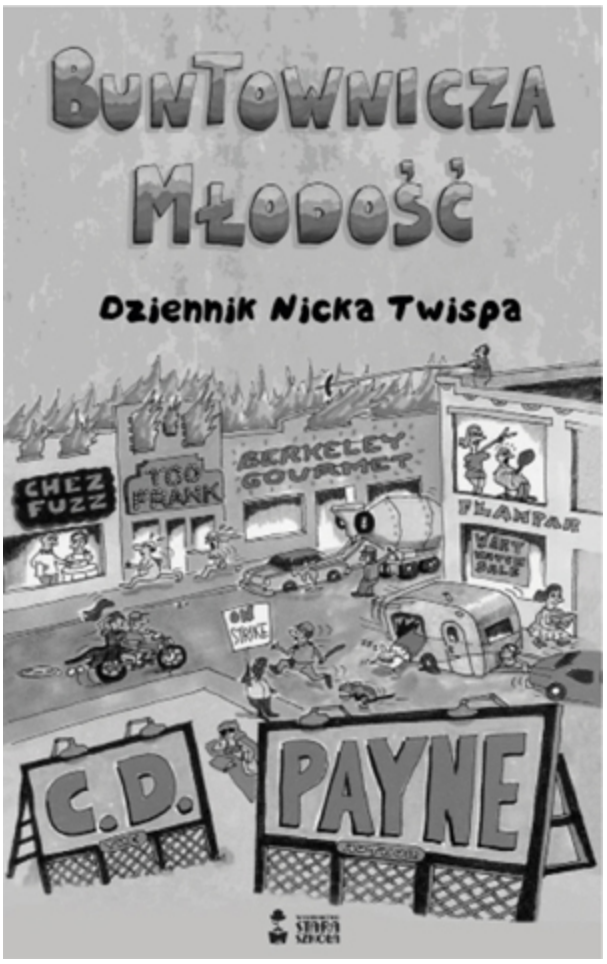

Pamiętacie, jak to jest: mieć czternaście lat i być zagubionym, wrażliwym, lekkomyślnym, romantycznym i niezwykle napalonym nastolatkiem? Przypomni Wam to Nick Twisp – młody buntownik, którego zna cała Ameryka!

Miłość, bunt, inicjacje seksualne, młodzieńcze przyjaźnie, problemy w szkole, problemy w domu – i szalone wakacje. A to wszystko doprawione czarnym humorem i przezabawnymi dialogami.

Uczniowie Cobaina to pełna dzikich przygód i humoru historia grupy nastolatków uwielbiających Johna Lennona i Kurta Cobaina. Razem przeżywają imprezy, zakładają zespoły rockowe i próbują osiągnąć sukces.

To również – a może przede wszystkim – poszukiwanie źródeł wyalienowania i bezradności w dzisiejszym świecie. Co czeka bohaterów, gdy karuzela młodości nieubłaganie się zatrzyma?

Puchar od Pana Boga to zbiór tekstów, w których sport stanowi pretekst do opowieści o sprawach najważniejszych: życiu i śmierci, miłości, przyjaźni i pasji. Ota Pavel mówi o zwycięstwach i porażkach równie pięknie, jak o sarnach i rybach.

Lektura dla czytelników w każdym wieku i wspaniała lekcja życia.

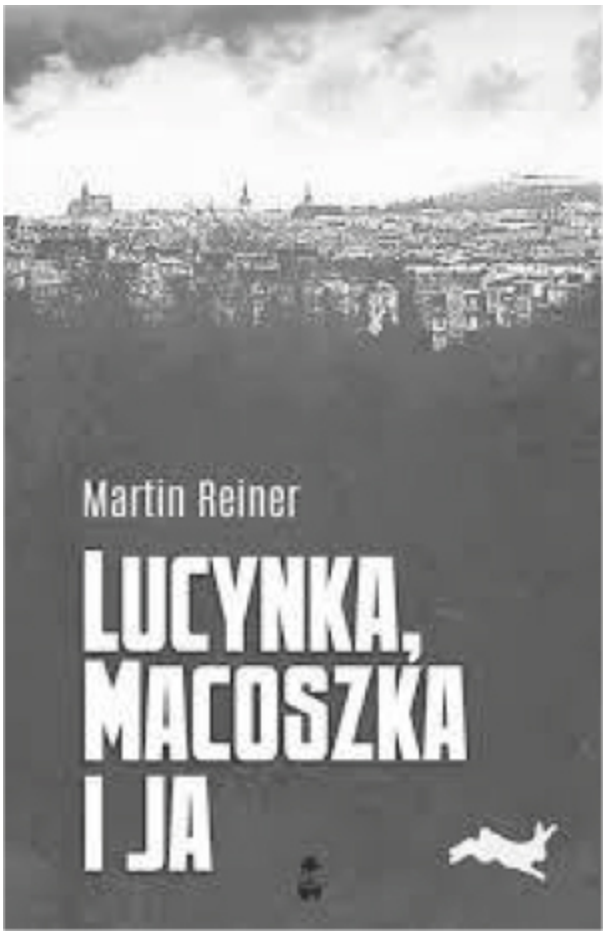

Lucynka, Macoszka i ja to opowieść o sile przeszłości, o miłości do dziecka i tęsknocie za samym sobą. Ta książka – choć w dużej mierze oparta na prawdziwych wydarzeniach – zabiera czytelników do innego świata. Znacznie piękniejszego.

Czytelnik ma tu do czynienia z prozą niemal doskonałą. (Pavel Janoušek, „Tvar”)

Chcesz wygrać z Barceloną, a potem zostać mistrzem świata w piłce nożnej? Musisz być biednym rolnikiem i mieć jedenastu synów. Załóż drużynę piłkarską, a potem będzie już z górki. Rozgrywki ligowe, mistrzostwo kraju...

Książka mądra, z uśmiechem. Podróże, relacje z meczów, niekłamane emocje.
Świetna dla dzieci. Wciągająca dla dorosłych.

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Pierwszy dzień w przedszkolu
Drugi dzień w przedszkolu
Rower stacjonarny
Maraton
Boski spokój
Pierwsze leżakowanie w przedszkolu
Po raz pierwszy razem
Idziemy do domu
Sobota – najpiękniejsza bajka dla rodziców
Niedziela – pierwsze wystąpienie publiczne
Poniedziałek – ktoś nam nasrał do Swarovskiego
Wtorek – karta platynowa
Środa – zebranie
U babci i dziadka
Katarek – przy czytaniu nie jedzcie i nie pijcie
Jestem zdrowa – wracam do przedszkola!
Metro
Bar karaoke
Pan Papryka
W domu powinno być nudno!
Mikołaj
Żaba
Parówki
Przed Bożym Narodzeniem

Po Bożym Narodzeniu
Snownoga
Niemożliwi faceci
Dziecięcy pokój snów
Małpa
Rogalik
Wizyta w szpitalu
Tej opowieści nie sponsoruje KRBRD
Pobawimy się
Znów „wieża Eiffla"
Toaleta
Pasta czosnkowa
Obciąć
Kolory
Labirynt
Zabawa
Klej
Ostatnia kontrola lekarska
Zabawa w chowanego
Domowa pizza
„Nielozgalnięty" małż
Smarkowa wróżka
Kurs tańca
Olej
Kosiarka
Po chorobie
Uroki przyrody
Chusteczki

Jak wybrać przedszkole?
Pierwsza impreza urodzinowa
Król
Laryngolog
Legiony to…
Mikrofalówka
Dialekt
Malowanie
Ostrzeżenie! Czytanie na własną odpowiedzialność!
Jak dinozaury szły na obiad
Kuchenka typu „Ognisko na mamuty"
Młode małżeństwo z dzieckiem
Jestem zaklęty
Dziesięciu małych Murzynków
O spaniu dzieci z rodzicami
Straż zamkowa
Z głową w piekarniku
Jak zszedłem
Pan Wal Się
Ludwik, najgorszy ojciec na świecie
Tatuś jest bardzo, bardzo dobry!
Nieskończona kolejka z trzech osób
Tatuś jest bardzo, bardzo dobry!Niespodziewana kontynuacja…
Co jest gorszego niż wrzeszczące dziecko?
Jak czytaliśmy elementarz
Jak wymiotowaliśmy
Dziecko, które nie chce wyjść od lekarza
Awkward

Zabawa w zabijanie ojców
Co robią mamy, kiedy mają wolne
Makroekonomia dla przedszkoli
Kiss & Go
Poczekalnia u laryngologa po raz trzeci
Pierwsza rozmowa telefoniczna
Czwarte urodziny
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Dítě školkou povinné*

Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2018
All rights reserved

Translation from the Czech original book: Dítě školkou povinné
by M.M. Cabicar, published by COSMOPOLIS,
an imprint of Grada Publishing, a.s., Prague, Czech Republic.
© Grada Publishing, a.s., 2015

Przekład: Mirosław Śmigielski
Korekta: Ewa Żak, Dagmara Ślęk-Paw
Projekt okładki: Radosław Bączkowski
Opracowanie typograficzne: Dagmara Ślęk-Paw

Wydawca:
Stara Szkoła Sp. z o.o.
Rudno 16, 56-100 Wołów
biuro@stara-szkola.com
www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-66013-05-6

Na zlecenie Woblink
woblink.com
plik przygotowała Katarzyna Rek